



MARCIA EVANICK

Podaruj mi życie

PROLOG

Ellis Carlisle patrzył przez okno na rozległe, pokryte śniegiem ulice i na ludzi z trudem brnących w zamieci. Przy takiej pogodzie Filadelfia robiła przygnębiające wrażenie. Delikatne białe płatki śniegu szybko zmieniały kolor na szary, nadając miastu posępny wygląd. Matka natura postanowiła pierwszy tydzień nowego roku na wschodnim wybrzeżu powitać opadami. Dziesięć miesięcy temu Ellis może by się przejmował pogodą, ale dzisiaj nawet nie zdawał sobie sprawy ze śnieżycy, dopóki nie wyrzął przez okno. Któż zajmowałby się czymś tak prozaicznym jak burza śnieżna, gdy jego syn walczy o życie?

Na myśl o Trevorze otarł łzę, która spłynęła mu po policzku. Powinien być właściwie zadowolony z wiadomości, jaką przekazali mu lekarze. Przed jego pięcioletnim synem rysowała się pewna szansa. Śmiertelna choroba, która nękała chłopca, właśnie zaczęła się cofać. Lekarze ostrzegli go jednak, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nastąpi nawrót. Wojna jeszcze nie została wygrana, ogłoszono tylko czasowe zawieszenie broni. Teraz należało dokonać przegrupowania wojsk i zaplanować następny atak.

- Tato?

Na dźwięk głosu Trevora poczuł ukłucie bólu w sercu. Jak będzie mógł żyć, jeśli syn polegnie w tej wojnie z chorobą? Zmusił się do uśmiechu.

- Słucham, Trev - zwrócił twarz ku chłopcu. Podszedł do łóżka

i usiadł na brzegu materaca. Palce mu drżały, gdy odgarniał z czoła syna ciemne włosy.

Trevor nerwowo gładził grzywę dużego pluszowego lwa, którego ojciec kupił mu w szpitalnym sklepie.

- Ta re...re...re... - Chłopiec nie mógł sobie przypomnieć trudnego słowa.

- Remisja? - podchwycił Ellis.

- Właśnie. To coś dobrego, prawda?

Ellis uśmiechnął się i przyciągnął syna do siebie. Przez ostatnie kilka miesięcy modlił się, żeby choroba się cofnęła. Teraz, gdy to się stało, musiał się modlić o coś ważniejszego, o to, by znaleźć odpowiedniego dawcę szpiku.

- Tak, remisja to coś dobrego. Coś bardzo dobrego - potwierdził. Chciał, by Trevor nauczył się tego słowa. Żadne dziecko jednak nie powinno nauczyć się słowa „białaczka”, które jego syn poznał sześć miesięcy temu. Przytulił chłopca mocno. Czekają go teraz kolejna bitwa, bitwa, która zadecyduje o wyniku wojny. Trevor musi mieć przeszczepiony szpik, i to jak najprędzej.

- Teraz już wszystko będzie dobrze, prawda? - spytał chłopiec, patrząc na ojca piwnymi oczami, których spojrzenie było nad wiek dojrzałe.

Ellis pomyślał, że gdyby coś miało się stać Trevorowi, jego serce rozpadnie się na milion kawałeczków, których nigdy nie złoży z powrotem. Lekarze poradzili mu, by w miarę możliwości odpowiadał na pytania chłopca zgodnie z prawdą. Ale jak mógł, patrząc w pełne

niepokoju oczy syna, powiedzieć mu, że jeszcze nie wszystko jest w porządku? Że jeszcze może umrzeć? Nie, tego nie mógł zrobić.

Trevor wiedział, że jest chory, bardzo poważnie chory. Nigdy jednak słowo „śmierć” nie przyszło mu do głowy. Ellis był wdzięczny nawet za te drobne błogosławieństwa losu. Spokój, z jakim chłopiec znosił to, co go spotkało, pozwolił i jemu przetrwać. Gdyby syn nie okazał się taki silny, on sam straciłby już dawno wszelką nadzieję i całkowicie się załamał. I gdyby ten pięciolatek nie przeciwstawił się chorobie, pewno i on, dorosły mężczyzna, nie potrafiłby dodać mu otuchy i pomóc w tej walce. Trzeba było pokonywać wiele przeszkód, a Trevor był jeszcze za mały, by móc to robić bez niczyjej pomocy.

Ellis ze ściśniętym gardłem pogładził synka po głowie. Biedny mały! Był taki dzielny. Nie zasłużył na tę chorobę. Żadne dziecko na nią nie zasługiwało. Powinien mieć zwyczajne dzieciństwo i długie, szczęśliwe życie. Ellis uczyni wszystko, co w jego mocy, by tak się stało.

- Nie chcę cię okłamywać, Trev - powiedział - ale przed nami jeszcze długa droga. Jestem jednak pewien, że wszystko będzie dobrze.

- Mówiąc te słowa, modlił się w duchu, by okazały się prawdą. -
Obiecuję ci, Trev, że będziesz zdrowy.

ROZDZIAŁ 1

To nie był dobry dzień dla Sydney St. Claire. Do diabła, nie pamiętała już, kiedy właściwie przeżyła jakiś miły dzień. Chyba ponad pół roku temu. W każdym razie to właśnie przed sześcioma miesiącami wydarzył się ten wypadek. Jakiś pijany kierowca uderzył na szosie w samochód jej rodziców. Matka zginęła na miejscu. Ojciec przeżył, ale stracił wzrok. Sześć miesięcy temu poczuła, że ziemia usuwa się jej spod nóg. Wciąż jeszcze nie mogła odzyskać równowagi.

Stan ojca bardzo ją niepokoił. Spodziewała się, że będzie oplakiwał śmierć żony. Liczyła się z tym, że będzie rozpaczał z powodu utraty wzroku i nagłego, przedwczesnego kresu kariery szefa miejscowej policji. Nie oczekiwała natomiast tego, co nastąpiło: że pograży się w głębokiej depresji, odgradzając się od niej niewidocznym murem. Z tym nie potrafiła sobie poradzić, a on nie pozwalał sobie pomóc. Serce pękało jej z żalu, gdy obserwowała, jak ojciec coraz bardziej zamyka się w sobie.

Rzuciła okiem na tacę z jedzeniem - prawie niczego nie tknął. Otworzyła drzwi, stanęła na progu kuchni i spojrzała na ojca. Wydał jej się taki samotny, taki cichy i bezradny wśród rozłożystych dębów na tyłach domu. Wypuszczały właśnie pierwsze listki. Nadchodziła wiosna, dla niej najbardziej pracowita pora roku. Teraz nie miało to większego znaczenia. Jak mogła zmusić się do jakiegokolwiek działania, jeśli całą swoją energię skupiała na ojcu?

Przed dwudziestoma laty matka założyła w pobliżu domu całoroczną hodowlę roślin. Miała zaledwie kilkaset dolarów w kieszeni, niewielki kawałek nieużytków i całą masę planów. Gdy tylko Sydney skończyła naukę w college'u, przyłączyła się do matki i została jej partnerką. Szklarnie Julii St. Claire i jej rośliny stały się znane w całym hrabstwie. Firma zatrudniała dwunastu etatowych pracowników i dodatkowo kilkunastu sezonowych w okresie spiętrzenia prac. Po raz pierwszy Sydney musiała radzić sobie sama. Bezpośrednio po wypadku wszystkim zajęli się pracownicy. Teraz jednak czekali na jej polecenia, a ona nie była w stanie o niczym myśleć. Zaprzętała ją troska o ojca.

Thomas St. Claire był najważniejszym człowiekiem w jej życiu od chwili, gdy go zobaczyła. On i Julia zastąpili dziesięcioletniej wystraszonej i spragnionej czułości rodziców, którzy nigdy jej nie pokochali i którzy ją porzucili. Thomas wraz z żoną stworzył Sydney dom pełen ciepła i miłości. Był przy niej przed osiemnastu laty, gdy tak rozpaczliwie go potrzebowała i nadal był jej potrzebny. Nie miała żadnej rodziny, a teraz traciła i jego. I w żaden sposób nie mogła mu pomóc. Od czasu wypadku schudł o dobre dwadzieścia kilogramów i żadne, nawet najbardziej wyszukane danie ani usilne prośby, by coś zjadł, nie były w stanie przywrócić mu apetytu.

Westchnąwszy ciężko, weszła do kuchni i zajęła się zmywaniem naczyń. Wciąż jednak zerkała sponad zlewu w okno, za którym widziała siedzącego bez ruchu ojca. Spostrzegła, że zrzucił pled, którym go okryła. Wiedziała, że będzie się wzbraniał przed jej troskliwością, ale nie dawała za wygraną. Może i nadchodzi wiosna, ale

na dworze wciąż jeszcze jest zimno. Długo musiała go przekonywać, żeby każdego dnia choć na chwilę wychodził na świeże powietrze. Od czasu wypadku nie opuszczał domu, chyba że był umówiony na wizytę lekarską.

Właśnie wstawiała do szafki ostatnią szklanekę, gdy rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych. Przestraszyła się, czy to aby nie jakiś przyjaciel ojca. Thomas St. Claire nie chciał nikogo widzieć i przykro jej było na samą myśl, że musiałyby znowu odprawić którąś z życzliwych mu osób. Od czasu wypadku ojciec stał się uparty i nieustępliwy.

Otworzyła drzwi. Uśmiech powitania zamarł jej na ustach na widok nieznanego stojącego w progu. Ten mężczyzna na pewno nie pochodził z tych stron. Zapamiętałaby go. Małe miasto, jakim był Coalsburg w Pensylwanii, mogło się pochwalić dwiema czynnymi jeszcze kopalniami węgla i znakomitymi wypiekami, które oferowała miejscowa restauracja, ale na pewno nie przystojnymi jak amanci filmowi mężczyznami. A jasnowłosy, szarooki przybysz tak właśnie wyglądał. Zaskoczona Sydney, pokonując zażenowanie, spytała z uśmiechem:

- Pan w jakiej sprawie? - Weźmie, cokolwiek ma do sprzedania, pomyślała. Byłe nie był to mikser, bo właśnie parę dni temu kupiła nowy.

Mężczyzna nie odpowiedział jej uśmiechem.

- Chciałbym się widzieć z Thomasem St. Claire'em - oświadczył.

- Przykro mi, ale ojciec nikogo nie przyjmuje o tej porze -
odparła z zakłopotaniem. Zorientowała się, że nieznajomy, który stał na
progu jej domu, wcale nie jest przedstawicielem firmy handlowej.
Akwizytorzy nie nosili garniturów w pierwszorzędnym gatunku ani
włoskich butów z delikatnej skóry. Popatrzyła na samochód stojący na
podjeździe. Nigdy też nie jeździli nowiutkim mercedesem. Spojrzała
ponownie na mężczyznę.

- Może ja mogłabym panu pomóc? - zaproponowała.

- Przykro mi, Sydney, ale muszę porozmawiać osobiście z pani
ojcem.

- Pan zna moje imię? - zdziwiła się. Zakłopotanie ustąpiło
miejsca zaniepokojeniu. Nie podobało jej się, że ktoś obcy wie, jak się
nazywa.

- Tak, znam pani imię. Wiem również, że Thomas i jego żona
adoptowali panią, gdy miała pani dziesięć lat, i że pani St. Claire nie
żyje od pół roku. - Nie wyciągnął ręki, nie zrobił żadnego gestu, który
wyrażałby współczucie z powodu tego, co się stało. - Nazywam się
Ellis Carlisle i muszę porozmawiać z pani ojcem w sprawie osobistej -
dodał.

- Żałuję, panie Carlisle, ale odpowiedź nadal brzmi „nie”. -
Sydney potrząsnęła głową i mocno zacisnęła dłoń na kłamce, jakby
bała się, że może nie utrzymać się na nogach. - Jeżeli zna pan tak
dobrze historię naszej rodziny, to zapewne wie pan również, że ojciec
został ranny w wypadku, w którym zginęła moja matka. Nie jest
jeszcze gotowy do przyjmowania gości.

- Wydawało mi się, że ucierpiały tylko jego oczy. Teraz z kolei Carlisle wyglądał na zaniepokojonego.

Nie tyle z powodu oczu jej ojca, ile z powodu przypuszczenia, że informacje, jakie posiada, być może nie są prawdziwe. Ogarnął ją gniew na tego bezczelnego przybysza i krew uderzyła jej do głowy. Ojciec dokuczał jej czasem, że ma w sobie irlandzką krew. Nie tyle z powodu kasztanowych włosów z rudym połyskiem, co porywczej natury. Ten pan Carlisle bez trudu ją sprowokował.

- Jeśli weźmie pan pod uwagę, że w momencie, gdy, jak pan twierdzi, „ucierpiały tylko jego oczy”, ojciec utracił ukochaną żonę po trzydziestu latach wspólnego życia, że stracił wzrok i tym samym został zmuszony do porzucenia pracy, którą lubił, to chyba raczej nie można powiedzieć, że ucierpiały tylko jego oczy.

Wiedziała, że coraz bardziej podnosi głos, ale nic na to nie mogła poradzić. Kim, u diabła, jest ten Carlisle, żeby żądać spotkania z ojcem i lekceważyć jego kalectwo?! Co on sobie właściwie wyobraża?

- Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało, Sydney -powiedział przepraszająco. - Ma pani rację, że broni dostępu do ojca, ale ja naprawdę muszę się z nim widzieć. To sprawa niezwyklej wagi i nie może czekać do czasu, aż pani ojciec będzie czuł się na siłach przyjmować gości.

Słyszała już lepsze przeprosiny, ale słowa Ellisa brzmiały szczerze.

Przyjrzała mu się uważniej. Ciemnoblonde włosy były świetnie ostrzyżone i starannie uczesane, a zęby idealnie równe i białe. Miał

wyraziste rysy, a na nosie niewielki garbek - pewnie był kiedyś złamany. W innych okolicznościach uznałaby tę twarz za sympatyczną. Szare oczy błyszczały inteligencją, jednak brakowało w nich radości, ich spojrzenie było smutne. Gdyby miała zgadywać, powiedziałyby, że może mieć jakieś trzydzieści pięć lat i, sądząc po cieniach pod oczami, nie sypia za dobrze. Cóż, to akurat ich łączyło.

Przez chwilę zastanawiała się, czy Ellisa Carlisle'a łączą z ojcem jakieś sprawy zawodowe. Być może był policjantem. Wyjaśniałoby to fakt, że tak dużo wie o ich rodzinie. Ale powiedział przecież, że chce się widzieć z Thomasem z powodów osobistych, co raczej wykluczało powiązania służbowe.

- Przykro mi, ale raz jeszcze powtarzam, że nie zobaczy się pan z ojcem, dopóki się nie dowiem, w jakiej sprawie pan przyszedł.

- Nie powinno to pani interesować. To sprawa między pani ojcem a mną.

No tak. Tylko tego brakowało! To ona zamartwia się na śmierć, nie śpi po nocach i robi wszystko, co w jej mocy, by ojciec odzyskał równowagę psychiczną, a tu przychodzi jakiś obcy człowiek i chce niepokoić ojca swoimi sprawami, zburzyć jego kruchy spokój!

- Co pan sobie myśli, że kim pan, u licha, jest! - wykrzyknęła, nie zważając na dobre maniery.

Ellis Carlisle głęboko zaczerpnął powietrza, popatrzył jej prosto w oczy i powiedział:

- Jestem jego synem.

Sydney oniemiała. Co on powiedział? Nie, to niemożliwe.

Musiała się przesłyszeć. Po tych wszystkich nie przespanych nocach i dniach pełnych troski prawdopodobnie nie była już w stanie trzeźwo myśleć i różne dziwne rzeczy chodziły jej po głowie.

- Przepraszam, ale czy mógłby pan to powtórzyć?

- Powiedziałem, że Thomas St. Claire jest moim ojcem. -

Carlisle zaakcentował każde słowo. Wydawało się, że tylko czeka na to, by zaprzeczyła, i że gotów jest podjąć wyzwanie. - Jestem synem pani ojca.

- Jest pan kłamcą - stwierdziła. Gdyby to była prawda, wiedziałyby o tym. Żadne znaki na ziemi i niebie nie wskazywały, że Thomas St. Claire ma syna.

Ellis sięgnął do kieszeni marynarki i podał jej kartkę papieru.

- Nie przyszedłem tu po to, żeby stwarzać problemy czy wywoływać niesnaski - powiedział. - Muszę tylko porozmawiać z pani ojcem.

Sydney niechętnie popatrzyła na kartkę. Był to akt urodzenia Ellisa. Jego matką była Catherine Carlisle, lat dziewiętnaście. Jako ojca wpisano Thomasa St. Claire, lat dwadzieścia jeden.

Ellis mógł przedstawić dziesiątki metryk, w których wpisano by nazwisko jej ojca, a ona i tak by w to nie uwierzyła. Jedyńm dzieckiem, jakie ma Thomas St. Claire, jest ona, Sydney. I tylko ona ma prawo nazywać go ojcem.

Złożyła starannie dokument i oddała go Ellisowi.

- To musi być pomyłka - oświadczyła. - Mój ojciec nie może być pańskim ojcem. Prawdopodobnie chodzi o kogoś innego o tym

samym nazwisku - dodała już bardziej stanowczo i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Dopiero teraz nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Do tej pory starała się trzymać ze względu na ojca. Troszczyła się o niego, nie myślała o sobie. Czy mogła przypuszczać, że po tym, co ostatnio przeszła, czeka ją kolejny cios? Co się z nią stanie? Przecież tu był jej dom. Jeśli okaże się, że rzeczywiście Thomas jest czyimś prawdziwym ojcem, wszystko może się zmienić.

Nagle znowu stała się dziesięcioletnią dziewczynką, która nie potrafiła znaleźć sobie miejsca w rodzinnym domu dziecka i w końcu z niego uciekła. Starsze dzieci jej nie zaakceptowały. Kobieta, która prowadziła dom, wysługiwała się nią, kazała jej sprzątać i zmywać naczynia. A jej mąż tak dziwnie na nią patrzył, gdy sądził, że są z Sydney sami. Dom Thomasa i jego żony stał się dla wystraszonej, samotnej dziewczynki prawdziwym azylem. Spotkała się tu z życzliwością, zaznała troskliwej opieki i poczuła się kochana. Otrzymała miłość i sama ją ofiarowała swoim nowym opiekunom.

Zastanawiała się, co teraz zrobi Ellis Carlisle. Może jednak wsiądzie z powrotem do swojego eleganckiego mercedesa i spokojnie odjedzie? Czy mogła na to liczyć?

Odetchnęła, gdy zrobił dokładnie to, co chciała. Miała nadzieję, że opuści miasto. Uchyliła lekko zasłonę w salonie, by zobaczyć, jak odjeżdża sprzed ich domu, kierując się w stronę szosy na pograniczu stanów.

Powinna się cieszyć ze zwycięstwa. Dlaczego więc martwiła się

teraz jeszcze bardziej niż przedtem? Intuicja podpowiadała jej, że Carlisle nie jest mężczyzną, który się wycofuje, gdy coś nie układa się po jego myśli. Ta sama intuicja mówiła jej, że jeszcze o nim usłyszy. I to już wkrótce.

Ellis ścisnął mocniej słuchawkę telefonu. Obrzucił wzrokiem parking przed motelem. Litera T w połyskującym czerwonym blaskiem szyldzie MOTEL nie świeciła się.

- Tak, Trev, ja też za tobą tęsknię - powiedział.

Po raz pierwszy od czasu, gdy usłyszał diagnozę, która była niemal równoznaczna z wyrokiem śmierci, nie nocował z synem. Nie chciał tracić ani jednej chwili, którą mógł spędzić z Trevorem. Każda noc, każdy dzień, każda godzina była darowana. Nie lubił zostawiać chłopca samego, ale tym razem było to konieczne. Thomas St. Claire był jego ostatnią rozpaczliwą nadzieją.

- Tak, też cię kocham, synku - dodał. Łzy napłynęły mu do oczu. - Bądź grzeczny, słuchaj pani McCall i rób wszystko, co ci każe. Zadzwoń rano.

Uśmiechnął się, gdy Trevor obiecał, że będzie słuchał gosposi, która się nim opiekowała, i spytał, czy widział już jakieś dzikie zwierzęta.

- Nie, Trev, ale przyrzekam, że jutro je obejrzę. - Pokój chłopca był pełen zwierzątek. To było jego ostatnie hobby i Ellis chciał mu sprawić przyjemność.

- Dobranoc, Trev. Kocham cię - powiedział.

Gdy odłożył słuchawkę, w uszach jeszcze długo dźwięczał mu głos syna. Wiele by dał za to, żeby teraz być z nim w Jenkintown, a nie w tym obskurnym pokoju w Starry Night Motel.

W Coalsburgu nie było zbyt wielkich możliwości wyboru. Albo Starry Night Motel z czystą pościelą i wytartymi dywanami, albo cieszący się dużą popularnością Hide-Away Motel, w którym pokoje wynajmowano raczej na godziny. Wybór był oczywisty, skoro musiał zostać w Coalsburgu nieco dłużej, niż przewidywał.

Przed czterema miesiącami, gdy tylko go poinformowano, że jego szpik nie nadaje się na przeszczep dla syna, zaczął szukać dawcy. Transplantację powinno się przeprowadzić w okresie remisji choroby - wtedy rokowania są najlepsze. Nikt jednak nie potrafił powiedzieć, jak długo potrwa remisja. Trzeba więc znaleźć dawcę jak najprędzej. Czas naglił.

Wszyscy krewni Trevora ze strony matki, bliźsi i dalsi, wyrazili zgodę, ponieważ liczyli na niezłe pieniądze. Zostali przebadani, ale nie znaleziono wśród nich nikogo, czyj szpik nadawałby się dla Trevora. Była żona Ellisa, Ginny, pierwsza poddała się testom. Pozostali członkowie jej rodziny zjawiali się ze z góry określoną ceną. Gdyby szpik któregoś z nich nadawał się do przeszczepienia, Ellis musiałby sięgnąć głęboko do portfela, żeby operacja mogła dojść do skutku.

W rejestrach obcych dawców dostępnych w Stanach również nie znaleziono odpowiedniego.

Ostatnią nadzieją był biologiczny dziadek Trevora, Thomas St. Claire, człowiek, który spłodził Ellisa, a później porzucił jego matkę,

kiedy miała zaledwie osiemnaście lat i była w ciąży. St. Claire nie był wart ani jednej myśli Ellisa, jednak w tej sytuacji gotów był błagać go na klęczkach albo mu zapłacić, ile zażąda, żeby zgodził się na przeprowadzenie badania krwi. Gdyby tylko mógł porozmawiać z tym człowiekiem!

Detektyw, którego wynajął, by odnalazł St. Claire'a, był bardzo sumienny i wszystkiego się dowiedział. Parę lat po porzuceniu Catherine Thomas St. Claire ożenił się. Później on i jego żona adoptowali dziesięcioletnią dziewczynkę. Własnych dzieci nie mieli. Przed sześcioma miesiącami Julia zginęła w tym samym wypadku, w którym jej mąż stracił wzrok. Ale poza tym był w wystarczająco dobrej kondycji fizycznej, by móc być dawcą, gdyby tylko jego szpik okazał się odpowiedni dla Trevora.

Detektyw zapomniał jednak wspomnieć o tym, że adoptowana dziewczynka wyrosła na prawdziwą piękność, ale równocześnie była osobą z charakterem i temperamentem, nieustępliwą i opiekuńczą, broniącą z samozaparciem spokoju ojca i domu.

Gdy otworzyła drzwi, zaskoczyła go jej uroda. Sam nie wiedział, dlaczego zachował się tak grubiańsko i niegrzecznie. Potrzebował przecież pomocy Thomasa, a fakt, że zraził do siebie Sydney, na pewno mu tego nie ułatwi.

Prawda, że nie liczył na wiele. St. Claire prawdopodobnie był zdany teraz tylko na Sydney. Tylko ona, jego ukochana córka, mogła mu pomóc pozbierać się po przeżytej tragedii. Dla świata to ona jest jego dzieckiem, jest córką jego ojca! Ale kiedy czytał raport detektywa

i natrafił na informację o adopcji, był właściwie rozczarowany, że Sydney i Thomasa nie łączą więzy krwi. Oznaczało to o jednego potencjalnego dawcę szpiku mniej.

Rzucił okiem na otwartą aktówkę, stos papierów, którymi powinien się zająć, i na przenośny komputer na małym stoliku, przy którym pracował, zanim zadzwonił do Trevora. W ciągu paru ostatnich miesięcy nabrał wprawy w prowadzeniu interesów swojej firmy na odległość.

Obok komputera stała otwarta butelka whisky i tani plastikowy kubek, który znalazł na umywalce. Sięgnął po niego i nalał sobie trunku. Pierwszy łyk przyjemnie go rozgrzał. Ustąpił ucisk w żołądku, który dokuczał mu od momentu, gdy stanął na progu domu ojca.

Teraz, gdy znalazł się w tym samym mieście, w którym dorastała jego matka i ojciec, mieście, w którym został poczęty, zaczynało do niego pomału docierać, że Thomas St. Claire nigdy go nie chciał. Nie był na tyle dobry, by ojciec mógł go kochać.

W dzieciństwie, gdy myślał o ojcu, wyobrażał sobie, że jest on samotnym, nieszczęśliwym człowiekiem, który nienawidzi dzieci, więc niespecjalnie do niego tęsknił. Matka ofiarowała mu tyle miłości i troski rodzicielskiej, że mu nie brakowało ojca. Teraz jednak ujrzał go w innym świetle. Przygarnął cudze dziecko i zaopiekował się nim jak własnym. Wziął małą dziewczynkę, której nikt nie chciał, i uczynił ją swoją córką. Ale dlaczego wolał wychowywać obce dziecko zamiast rodzonego syna? Co było w nim tak strasznego, że własny ojciec go odrzucił?

ROZDZIAŁ 2

Sydney podlewała właśnie kwiaty stojące w doniczkach na oknie salonu, gdy przed dom zajechał ciemnozielony mercedes. Tak jak się spodziewała, wrócił Ellis Carlisle. Była przygotowana na jego wizytę, nie spodziewała się go jednak o tak wczesnej porze. Dopiero minęła dziewiąta.

Ojciec zszedł na dół na śniadanie, ale ledwo je tknął, a potem zamknął się w gabinecie, odgradzając się od niej, sam ze swoimi niewesołymi myślami i swoim bólem. Przez ostatnie czterdzieści minut nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. Thomas St. Claire wolał ciszę od dźwięków dochodzących z radia czy telewizora lub choćby głosu przybranej córki.

Odstawiła dzbanek i otworzyła drzwi, zanim Ellis zdążył zadzwonić. Nie chciała zakłócać ojcu spokoju, w każdym razie jeszcze nie teraz. Mężczyzna, który stanął w progu, wyglądał trochę inaczej niż ten, którego poznała wczoraj. Ten dzisiejszy Ellis wydawał się mniej pewny siebie, mniej zdeterminowany. Wciąż miał na sobie tę samą zamszową kurtkę co poprzedniego dnia, ale włożył spłowiełe niebieskie džinsy, mokasyny i jasnoszary pulower. Cienie pod jego oczami były jeszcze wyraźniejsze. Sydney otworzyła szerzej drzwi.

- Proszę, niech pan wejdzie - powiedziała.

- Dziękuję- odparł, wyraźnie zdziwiony, że nie robi mu trudności.

Zerknęła nerwowo ku drzwiom gabinetu, po czym poprowadziła Ellisa do kuchni na tyłach domu. Była jej ulubionym miejscem. W przestronnej słonecznej kuchni, wyklejonej żółtymi tapetami, ozdobionej licznymi doniczkami z kwiatami ustawionymi na parapecie, Sydney czuła się naprawdę u siebie. To matka urządziła kuchnię według własnych upodobań i po jej śmierci Sydney niczego tutaj nie zmieniła.

Wskazała Ellisowi krzesło.

- Napije się pan kawy? - spytała. - Właśnie zaparzyłam.

Zrobiła to, mając nadzieję, że zapach świeżo parzonej kawy skłoni ojca do wyjścia z kryjówki. Thomas St. Claire był wielkim miłośnikiem kawy i umiał ją przyrządzać na różne sposoby.

Ellis zawahał się, niepewny, czy powinien przyjąć zaproszenie.

- Chętnie - powiedział wreszcie. - Czarną, bez cukru. - Zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Czuła na sobie jego wzrok, gdy napełniała filiżanki i niosła je do stołu. Ich spojrzenia spotkały się na moment.

- Wiedziałam, że pan wróci - mruknęła, stawiając przed nim filiżankę.

- Dlaczego zmieniła pani zdanie i zgodziła się ze mną porozmawiać?

- Z paru powodów, ale najważniejszy z nich to ustalenie prawdy. Thomas St. Claire nie jest i nie mógłby być pańskim ojcem. - Usiadła i odwróciła wzrok, bo Ellis patrzył na nią badawczo, jakby chciał odgadnąć, co kryje się w jej duszy.

- Naprawdę? - Pociągnął łyk kawy i spojrzał na nią znad filiżanki. - A dlaczegoż to Thomas nie mógłby być moim ojcem?

Tej nie przespanej nocy, gdy Sydney rozważała nową sytuację, uznała, że jeżeli Ellis Carlisle twierdzi, że Thomas jest jego ojcem, powinien poznać prawdę.

- Thomas nie mógł mieć dzieci - wyjaśniła. Pamiętała dzień, w którym się o tym dowiedziała.

Było to po południu, podczas jednej z tych rozmów, które zacieśniały więź między nią a matką i czyniły je sobie jeszcze bliższymi. Poszły sprawdzić, jak drzewka przetrwały zimę, i wtedy matka nagle podjęła ten temat, sięgając pamięcią do wspomnień.

Thomas był załamany, ponieważ wkrótce po ślubie dowiedział się, że nie może być ojcem. Gdy wcześniej się spotykali, wyznał Julii, że chciałby mieć gromadkę dzieci, a ona ochoczo się z nim zgodziła. Kiedy lekarze obwieścili im fatalną nowinę, Julia zaakceptowała ten fakt tylko dzięki swej głębokiej wierze. Thomas nie miał w sobie tyle wiary i czuł się, jakby spotkała go nie zasłużona kara. Wszystko zmieniło się, gdy natknął się na Sydney idącą szynami kolejowymi za miastem i ciągnącą za sobą duży plastikowy worek. Kiedy zobaczył przerażoną dziewczynkę, uznał, że jest w tym ręka Boga. Julia St. Claire powiedziała przybranej córce, że kocha ją jak własne dziecko, ale od początku była „córeczką tatusia”. Z zamyślenia wyrwało Sydney pytanie Ellisa:

- Czy chce mi pani powiedzieć, że Thomas St. Claire adoptował panią, bo nie mógł mieć własnych dzieci?

Nie pokazała po sobie, jak bardzo zaboląły ją te słowa. Gdyby Thomas i Julia mieli dom pełen dzieci, prawdopodobnie by jej nie wzięli.

- Tak, właśnie to chciałam powiedzieć - przytaknęła.

- Być może stwierdził, że nie może mieć dzieci, właśnie po tym, jak Catherine przez przypadek zaszła z nim w ciążę.

Sydney poczuła, że wzbiera w niej gniew. Odstawiła filiżankę i zmierzyła wzrokiem siedzącego naprzeciw niej mężczyznę.

- Niech pan nigdy więcej nie waży się mówić w ten sposób o moim ojcu - wycedziła przez zęby. - Bardzo przeżył to, że nie mógł mieć dzieci.

- Widzę, że pani mocno w to wierzy. - Szare oczy patrzyły na nią przenikliwie, nie było w nich skruchy.

- Tak, wierzę. - Przez chwilę bawiła się filiżanką. Tej nocy przyrzekła sobie, że wysłucha spokojnie, co Ellis Carlisle ma do powiedzenia. Głęboko zaczerpnęła powietrza. - Skąd pewność, że mój ojciec jest tym Thomasem St. Claire'em, którego pan szuka? - spytała. - To wcale nie jest rzadkie nazwisko. - Zapewne w okolicy było z tuzin Thomasów St. Claire'ów. W metryce Ellisa nie zauważyła adnotacji, skąd pochodzili jego rodzice.

- Kiedy moja matka miała dwanaście lat, jej rodzina przeniosła się do Coalsburga. Do chwili ukończenia osiemnastu lat i zajścia w ciążę nigdzie stąd nie wyjeżdżała, chyba że na wycieczkę szkolną lub na wakacje z rodzicami. A ponieważ detektyw, którego wynająłem, nie odnalazł w tej okolicy żadnego innego pięćdziesięcioletniego

Thomasa St. Claire'a, mogę śmiało twierdzić, że to pani ojciec jest moim ojcem.

Jak to dziwnie zabrzmiało: „Pani ojciec jest moim ojcem”. Gdyby uwierzyła Ellisowi, znaczyłoby to, że jakimś dziwnym zrządzeniem losu są bratem i siostrą -w każdym razie formalnie. To niemożliwe! Nie mogła sobie jednak przypomnieć żadnego innego Thomasa St. Claire'a. Brat ojca, Samuel, miał dwóch synów, ale żaden z nich nie nosił imienia Thomas.

- A może trzydzieści dwa lata temu mieszkał tu jakiś inny Thomas St. Claire?

- Nigdzie nie ma żadnej wzmianki o kimś takim -odparł Ellis, popijając kawę.

- A czy nie przyszło panu do głowy, że pańska matka mogła podać w szpitalu nazwisko niewłaściwego mężczyzny? - Jego pewność działała jej na nerwy.

- Czy chce pani przez to powiedzieć, że moja matka mogła nie wiedzieć, kto jest ojcem jej dziecka, i że podała pierwsze z brzegu nazwisko, jakie jej przyszło do głowy?

- Może celowo podała nazwisko Thomasa zamiast nazwiska pana prawdziwego ojca? - zasugerowała Sydney.

- Dlaczego miałyby to zrobić?

- Nie wiem. - Sydney odgarnęła włosy z czoła. -Może chciała go chronić.

- Chronić? Przed czym? - Ellis nie wydawał się przekonany.

- Mogły być też jakieś inne przyczyny, dla których podała

nazwisko mojego ojca - upierała się, lecz żadna z nich nie przychodziła jej do głowy.

- O ile wiem, nigdy potem nie kontaktowała się z Thomasem ani z żadnym innym mężczyzną. Nikogo o nic nie prosiła. Wychowywała mnie sama i powiedziała mi, że mój ojciec nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Aż do teraz niewiele myślałem o Thomasie St. Clairze.

- A teraz dlaczego pan pomyślał? - Właśnie, dlaczego nagle, po trzydziestu dwóch latach, ten dorosły mężczyzna zdecydował się odszukać ojca?

Carlisle wstał i podszedł do okna. Znała dobrze rozciągający się z niego widok. Obmurowany cegłą trawnik z białym ogrodowym stolikiem i krzesłami. Nie postawiła jeszcze parasola w zielono-białe pasy, ale i tak to miejsce wyglądało sympatycznie. Latem prawie zawsze jadali tu kolację. Gdyby jej gość zwrócił wzrok w prawo, ujrzałby rozłożysty dąb, pod którym ojciec lubił siadywać popołudniami. Dalej zobaczyłby szklarnię i młode i starsze drzewka. Główny budynek firmy i parking znajdował się pięćset metrów dalej. Matka wolała mieć blisko do pracy, ale zarazem nie chciała zakłócać prywatności rodziny. Ten widok zapadł jej w serce przez te wszystkie lata. Zastanawiała się, czy Ellis w ogóle uświadamia sobie, na co patrzy.

- Mam pięcioletniego syna - powiedział nagle, nadal stojąc do niej tyłem. - Ma na imię Trevor.

A więc ten przystojniak jest żonaty i ma syna. Nic dziwnego. Jej najlepsza przyjaciółka Cindy zawsze narzekała, że wszyscy przystojni

mężczyźni są już zajęci.

- Pod koniec lata stwierdzono u niego białaczkę.

- O Boże, Ellis, tak mi przykro - wyjąkała. - To musi być straszne dla pana i pańskiej żony. - Natychmiast poczuła sympatię dla niego, jego żony i ich synka. Patrząc przez okno, Ellis na pewno myślał o swoim chorym dziecku.

- Nie jestem już żonaty - wyjaśnił. - Matka Trevora odeszła ode mnie, kiedy chłopiec miał sześć tygodni.

- Wzruszył ramionami. - W styczniu stwierdzono u niego remisję choroby.

- Remisję! To dobrze, prawda?

- Tak, to dobrze. Teraz Trevor nie czuje się chory, ale to nie znaczy, że tak już będzie zawsze. Jediną nadzieją na całkowite wyleczenie jest przeszczep szpiku kostnego, który należy zrobić w okresie remisji. - Ellis spuścił głowę. - Ale mój szpik się nie nadaje. Nie mogę być dawcą.

- Rozumiem, że szukają teraz dawcy z odpowiednim szpikiem?

- Sydney słyszała o takich przypadkach, ale nigdy nie знаła nikogo, kto chorował na białaczkę i miał przeszczepiany szpik. - A matka Trevora i krewni? - spytała. - Czy ich przetestowano? - Musiała zmienić zdanie na temat Ellisa. Nie był ani arogancki, ani niegrzeczny. Był śmiertelnie przerażony, bał się o życie swojego dziecka.

- Ginny i wszyscy jej krewni zostali przebadani. Niestety, nikt z nich nie może być dawcą. W rejestrach dawców też nikogo odpowiedniego nie znaleziono. - Ellis wreszcie odwrócił się do niej. -

Moim jedynym żyjącym krewnym jest Thomas St. Claire -
powiedział.

- To moja jedyna nadzieja i zarazem ostatnia szansa dla mojego
syna.

Teraz już wiedziała, jak ważna sprawa go tu sprowadziła. Nic
dziwnego, że robi wszystko, by uratować własne dziecko. Niestety,
łudzi się.

- On nie może być pańskim ojcem - powiedziała cicho.

- A jeśli jest?

„A jeśli jest?” Co to będzie znaczyć dla niej, jeśli rzeczywiście
tak się sprawy mają? Czy straci dom i rodzinę, jedyną, jaką
kiedykolwiek miała? Musi jednak odsunąć na bok swoje wątpliwości i
lęki. Toczy się gra o najwyższą stawkę, o życie.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać z moim ojcem i spytać
go, dlaczego Catherine Carlisle podała do metryki jego nazwisko.

- Dziękuję.

- Rozumie pan, że ojciec nie jest jeszcze gotów przyjmować
kogokolwiek. Od czasu wypadku nie ma ochoty na towarzystwo i może
nie być zbyt rozmowny... - powiedziała z wahaniem Sydney, ale
musiała uprzedzić Ellisa, czego się może spodziewać.

- Nie musi być towarzyski. Chcę tylko, żeby zgodził się na
badanie krwi.

Widziała nadzieję w jego oczach, ale nie miała serca mu
powiedzieć, że jest niemal pewna, iż Thomas nie może być jego ojcem.
Rodzice nauczyli ją, by zanim kogoś zacznie pouczać czy krytykować,

postarała się wczuć w jego sytuację. Mogła sobie wyobrazić, co sama by przeżywała, gdyby miała śmiertelnie chore dziecko. Zrobiłaby wszystko, żeby je uratować. Zgoda na rozmowę Ellisa z Thomasem to zaledwie przejaw dobrej woli. Być może ojciec potrafi jakoś wytłumaczyć fakt, że jego nazwisko znalazło się w metryce Ellisa.

Wstała i sięgnęła po tacę.

- Zaparzę mu kawy. Mocna kawa to jego słabość - wyjaśniła.

Zrobiła taką kawę, jak lubił, mocną, ze śmietanką, ale bez cukru.

- Ja zaniosę. Niech pani prowadzi - powiedział Ellis i wziął tacę.

- Jeszcze chwileczkę. - Podbiegła do lodówki i wyjęła miskę z owocami. - Ojciec niewiele zjadł na śniadanie. Może być głodny. - Postawiła na tacy trzy talerzyki i owoce. - Teraz będzie dobrze - uznała.

Ellis ostrożnie niósł tacę, żeby nie rozlać kawy. Sydney szła pierwsza. Zauważył jej zgrabną figurę, którą podkreślały jeszcze obcisłe błękitne dzinsy. Mężczyzna musiałby być chory albo ślepy, żeby nie zwrócić uwagi na tak atrakcyjną kobietę. Patrząc na nią, uświadomił sobie nagle, że już bardzo dawno nie miał kobiety. Od czasu gdy u Trevora wykryto tę straszną chorobę, życie osobiste Ellisa przestało się liczyć. Wszystkie siły skupił na walce o zdrowie swego jedyne dziecko. Tej sprawie podporządkował wszystkie inne.

Widok Sydney mile go zaskoczył, okazała się też sympatyczna w rozmowie, ale uświadomił sobie, że żywi do niej uczucie żalu i coś w rodzaju zazdrości. Wciąż powracały te same pytania: dlaczego Sydney,

a nie on? W czym on był gorszy? Dlaczego Thomas wolał wziąć na wychowanie cudze dziecko, zamiast zająć się własnym? Wiedział, że Sydney nie jest niczemu winna, że pretensje powinien kierować pod adresem ojca, ale emocje brały górę nad rozsądkiem.

Odetchnął głęboko, by się uspokoić. Za chwilę stanie twarzą w twarz z mężczyzną, który ponad trzydzieści dwa lata temu porzucił swoją dziewczynę w ciąży; z mężczyzną, który nigdy nie zainteresował się ani jej losem, ani losem dziecka; z ojcem, który nie chciał słyszeć o własnym synu.

Przed drzwiami gabinetu zawahał się przez chwilę, ale myśl o Trevorze walczącym z chorobą dodała mu odwagi. Wszedł do pokoju.

- Tato, masz gościa - powiedziała Sydney.

Ellis obrzucił wzrokiem starszego pana, którego wychudzone ciało ginęło w olbrzymim, obitym ciemnobrązową skórą fotelu. Widać było, że ostatnio musiał znacznie stracić na wadze - ubranie na nim wisiało. Błede policzki były zapadnięte, oczy kryły ciemne okulary, a włosy były prawie białe.

- Powiedz mu, kimkolwiek on jest, że nie mam ochoty na towarzystwo - odezwał się Thomas.

Ellis nie zamierzał jednak zrezygnować ze swojej misji. Postawił tacę na pustym stoliku stojącym obok fotela i rozejrzał się wokół. Zobaczył mnóstwo zdjęć Sydney - jedne wisiały na ścianach, inne, w ramkach, stały na półkach. Starszy pan powoli zwrócił twarz ku Ellisowi. Wydawało się, że na niego patrzy, choć oczywiście tak nie było. Raport detektywa był zwięzły, ale dokładny. Thomas St. Claire

już nigdy nie będzie widział.

- Przykro mi, że nie jest pan usposobiony towarzysko, ale mam do pana bardzo ważną sprawę.

Sydney przenosiła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Widać było, że chce jakoś załagodzić sytuację.

- Tato, to jest Ellis Carlisle. Ellis, to mój ojciec, Thomas St. Claire - powiedziała, z naciskiem podkreślając słowa „mój ojciec”.

- Nie zna mnie pan, panie St. Claire - zwrócił się Ellis do starszego mężczyzny - ale znał pan moją matkę, Catherine Carlisle. - Usiadł na kanapie, nie czekając na zaproszenie. Starał się wyczytać coś z twarzy Thomasa. Wydawało mu się, że nie zareagował na nazwisko matki, ale trudno było to orzec, nie widząc wyrazu jego oczu.

- Catherine Carlisle? Nie sądzę, bym...

- Znał ją pan trzydzieści trzy lata temu - przerwał mu niecierpliwie Ellis.

- Miałeś wtedy tylko dwadzieścia czy dwadzieścia jeden lat, tato - dodała Sydney. Przysunęła stolik do fotela ojca i podała mu filiżankę z kawą.

Thomas pochylił głowę, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Ma pan na myśli Cathy? - spytał.

Ellis nigdy nie słyszał, by ktokolwiek zwracał się do jego matki tym zdrobnieniem. Zawsze była Catherine, ale „Cathy” do niej pasowało.

- Być może tak do niej mówiono. Była od pana o dwa lata młodsza.

- To prawda. Mieszkała z rodziną obok nas. - Thomas zwrócił ku niemu głowę. - Jakże się czuje pańska matka?

- Zmarła dwanaście lat temu.

- O, bardzo mi przykro. - W głosie Thomasa współczucie mieszało się z zakłopotaniem. - A co pana do mnie sprowadza? Skoro zdołał pan przekonać córkę, że to bardzo ważna sprawa, przypuszczam, że istotnie tak jest. Sydney nie dałaby się wyprowadzić w pole.

Teraz, kiedy już się spotkali, Ellis nie miał pojęcia, jak poruszyć ten temat. Fakt, że Thomas jest jego ojcem, nie był najważniejszy. Najistotniejsze było to, że może być odpowiednim dawcą szpiku dla Trevora.

- Panie St. Claire, potrzebuję od pana próbki krwi - wykrztusił wreszcie.

- Słucham...? - Thomas uniósł głowę. - Wiem, że nie widzę, ale czyżby moje uszy też były nie w porządku?

- Są w jak najlepszym porządku. Potrzebuję próbki pana krwi - powtórzył Ellis. Złożył dłonie, żeby ukryć ich drżenie. Tak wiele zależało od tej rozmowy! Trevor czekał na dawcę, czas naglił, to była ostatnia szansa ratunku dla chłopca.

- Dlaczego potrzebuje pan próbki mojej krwi?

- Mam pięcioletniego syna, Trevora. Stwierdzono u niego białaczkę... - Ellis przerwał na chwilę, by się uspokoić.

- Sam jestem ojcem, więc mogę sobie wyobrazić, co pan przeżywa - mruknął Thomas. Sięgnął po filiżankę i ostrożnie podniósł ją do ust. Wypił parę łyków. -Wciąż jednak nie widzę związku -

ciągnął - między chorobą pana syna a prośbą o próbkę mojej krwi.

- Przed czterema miesiącami choroba Trevora się cofnęła - powiedział Ellis, całą siłą woli nakazując sobie opanowanie. Nie pora na jego własne żale i pretensje. To przeszłość, a teraz toczy się walka o przyszłość Trevora. - Już od dawna nie czuł się tak dobrze. To najlepszy moment, żeby przeprowadzić transplantację szpiku. Potrzebuję próbki pana krwi, aby stwierdzić, czy może pan zostać dawcą.

- Nadal nie rozumiem. - Thomas potrząsnął głową. - Dlaczego chce pan moją starą krew?

- Trzydzieści procent dawców szpiku to członkowie rodziny. Pozostałe siedemdziesiąt to osoby obce. W rejestrze nie znaleziono ani jednego dawcy, który byłby odpowiedni dla Trevora, więc szukam wśród wszystkich krewnych.

- Teraz już naprawdę niczego nie rozumiem - stwierdził Thomas. - Nie byłem krewnym Cathy. Byliśmy tylko sąsiadami.

- Oczywiście, nie był pan spokrewniony z Cathy Carlisle, ale jest pan spokrewniony ze mną. Jest pan moim ojcem - wyrzucił z siebie Ellis. Thomasowi zadrżała ręka, parę kropel kawy spadło na spódnie. Nie odezwał się.

- Jest pan dziadkiem Trevora - tłumaczył Ellis, z trudem panując nad nerwami - a więc istnieje niska szansa, że...

- Chwileczkę! - Thomas z trzaskiem odstawił filiżankę i uniósł się z fotela. - Co to za pomysły? Skąd, u licha, przyszło panu do głowy, że jestem pańskim ojcem?

- Powiedziała mi to moja matka - odparł Ellis, myśląc jednocześnie, że Thomas nie powinien być aż tak zdumiony. Przecież wiedział, że Catherine nosiła pod sercem jego dziecko, kiedy opuszczała miasto. - Powiedziała też, że nie chciał się pan z nią ożenić ani przejąć odpowiedzialności za dziecko.

- Wymieniła moje nazwisko?

- Nie, nigdy nie wymieniła pańskiego nazwiska. - Ellis nie zamierzał przeciągać tej gry z niewidomym mężczyzną. Chciałby zobaczyć jego oczy ukryte za ciemnymi okularami. Wierzył, że oczy są zwierciadłem duszy. - Znam pana nazwisko z mojego aktu urodzenia.

- Sydney, ty mu wierzysz? - zapytał Thomas córkę.

- Wierzę, że uważa cię za swego ojca. Widziałam tę metrykę.

Rzeczywiście figuruje tam twoje nazwisko. Uznałam więc, że powinien z tobą porozmawiać, że najlepiej będzie, jeśli ty sam wyjaśnisz tę sytuację. - Sydney spuściła głowę i z zakłopotaniem obracała w rękę filiżankę.

- Rozumiem - odparł Thomas i zwrócił się ponownie do Ellisa:

- Przykro mi, ale nie jestem pańskim ojcem. Nie wiem, dlaczego Cathy podała moje nazwisko, ale mogę pana zapewnić, że nigdy nic nas nie łączyło. Byliśmy przyjaciółmi i sąsiadami, to wszystko.

- Nie chciałem pana dotknąć - usprawiedliwiał się Ellis. - Wszystko mi jedno, czy jest pan moim ojcem, czy nie. Dotychczas obywałem się bez ojca i nie najgorzej sobie radziłem. Muszę jednak wiedzieć, czy jest pan dziadkiem Trevora. Nie chcę od pana niczego prócz fiołki krwi. Później porozmawiamy na temat transplantacji.

Najpierw muszę się przekonać, czy mógłby pan zostać dawcą. - Jeśli czegoś się nauczył w biznesie, to tego, że każdy człowiek ma swoją cenę. Thomas zapewne też.

- Wszystko dokładnie pan zaplanował?

- Nie, panie St. Claire. W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy myślałem tylko o tym, co robić, żeby Trevor wyzdrowiał. Tylko to się liczy, temu celowi podporządkowałem wszystkie moje poczynania.

- Nie ma dla pana znaczenia, że pańska matka podała fałszywe nazwisko ojca swego dziecka?

- Pańska córka jest tego samego zdania co pan, ale szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego moja matka miałaby podawać fałszywe nazwisko. - Nagle przyszło mu do głowy coś, czego wcześniej nie brał pod uwagę.

- Znał pan moją matkę, kiedy miała osiemnaście lat.

Może pan wie, czy istniał jakiś powód, dla którego podała nazwisko pana zamiast mego prawdziwego ojca? - Ellis pociągnął łyk kawy i uśmiechnął się. - Zakładając, że rzeczywiście nie jest pan moim prawdziwym ojcem.

- Ja tego nie zakładam, ja to wiem - odparł Thomas.

- Nie mogę być pańskim ojcem i poddam się każdemu testowi, jakiego pan żąda, by tego dowieść. Nigdy bym nie opuścił Cathy ani żadnej innej kobiety, która nosiłaby w łonie moje dziecko.

Ellis nie zamierzał się z nim spierać. St. Claire był przecież ostatnią deską ratunku dla Trevora. Kłótnia niczego nie załatwi. A zgoda Thomasa na próbę krwi - bardzo wiele.

- O ile sobie przypominam - dodał Thomas - Cathy opuściła dom natychmiast po ukończeniu szkoły średniej.

- Zgadza się. Była wtedy w czwartym miesiącu ciąży. Miała zaledwie dziewiętnaście lat, gdy przyszedłem na świat. Urodziłem się w Filadelfii.

- Musiała być przerażona i bardzo samotna - powiedział Thomas, po czym zamilkł na dłuższą chwilę.

- Na pewno. - Ellis wolał nie wyobrazać sobie matki pozostawionej samej sobie w dużym, obcym mieście. Nie chciał myśleć o tym, że to z jego powodu była zmuszona opuścić bezpieczny dom rodziców.

- Jej ojciec był pastorem lokalnego kościoła metodystów, a matka grała na organach. Oboje bardzo udzielali się w kościele. Zresztą Cathy także. - Thomas zwrócił twarz w stronę Ellisa. - Byli bardzo przygnębieni jej wyjazdem. Jeśli dobrze sobie przypominam, trzy lata później przenieśli się do Teksasu.

- Owszem.

- Znał ich pan? Czy Cathy utrzymywała z nimi kontakt? - zapytał Thomas.

- Nie, nigdy ich nie widziałem. Do chwili śmierci matki nawet nie wiedziałem o ich istnieniu. Chciałem ich odszukać, ale okazało się, że zginęli w katastrofie lotniczej w Andach, gdy miałem dwanaście lat.

- A więc rodzina się nie połączyła?

- W każdym razie ja nic o tym nie wiem. -

Do diabła! Przeżył pierwsze dwadzieścia pięć lat życia, nie

wiedząc, co to znaczy prawdziwa, pełna rodzina. Dowiedział się tego dopiero, gdy poślubił Ginny, i to w tempie przyprawiającym o zawrót głowy. Prowadził własne przedsiębiorstwo transportowe, więc był cennym nabytkiem dla jej rodziny. Najpierw jej brat potrzebował pracy. Wszystko było w porządku, dopóki nie zaczął pić. Później trzeba było zatrudnić kuzyna, potem następnego. Wkrótce zaczęły się kłopoty. Nie dość, że kuzyni nie przykładali się do pracy i lekceważyli swoje obowiązki, to jeszcze przysparzali szkód przedsiębiorstwu. Tak więc instytucję pod nazwą „rodzina” Ellis poznał od najgorszej strony.

- To źle! Bardzo źle! - Thomas smutno potrząsnął głową. - Rodzina to coś świętego. Nigdy nie powinna zostać rozdzielona ani zniszczona.

- Skoro pan tak uważa, powinien pan mnie zrozumieć. Trevor to jedyna rodzina, jaką mam. - Ellis poczuł łzy pod powiekami, ale nie chciał okazać wzruszenia. Łzy są oznaką słabości, a syn potrzebował jego siły.

- Dam panu tyle próbek krwi, ile pan zechce, ale pod jednym warunkiem...

- Słucham. - Był gotów zapłacić każdą cenę.

- Chcę, żeby pan miał pełną świadomość, że nie jestem pańskim ojcem, więc szansa, że mogę być dawcą, jest równa zeru. Większe szczęście miałby pan na loterii. Wolałbym móc powiedzieć panu co innego, Ellis. Chciałbym być pańskim ojcem i ofiarować panu isierkę nadziei, ale nie mogę.

Słowa Thomasa brzmiały szczerze i Ellis nie miał podstaw, by

mu nie wierzyć.

- Ale da pan krew? - upewnił się.

- Tak, kiedy tylko pan zechce. Nie mogę pana widzieć, ale słyszę w pana głosie miłość do syna. I dlatego to zrobię.

Ellis poczuł ogromną ulgę, kamień spadł mu z serca. Ogarnęło go też wzruszenie. Krewni Ginny, do których zwracał się o pomoc, przede wszystkim chcieli wiedzieć, co będą mieli z tego, że zgodzą się na pobranie od nich szpiku do przeszczepu. Thomas St. Claire ani słowem nie wspomniał o gratyfikacji.

- Dziękuję - wykrztusił Ellis. Nie zdołał powiedzieć nic więcej.

- Pańska matka i ja spędziliśmy razem wiele miłych chwil, ale nie tak jak pan myśli. Byliśmy po prostu przyjaciółmi. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego Cathy nikomu nie powiedziała, że zamierza wyjechać. Pewnego dnia, gdy jej rodzice byli w kościele, spakowała walizkę i wyjechała. Nikt więcej o niej nie usłyszał. Byłem nawet na nią trochę zły. Ani telefonu, ani listu. Cisza. Była moją przyjaciółką, a pański syn jest jej wnukiem. Pomogę panu.

- Panie Carlisle - odezwała się milcząca dotychczas Sydney - może i ja bym oddała krew?

- Chce pani poddać się testowi?

- Oczywiście. Powiedział pan przecież, że siedemdziesiąt procent dawców to osoby obce dla biorcy. Nie jestem pana krewną, ale myślę, że moje szanse są takie same jak ojca.

- Zgodzi się pani, by zachowano pani dane w rejestrze dawców?

- W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy widział więcej dzieci chorych

na białaczkę, niż mógłby się spodziewać. Każde z nich modliło się o cud. Takim cudem może być szpik Sydney.

- Tak - odparła.

- Dziękuję, Sydney, bardzo dziękuję - powiedział wzruszony i zwrócił się ponownie do Thomasa: - Panie St. Claire, wszystko załatwię i dam państwu znać, gdzie i kiedy będzie pobrana krew. - Wstał. Jego misja skończyła się pomyślnie.

- Gdzie pan mieszka? - spytał starszy pan. - Przypuszczam, że nie w naszej okolicy.

- W Jenkintown. To niedaleko Filadelfii. Zatrzymałem się w motelu Starry Night. - Ruszył ku drzwiom. Chciał wyjść jak najprędzej, bał się, że Thomas może zmienić zdanie.

- Znam tę miejscowość. Chciałbym pana o coś poprosić...

Ellis zeszywniał. No tak, właśnie na to czekał. Na pytanie: „Co będę z tego miał, jeśli mój szpik się nada?”. Zatrzymał się na środku pokoju i spojrzał na St. Claire'a.

- Słucham? - O cokolwiek ten człowiek poprosi, dostanie to. Nie byłby w stanie niczego odmówić dawcy szpiku dla Trevora.

- Niech pan zatrzyma się u nas, dopóki nie wykonają testów. Dom jest duży i na pewno będzie tu panu wygodniej niż w motelu.

- Dlaczego pan chce, żebym tu zamieszkał? Jestem dla pana obcym człowiekiem - zdziwił się Ellis.

- Nie jest pan obcy, jest pan synem Cathy. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o życiu pańskiej matki. Ciekaw jestem, czy zrealizowała swoje plany i marzenia, o których mi opowiadała.

Nigdy nie słyszał, żeby jego matka miała jakieś marzenia. Pracowała ciężko, utrzymywała go, troszczyła się o niego i martwiła. Tak wyglądało życie Catherine. Wolałby nie przyjmować propozycji Thomasa St. Claire'a, ale trudno mu było odmówić po tym, co usłyszał w odpowiedzi na swoją prośbę o pomoc dla Trevora.

- Dziękuję panu, chętnie skorzystam z zaproszenia
- powiedział. - Atmosfera Starry Night jest nieszczerólna, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

- Doskonale. Mów mi Thomas albo Tom. Koniec z panem St. Claire'em. Czekamy na ciebie z kolacją - oświadczył starszy pan, po czym zwrócił się do córki:

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko pobytowi Ellisa w naszym domu przez parę najbliższych dni?

- Oczywiście, że nie, tato - odparła i rzuciła Ellisowi spojrzenie, którego nie byłby w stanie rozszyfrować, nawet gdyby zależał od tego los jego przedsiębiorstwa.

- Pan Carlisle będzie bardzo mile widziany.

ROZDZIAŁ 3

Sydney chodziła tam i z powrotem wzdłuż stołów, na których stały skrzynki z rozsadami petunii. Niebawem pokryją się różnokolorowymi kwiatami. Teraz w czarnej ziemi tkwiły jeszcze delikatne zielone sadzonki. Odwróciła się do Cindy i wykrzyknęła po raz szósty w ciągu paru minut:

- Nie rozumiem, jak on mógł to zrobić!
- To jego dom. Może zapraszać, kogo chce. - Cindy spojrzała na czarną skrzynkę z czterema więdnącymi roślinami i zdjęła ją ze stołu. - Myślę, że powinnaś się cieszyć, że wreszcie z kimś porozmawia, nawet jeśli to ktoś obcy. - Postawiła skrzynkę na wózku, na którym znajdowały się już inne przywiedłe rośliny.

Sydney nie mogła wykrzesać z siebie energii, by zająć się roślinami. Już od paru godzin była w szklarni i co robiła? Opowiadała Cindy o ojcu i swoich problemach rodzinnych.

- Jeszcze nigdy nie był tak rozmowny jak dziś rano - przyznała.
- Owszem, cieszy mnie to. Mógłby przegadać z tym Ellisem cały dzień i wcale by mi to nie przeszkadzało. Jednak zaproszenie go do nas na parę dni to zupełnie co innego. - Uniosła ręce do góry w geście poirytowania. - Kompletnie nic o nim nie wiemy. - Kopnęła kamień leżący pod stołem, ale wcale jej nie ulżyło. Tylko zabolął ją palec.

- Ja bym zaryzykowała, jeśli rzeczywiście jest taki, jak mówiłaś. Nie co dzień tacy przystojniacy zjawiają się w Coalsburgu, możesz mi

wierzyć - odparła ze śmiechem Cindy.

Sydney potrząsnęła głową. Całe miasto wiedziało, że Cindy oglądała się za chłopakami od czasu, gdy skończyła trzynaście lat.

- I niecodziennie się zdarza, że tacy przystojniacy podają się za syna mojego ojca.

- To znaczy, że jest twoim bratem, czyż nie?

- Nie, to znaczy, że cała ta sprawa jest bardzo zagmatwana. -

Sydney widziała w niebieskich oczach przyjaciółki błysk zainteresowania, gdy opisywała Ellisa. Musiała od razu wyjaśnić jej parę istotnych szczegółów. - Thomas nie jest jego ojcem i w związku z tym Ellis niepotrzebnie się łudzi, że może on zostać dawcą szpiku dla jego chorego synka. Badanie krwi jest, moim zdaniem, zbędne, ponieważ wszyscy wiemy, jak się sprawy mają.

- Więc dlaczego i ty chcesz się poddać testom? To on cię namówił?

- Skądże! Po prostu uznałam, że jeśli mogę pomóc, powinnam to zrobić. Mówił o chorym synku z wielką miłością, walce o jego życie podporządkował swoje wszystkie działania. Tylko ktoś, kto miałby kamień zamiast serca, nie wzruszyłby się losem Trevora.

W szklarni było bardzo ciepło. Sydney z trudem wytrzymała w bawełnianym sweterku, który włożyła, wychodząc z domu. Znowu popatrzyła na stół, przy którym stała. Nie przepadała za upałem, ale petunie, które właśnie wykluwały się z ziemi, najwyraźniej czuły się świetnie w takiej temperaturze.

- Sądzisz, że nie mam się o co martwić? - zwróciła się do

Cindy, podejmując przerwana rozmowę.

- Pytasz mnie jako pracownicę czy przyjaciółkę?
- Jako przyjaciółkę - odparła Sydney.
- Jako przyjaciółka powiem ci, że za bardzo się tym wszystkim przejmujesz. Nie wyjdzie ci to na zdrowie i może zaszkodzić urodzie.
- Wolę nie myśleć, co byś powiedziała, gdybyś była moim wrogiem. - Nie była ślepa. Codziennie rano widziała w lustrze własne odbicie. Stres spowodowany wypadkiem rodziców, śmiercią matki i kalectwem ojca, kłopoty związane z prowadzeniem firmy, wreszcie brak snu zrobiły swoje. - Mam niewidomego ojca, który potrzebuje ciągłej opieki. Moi pracownicy nazwali mnie „niewidzialnym pracodawcą”, ponieważ za mało czasu poświęcam firmie, a na dodatek poinformowano mnie, że ma być przeprowadzona kontrola. - Znowu kopnęła ze złością kamień i uraziła się w palec, który i tak już ją bolał.
- I jakby tego wszystkiego nie było dość - ciągnęła - muszę gościć jakiegoś obcego faceta, który uważa się za syna mojego ojca i panoszy się w moim domu.
- Mogłaś go przysłać do mnie. Wprawdzie nie mam gościnnego pokoju, ale myślę, że coś bym wykombinowała. Wybawiłabym cię z niezręcznej sytuacji.

Sydney roześmiała się.

- A co z resztą problemów? - spytała, poważniejąc.
- Nigdy nie nadawałam się do roli Scarlett O'Hary i nie odkładałam zmartwień na jutro.
- Cóż, niech księgowy zajmie się kontrolerami, kiedy ci ich

przysła. Naprawdę nie masz powodów do niepokoju. - Cindy podniosła następną skrzynkę z sadzonkami. - Nie potrafiłabyś zrobić nic nieuczciwego, nawet gdyby dawał ci instrukcje sam Al Capone.

- Al Capone nie żyje.

- Wiem. - Cindy obejrzała się przez ramię. - A kto zajął jego miejsce?

- Politycy.

- Nie potrafiłabyś być nieuczciwa, nawet gdyby instruował cię jakiś polityk - zaśmiała się Cindy. - A co z tym „niewidzialnym pracodawcą”?

- Tym się zanadto nie przejmuję - odparła Sydney.

- Nie mogę mieć im za złe, że tak mnie nazywają. Prawie mnie nie widują. - Czowała się winna. Sama już nie wiedziała, czy powinna raczej mniej czasu poświęcać pracy, a więcej ojcu, czy odwrotnie.

Dreńczyły ją wyrzuty sumienia i starała się sama siebie jakoś usprawiedliwić. - Ojciec nie może być sam. Bardzo się denerwuje, kiedy mnie nie ma w pobliżu. Nie każdego toleruje.

- A teraz jest z nim ciotka Mary?

- Tak. W jej towarzystwie czuje się jeszcze stosunkowo dobrze.

- Pewnie dlatego, że zawsze, ile razy jest u was, cały czas spędza w kuchni, przygotowując więcej jedzenia, niż wy dwoje dacie radę zjeść w ciągu tygodnia. A propos, jeśli upiecze znowu ten swój słynny placek z czereśniami, pamiętaj, kto jest twoją najlepszą przyjaciółką.

- Przyjechała obładowana torbami. Nietrudno zgadnąć, że

będzie gotować. Wspomniała coś o kurczaku z rożna. - Mary mogła spędzać całe godziny w kuchni, ale Thomas i tak nie wyraziłby uznania dla jej talentu kulinarnego. Prawie nie tykał tego, co przygotowała.

- Powiedziałaś jej, że na obiedzie będą trzy osoby i że ktoś rości sobie pretensje do bycia jej bratankiem?

- Poinformowałam ją, że Ellis zostanie u nas przez parę dni, ale nie mówiłam, kim jest, za kogo się uważa i po co przyjechał. Wspomniałam tylko, że jest synem dawnej przyjaciółki ojca.

Ciotka Mary była bardzo zainteresowana szczegółami, ale Sydney nie czuła się upoważniona do wtajemniczenia jej w sytuację. Ojciec sam jej powie to, co uzna za stosowne. W końcu to jego sprawa. O wizycie Ellisa opowiedziała tylko Cindy, która była jej najlepszą przyjaciółką i potrafiła trzymać język za zębami. A ona potrzebowała kogoś, komu mogłaby się zwierzyć i na czyim ramieniu mogłaby się wypłakać.

- Zostawiłam Mary samą w kuchni. - Sydney westchnęła i rzuciła okiem na zegarek. - Co mi przypomina, że powinnam już iść, jeśli mam zdążyć do domu na kolację. Ian chciał, żebym wpadła do szklarni z młodymi drzewkami, a Shirley prosiła, żebym przejrzała listę zamówień. - Spojrzała na Cindy. - Dasz sobie radę sama?

- Oczywiście. - Cindy była na tyle miła, by nie przypomnieć, że Sydney i tak w niczym jej nie pomagała.

Była już w drzwiach, gdy zatrzymał ją głos przyjaciółki.

- Wiesz, jeśli chodzi o twego ojca...

- To co?

- Przestań się tak o niego martwić. Za bardzo mu matkujesz.

Musi wreszcie pogodzić się z sytuacją.

- Pogodzić? Stracił żonę, pracę i wzrok! - Sydney popatrzyła zdumiona na Cindy.

- Nie da się przywrócić tego, co było. Życie ma swoje prawa. Pogodzi się z losem, jeśli przestaniesz mu matkować. Nie jest dzieckiem, sam musi się uporać ze swoimi problemami.

Sydney patrzyła na przyjaciółkę przez dłuższą chwilę, po czym odwróciła się i bez słowa opuściła szklarnię. W pierwszym momencie była gotowa obrazić się na Cindy. O co jej chodzi? Czy to źle, że opiekuje się chorym, załamany człowiekiem? Że odpłaca mu w ten sposób za to, że ją przygarnął i wychował? Po chwili jednak przyszła refleksja, że może Cindy ma rację. Może rzeczywiście jej nadmierna troskliwość przytłacza ojca, nie mobilizuje go, niejako zwalnia z samodzielnego przeciwstawienia się sytuacji. Kierowała się miłością do ojca, ale skąd mogła wiedzieć, kiedy kocha się za bardzo?

Szła do domu przez puste, spowite mrokiem pole. Nie bała się, że zabłądzi albo wpadnie w jakiś dół. Chodziła tymi polami, od kiedy skończyła dziesięć lat, i znała je na pamięć. Przez minione lata w Coalsburgu niewiele się zmieniło.

Już z daleka widziała oświetlony ganek. To znak pobytu w ich domu ciotki Mary. Gdy tylko zaczynało zmierzchać, zapalała wszystkie światła.

Podczas każdej wizyty ciotki Sydney starała się jak najszybciej

uporać z pracą w szklarniach i obowiązkami biurowymi, aby w miarę wcześnie wrócić do domu. Nie chciała za bardzo wykorzystywać siostry ojca, choć ona sama zapewniała, że może zostać tak długo, jak to będzie potrzebne. Jej dzieci były już dorosłe, miała więc trochę wolnego czasu i z chęcią zajmowała się bratem.

Tego dnia Sydney poczekała do piątej, aż wyszli wszyscy pracownicy, i pozamykała drzwi. Nie robiła tego od sześciu miesięcy, od czasu wypadku rodziców. Nie mogła przeboleć śmierci matki, wciąż miała przed oczami jej twarz, pamiętała, jak razem pracowały w szklarni. Często zdawało jej się, że wyczuwa obecność matki obok siebie. Dlatego też wciąż zaglądała do szklarni, nawet kiedy nie było to konieczne. Była to jednak tylko fasada. To się musi zmienić, musi odzyskać kontrolę nad przedsiębiorstwem. Był też i drugi powód, dla którego zwlekała z powrotem do domu. Nazywał się Ellis Carlisle.

Kiedy wróci, zastanie go tam. Jak ma sprostać tej sytuacji? Ale chyba nie było się co specjalnie nad tym zastanawiać. Thomas zaprosił Ellisa, on przyjął zaproszenie i dopiero po fakcie ojciec spytał ją, czy nie ma nic przeciwko temu. Nawet gdyby miała, nic by to nie zmieniło.

Wzięła z biura stos dokumentów. Czekala ją zaległa papierkowa robota. Weszła na oświetlony ganek i usiadła na ławce. Za życia matki obie chętnie tu odpoczywały, gdy wracały ze szklarni. Pomyślała, że chyba nigdy nie pogodzi się z tym, co się stało, że jeszcze długo będą ją ścigać wspomnienia. Położyła obok papiery i spojrzała na swoje nogi. Wróciła do rzeczywistości. Po wędrówce przez pola buty miała powalane błotem i gliną. Musi je zdjąć tutaj, żeby nie zabrudzić

podłogi w domu.

Przymknęła oczy. Znowu natrętnie powróciło pytanie, które nękało ją przez całe popołudnie. Dlaczego ojciec zaproponował Ellisowi, by u nich zamieszkał? Przedtem nigdy nikogo nie zapraszał na nocleg. On i Julia byli dumni ze swego domu, ale nie prowadzili ożywionego życia towarzyskiego. Jedyni goście, jacy zatrzymywali się u nich na noc, to przyjaciele matki z college'u i jej siostra, Rose, która odwiedzała ich co roku. Poza tym pokój gościnny był nie używany z wyjątkiem tych dni, gdy ona albo matka szyły na stojącej tu maszynie.

Dlaczego więc ojciec zaprosił kogoś obcego? Czy chodziło o to, że przyjaźnił się z Catherine Carlisle? Jak bliska była ta przyjaźń? I czy była na tyle silna, by przetrwać trzydzieści dwa lata? Czy rzeczywiście Ellis mógł być synem Thomasa? Może właśnie dlatego ojciec go zaprosił?

Usłyszała, że otwierają się drzwi prowadzące do kuchni, ale nie popatrzyła w tę stronę. Pewno ciotka jej szuka. Musiała widzieć, że wraca.

- Zaraz przyjdę, Mary! - zawołała, nie otwierając oczu. Poczowała smakowity zapach pieczonego kurczaka.

- Ładnie pachnie - dodała.

- Właśnie to samo powiedziałem - usłyszała w ciemności niski głos Ellisa.

- Och, myślałam, że to ciotka - bąknęła zaskoczona.

- Raz czy dwa w życiu wzięto mnie za kogoś innego, ale jeszcze nigdy za czyjąś ciotkę. - Ellis zamknął za sobą drzwi i wyszedł na

ganek. - Mary widziała cię przez okno - powiedział, bezwiednie przechodząc na ty - i zastanawiała się, dlaczego nie wchodzisz.

Miał na sobie to samo ubranie co rano, ale wyglądał na bardziej rozluźnionego, pewnego siebie. Skąd ta zmiana? Czy sprawiło to zaproszenie ojca, czy jego zgoda na przeprowadzenie badania krwi?

- Podoba ci się twój pokój? - spytała.

- Bardzo. Jeśli jednak mój pobyt w waszym domu nie jest po twojej myśli, przeprowadzę się do motelu.

- To nieważne, co ja o tym myślę - odparła. Chciała dać Ellisowi do zrozumienia, że nie jest aż tak uprzejma jak jej ojciec. Powinni ustalić jakieś zasady.

- Ważne, co myśli Thomas, tak?

- Właśnie.

- Jestem pewien, że twój ojciec nie chciałby, żebyś czuła się nieswojo z tego powodu, że ktoś obcy kręci się po domu.

- Na pewno nie, ale z jakiegoś powodu chce, żebyś tu był, więc będziesz - mruknęła Sydney. Miała zaufanie do doświadczenia ojca, wieloletniego oficera policji, który nie zwykł mylić się w ocenie ludzi.

- Czegokolwiek Thomas chce, to dostaje?

- Oczywiście - odparła. Nigdy nie sprzeciwiała się ojcu i nie postępowała wbrew jego woli, więc dlaczego tym razem miałyby uczynić inaczej? Skoro ojciec podjął w tej sprawie taką decyzję, nie może i nie chce mu się przeciwstawić.

- Żebyś mogła spokojnie spać, chciałbym cię zapewnić, że nie przyjechałem tu po to, by zrobić krzywdę tobie czy twojemu ojcu.

Chodzi mi wyłącznie o mojego synka, o to, by wykorzystać wszystkie możliwości.

Sydney wstała i sięgnęła po stertę papierów. Może i nie przyjechał po to, żeby im wyrządzić krzywdę lub dochodzić swoich praw, ale mógł wprowadzić rozdźwięk między nią a ojcem. Spojrzała na swoje poplamione dżinsy i westchnęła. Zdecydowanie nie była usposobiona towarzysko. Czuła się brudna i zmęczona. Marzyła o prysznicu. Długi, gorący prysznic powinien postawić ją na nogi. Niewykluczone, że po nim ustąpi też dojmujący ból głowy, który dokuczał jej od rana.

- Muszę cię ostrzec, Ellis - powiedziała, zmierzając ku drzwiom.

- Przed czym?

- Potrafię bronić tego, co moje. W przenośni i dosłownie. Ojciec nauczył mnie posługiwać się bronią. Podobno znakomicie strzelam i zapewniam cię, że trafiam tam, gdzie celuję - dodała z naciskiem. Odwróciła się gwałtownie, otworzyła drzwi i weszła do kuchni.

Thomas wydawał się szczerze zainteresowany losami Catherine Carlisle. Podczas kolacji zasypał Ellisa pytaniami i choć starał się nie robić tego zbyt natarczywie, Ellis miał wrażenie, że jest przesłuchiwany. Starszy pan unikał zbyt osobistych tematów, ale chętnie wracał do lat młodości, kiedy przyjaźnił się z Cathy. Sprawiał przy tym wrażenie człowieka, który nie ma nic do ukrycia. Nie był zakłopotany czy zmieszany. Swobodnie i szczerze odpowiadał na nieliczne pytania, jakie zadawał mu jego gość.

Ellis przyjechał do Coalsburga z jasno określonym poglądem na temat mężczyzny, który porzucił kobietę w ciąży i nie zainteresował się jej losem, mężczyzny, który przygarnął i wychował cudze dziecko, a o swoim własnym zapomniał. Postanowił jednak, że nie będzie myślał o tym podczas tej wizyty, że nie pozwoli, by emocje wzięły górę. Jego sprawy się nie liczyły. Najważniejszy był Trevor i szansa, jaką mógł mu stworzyć Thomas.

Zauważył, że starszy pan je niewiele. Jego siostra, Mary, wróciła do domu, do męża, nie została z nimi na kolacji. Okazała się znakomitą kucharką. Ellis nie przypominał sobie, by kiedykolwiek jadł równie smaczny posiłek. Prawdopodobnie Thomas po prostu nie miał apetytu. Było niemożliwe, żeby kolacja przygotowana przez siostrę mu nie smakowała. Z pewnością jeszcze nie doszedł do siebie po tragedii, jaka go spotkała. Ożywił się, wspominając lata młodości, ale widać było, że nie jest w najlepszej formie. Nic dziwnego, tyle się na niego ostatnio zważyło.

Trudno było żywić nienawiść do tego wyniszczzonego, smutnego, zdanego na opiekę innych mężczyzny, którego kalectwo przykuło do fotela, a śmierć żony i utrata wzroku wpędziły w depresję. Ellis szybko jednak przywołał się do porządku. Musi być twardy. Nie przyjechał tu po to, by okazać współczucie Thomasowi. Znalazł się tu tylko dlatego, że ten człowiek może zostać dawcą i uratować Trevora.

Rzucił okiem na kanapę. Sydney usiadła na niej z przenośnym komputerem na kolanach. Obok, na przysuniętym do kanapy stoliku do kawy piętrzył się stos dokumentów. Dziewczyna wydawała się

całkowicie pogrążona w pracy, ale przechwycił parę badawczych spojrzeń, jakimi go obrzuciła. Był przekonany, że przez cały czas zwraca baczną uwagę na niego i na swojego ojca i że nie uroniła ani jednego słowa z ich rozmowy.

Bardzo go zaintrygowała, i to nie tylko dlatego, że wciąż zadawał sobie pytanie, dlaczego właśnie ją Thomas uczynił swoją córką. Od razu zwrócił uwagę na jej urodę, a podczas pierwszej wymiany zdań przekonał się, że potrafi stać na straży spokoju ojca, którego bardzo kocha. Potem stwierdził, że jest mu bezgranicznie oddana, ale jest też wrażliwa na ból czy krzywdę innych. Zaproponowała przecież siebie jako potencjalnego dawcę.

Gdy tego wieczoru rozmawiał z nią na ganku, poczuł, że rozchodzi się od niej ostry zapach. Nie był jednak tego pewny, dopóki Sydney nie weszła do kuchni, a Mary nie kazała jej przed kolacją wziąć prysznic. Thomas się nie odezwał i dopiero gdy Sydney poszła na górę, przyznał, że zapach córki przypominał mu zmarłą żonę Julię. Ellis uświadomił sobie, że to przecież Julia St. Claire założyła szklarnie, a Sydney je przejęła. Kiedy matka żyła, na pewno pracowały razem i córka zdobyła niezbędne doświadczenie. Była zupełnie inna niż kobiety z jego otoczenia. Ginny nie wyszłaby z sypialni, gdyby przedtem obficie nie skropiła się perfumami. Sydney żyła blisko natury, w otoczeniu przyrody.

Miała teraz na sobie ten sam zielony sweterek z krótkimi rękawami, który włożyła rano, tylko że tym razem połączyła go z krótką spódnicą, a nie džinsami. Widział jej smukłe łydki i szczupłe

kostki. Była naprawdę zgrabna i ładna. I co z tego? - przywołał się do porządku. Nie przyjechał tu dla niej - do niedawna iiawet nie miał pojęcia o jej istnieniu. Był tu ze względu na Trevora. Musi uważać, Sydney go rozprasza, jest niebezpieczna.

- Rozmawiałeś dzisiaj z synem? - zapytał Thomas, przerywając ciszę panującą w pokoju.

- Tak. W południe.

- Nie ma ci za złe, że zostaniesz tu przez parę dni?

Ellis nie chciał głośno przyznać, że w głosie syna było słycać łzy, gdy oznajmił mu, że jeszcze nie wróci. Czuł się winny, mimo że Trevor znajdował się pod bardzo dobrą i czułą opieką pani McCall. Nie wiedział, jak wytłumaczyć chłopcu powagę sytuacji. Mógł wrócić do Jenkintown i zostać z Trevorem do czasu nadejścia wyników badania krwi Thomasa. Ale jeśli zdarzy się cud i St. Claire będzie mógł zostać dawcą, a potem z jakichś niewiadomych przyczyn nie zdecyduje się na to, miałby związane ręce. Nie znał Thomasa na tyle, żeby wiedzieć, jak na niego wpłynąć, by zmienił zdanie. Nie wolno mu było zmarnować tej jedynej szansy.

- Trevor był trochę smutny - odparł - ale obiecałem mu, że rozejrzę się za orangutanem.

- Orangutanem...?

- Mój syn kolekcjonuje pluszowe, gumowe i plastikowe dzikie zwierzęta. Powiedział mi, że wciąż brakuje mu orangutana. Ma goryla i szympansa, ale chciałby mieć także orangutana.

- Prawdziwe zoo - mruknął Thomas.

- Jeszcze jakie! Paru moich kolegów dowiedziało się o kolekcji Trevora i kupiło mu gumowego aligatora. Został ulokowany w łazience, bo w pokoju dzieciennym nie ma już miejsca. Za każdym razem, gdy zapalam światło, odruchowo się cofam.

- A co zjada aligator? - zaśmiała się Sydney.

- Co tylko zechce. - Podobał mu się jej śmiech: niski, gardłowy i zmysłowy. - Zawsze znajdzie sobie jakiegoś puszystego misia.

- Czy te zwierzęta mają jakieś imiona? - Sydney zdjęła okulary i położyła je na stercie papierów, które przeglądała. - Kiedy byłam mała, wszystkim swoim zwierzętom nadawałam imiona. - Zobaczył, jak jej twarz rozjaśnia się w uśmiechu, gdy patrzy na ojca.

- Nazywała je dziewczęcymi imionami, Lulu i Priscilla - powiedział Thomas. - Chłopcy zazwyczaj wybierają groźnie brzmiące przydomki, takie jak Zabijaka czy Mściciel. Założę się, że Trevor też tak robi.

- Obawiam się, że nie - odparł Ellis. - Owszem, nadaje imiona wszystkim swoim zwierzętom, ale uważa, że to powinny być imiona ludzkie. Na przykład miś nosi imię Fred.

- Fred, coś podobnego - zdziwiła się Sydney. - Skąd taki pomysł?

- To akurat mój pomysł. Już nam zaczyna brakować imion. Słoń to Wilson, żyrafa ma na imię Lawrence, a lew Richard.

- Do tego jeszcze ma być orangutan - dodał z uśmiechem Thomas. - Nie zazdroszczę ci, Ellis. W Coalsburgu rzadko można spotkać orangutana. Ostatnim razem widziałem jednego w

osiemdziesiątym drugim. A może w osiemdziesiątym trzecim?

Ellis zauważył, że Sydney spogląda na ojca ze zdziwieniem i zarazem radością. Domyślił się, że do tej pory Thomas rzadko się uśmiechał. A może wcale? Pamiętał, że gdy pierwszy raz go zobaczył, starszy pan sprawiał wrażenie ponurego, wydawał się nieobecny duchem, pogrążony w bólu.

- Będę o tym pamiętać podczas jutrzejszego polowania - powiedział.

- Spróbuj w sklepie „Para za Parą” przy głównej ulicy - poradziła Sydney. - Mają tam wszystkie zwierzęta świata.

- „Para za Parą”?

- To sklep z zabawkami nazwany tak na cześć arki Noego.

Właścicielką jest Georgette Gentry. Jeśli nie będzie miała orangutana, sprowadzi go z hurtowni.

- Zapomniałem o tym sklepie - powiedział Thomas.

- To na skrzyżowaniu Main Street i Oak Street. Znajdziesz tam na pewno z tuzin gatunków dzikich zwierząt, o których nawet nie masz pojęcia.

- Co oznacza, że wracając do domu, będę miał samochód załadowany zwierzętami.

- Pewnie tak. - Sydney włożyła okulary i wróciła do dokumentów. - U Georgette jest wszystko. Założę się, że znajdziesz tam nawet żonę dla aligatora.

- Właśnie tego potrzebuję. Dwa aligatory w łazience.

- Coś mi przyszło do głowy, Ellis - odezwał się Thomas. -

Dlaczego nie przywieziesz tutaj Trevora? Będzie tu bardzo mile widziany, mamy dużo pokoi, no i zostało coś z dziecięcej kolekcji Sydney.

Kusiło go, by przyjąć tę propozycję. Naprawdę miał na to ochotę. Bardzo tęsknił za synem, a i on niecierpliwie wyczekiwał powrotu ojca. Nie mógł sobie jednak pozwolić na to, by ulec pokusie. Mimo całej gościnności Thomasa wciąż mu nie ufał. Nie chciał, żeby jego syn znalazł się w domu, w którym ktoś mógłby mu zrobić przykrość.

Trevor bardzo chciał mieć dużą rodzinę. Ginny zniknęła zaledwie sześć tygodni po jego urodzeniu, dlatego lgnął do osób, które znalazły się w jego otoczeniu. Był zrozpaczony, kiedy musiał opuścić szpital. Wszystkich lekarzy i pielęgniarki uważał za swoją rodzinę.

- Dziękuję, ale wyniki będą już za kilka dni. Nie chciałbym wprowadzać jeszcze większego zamieszania w waszym domu. Nie wyobrażacie sobie, na co stać pięciolatka. - Usiłował się uśmiechnąć.

- Poza tym nie chciałbym pozbawiać jego opiekunki możliwości zarobku.

- Tak czy inaczej, gdybyś zmienił zdanie, dla Trevora zawsze znajdzie się miejsce - powiedział Thomas.

- Przydałoby się trochę ożywić ten stary dom. Od dawna mówię Sydney, że powinna wyjść za mąż i dać mi wnuki.

- Nie myślisz chyba, że wyjdę za mąż i będę miała gromadkę dzieci tylko dlatego, że chcesz zostać dziadkiem - oświadczyła Sydney.

Ellis pomyślał, że gdyby Thomas nie porzucił Catherine Carlisle i

swego nie narodzonego dziecka, miałby wnuka już od pięciu lat.

- Sydney ma rację - powiedział. - Sprowadzanie na świat dzieci tylko po to, żeby kogoś uszczęśliwić, na ogół niczym dobrym się nie kończy.

Ginny zaszła z nim w ciążę, bo uważała, że w ten sposób uratuje małżeństwo, w którym nie działało się dobrze. Ale wcale nie zamierzała zmieniać trybu życia, do którego była przyzwyczajona. Myślała, że dziecko scali ich małżeństwo, i po części miała rację. Ellis nigdy nie rozwiódłby się z matką swego dziecka. Był przekonany, że dziecko potrzebuje matki. To Ginny zaproponowała rozwód i wywalczyła sobie wysokie alimenty. Nie chciała dziecka. Ellis nie za bardzo się tym przejął. Uznał, że zyskał więcej niż ona. Dostał Trevora.

- Zgadzam się z tobą, Ellis. - Thomas zwrócił twarz w stronę Sydney. - Moja córka wie, że żartuję, ale chciałbym, żeby nie była tak przesadnie wybredna.

- Wybredna? - prychnęła Sydney.

- Cóż, kobieta ma prawo być trochę wybredna, jeśli chodzi o wybór męża i ojca jej dzieci - stwierdził Ellis.

- Nie potrzebuję twojego wsparcia, Carlisle - zachnęła się Sydney i spojrzała z wyrzutem na ojca. - Nie podoba mi się, tato, że poruszasz taki temat przy kimś obcym.

- Ellis nie jest obcy, to syn Cathy - zaproponował St. Claire. - A nawiasem mówiąc, miałaś dwóch dobrych kandydatów, ale z nie znanych mi powodów obu odrzuciłaś.

- Tato, naprawdę nie rozumiem, o co ci chodzi. - Sydney zebrała

swoje papiery i skierowała się do drzwi. - Najlepiej zostawię was samych. Będziecie się mogli do woli nagadać. Zajrzę do ciebie, tato, zanim się położę - rzuciła jeszcze. - Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebował, Ellis. Dobranoc.

- Ta dziewczyna ma charakter - powiedział z zadowoleniem Thomas, gdy Sydney wyszła z pokoju.

- Myślę, że niepotrzebnie ją zdenerwowałeś - zauważył Ellis.

- O to właśnie chodziło - uśmiechnął się Thomas.

- Chciałeś, żeby Sydney była na ciebie zła?

- Nie, ale od czasu wypadku chodzi wokół mnie na palcach i traktuje mnie tak, jakbym za chwilę miał się rozpaść na kawałki. To nie jest ani mądre, ani potrzebne. A w dodatku wcale mi nie pomaga otrząsnąć się po tej tragedii. Dopiero dzisiaj, sprowokowana przeze mnie, pokazała pazurki.

- Mogę coś powiedzieć jako postronny obserwator? - spytał Ellis.

- Wal śmiało.

- Jeśli nie chcesz, żeby Sydney traktowała cię inaczej, zmień postępowanie, sposób funkcjonowania w tym domu. Przestań zamykać się w swoim świecie, zainteresuj się innymi.

ROZDZIAŁ 4

Sydney patrzyła w niebo, szukając odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Nie otrzymała jednak żadnego znaku. Gdzieś między ostatnim wieczorem w gabinecie ojca a tym rankiem straciła jedną stronicę z księgi życia.

Wraz ze wschodem słońca jej ojciec się zmienił.

Wydawało się, że Thomas St. Claire otworzył się na świat wokół siebie i zdecydował, że czas zacząć żyć inaczej. Coś, a może ktoś spowodował, że nagle się ożywił. Instykt mówił Sydney, że tym kimś był Ellis. Ale jak to zrobił? Znała ojca lepiej niż ktokolwiek inny. Co mógł powiedzieć czy uczynić obcy człowiek, że Thomas tak się zmienił?

Głowiła się nad tym przez cały ranek. Może wystarczyła sama obecność Ellisa? Ale dlaczego? Było tylko jedno racjonalne wytłumaczenie. Ellis jest synem Thomasa. Dziwnym zrządzeniem losu Thomas spotkał po tylu latach własne dziecko, w dodatku dowiedział się, że ma wnuka, i uznał, że warto żyć. Na pierwszy rzut oka nic nie można było zarzucić temu rozumowaniu. Jednak pozostawało ono w pewnej sprzeczności z rzeczywistością. Otóż tego ranka, kiedy pojechali do laboratorium, żeby pobrano im krew, Thomas poprosił, by i Ellis poddał się badaniu, co oznaczało, że chciał udowodnić, iż nie jest jego ojcem. Sydney odniosła wrażenie, że Ellis zgodził się na to tylko z obawy, że Thomas mógłby się wycofać z obietnicy i nie oddać

swojej krwi do analizy.

Stała teraz przed komisariatem, dokąd przywiozła ojca, który zażyczył sobie odwiedzić, jak się wyraził, „chłopaków”. Po raz pierwszy od wypadku przestąpił próg tego budynku. Widziała zdumione, ale i uśmiechnięte twarze mężczyzn, którzy byli nie tylko kolegami i współpracownikami, lecz także przyjaciółmi Thomasa. Powitali go serdecznie, poczęstowali kawą i, jak zwykle, zaczęli narzekać na przeciążenie obowiązkami i ciężką służbę. Ojciec był w siódmym niebie - ożywiony, szczęśliwy. Zostawiła go pogrążonego w rozmowie z dawnymi kolegami i wyszła na zewnątrz.

Powinna być zachwycona. Przecież tak bardzo ubolewała nad tym, że ojciec odgradził się od świata i ludzi i zamykał w sobie. Powinna... Dlaczego więc nie była? Spojrzała na ulicę i jej wzrok zatrzymał się na ciemnozielonym mercedesie. To samochód Ellisa. Uparł się, by pojechać do laboratorium w innym mieście. Później ochoczo zaproponował, że podrzuci Thomasa na komisariat, a sam wybierze się do miasta na zakupy. Sydney nie zgodziła się na to, ponieważ miała wrażenie, że Ellis usiłuje zająć jej miejsce.

Zamiast wykorzystać dodatkowy wolny czas i zająć się pracą, postanowiła, że również pojedzie do miasta. Była córką Thomasa St. Claire'a i jeśli ktokolwiek miał mu pomóc w przejściu chodnikiem Main Street, to właśnie ona, a nie Ellis.

Spojrzała w kierunku mercedesa i zauważyła, że jest pusty. Mimo wszystko poczuła się zawiedziona. Dlaczego? Czyżby liczyła na to, że Ellis zwróci się do niej o pomoc w zakupach? Przecież musiał się

zorientować, że wszystko można załatwić na Main Street, przy której znajdowała się większość sklepów oraz siedziba banku i lokalne urzędy. Czego ona właściwie oczekuje i jaki jest jej stosunek do Ellisa? - na to pytanie nie potrafiła sobie odpowiedzieć.

Z ciężkim sercem, pełna sprzecznych myśli, weszła do sklepu samoobsługowego. Wzięła czerwony plastikowy koszyk i podeszła do półki z szamponami. Nagle zatrzymała się w przejściu. Zauważyła Ellisa przy półce z książkami dla dzieci. Na jego twarzy malował się głęboki smutek. Nietrudno było zgadnąć, że myśli o swoim chorym synku. Nie ulegało wątpliwości, że bardzo go kocha, zresztą sam powiedział, że Trevor to jego jedyna rodzina. Widziała, jak drżącą ręką sięgnął po jedną z książek. Natychmiast opuściła ją cała złość. Jak mogła przypuszczać, że Ellis zamierza skłócić ją z ojcemi wkraść się na jej miejsce? Starał się po prostu ratować życie syna, wykorzystać każdą możliwość, nie zaprzepaścić żadnej szansy.

Podeszła do niego, ale Ellis jej nie zauważył. Wpatrywał się w książeczkę do kolorowania z postaciami z „Kubusia Puchatka”, ale mogłaby się założyć, że ich nie widział. Przed oczami miał zapewne twarz synka.

- Zawsze najbardziej lubiłam Tygryską - powiedziała.

Ellis zamrugał oczami, jakby przebudził się ze snu, i spojrzał na Sydney. W kącikach jego ust błąkał się smutny uśmiech.

- Kiedy Trevor skończył dwa latka, dostał od Świętego Mikołaja pluszowego Kubusia Puchatka - powiedział. - Wciąż go ma i to właśnie Puchatek z nim sypia. Ale zdecydowaliśmy, że będzie brał do

łóżka nie więcej niż trzy zwierzaki.

Uśmiechnęła się na myśl o małym chłopcu owiniętym kołdrą i otoczonym ukochanymi przytulankami.

- Wyobrażam sobie, jak trudno mu wieczorem podjąć decyzję, które zwierzęta wybrać - powiedziała.

- To prawie niemożliwe - przyznał Ellis i sięgnął po jedną z książek. - A więc najbardziej lubiłaś Tygryską - powiedział. - Moim ulubieńcem był Kłapouchy.

- Ten, co jadł osty, prawda? Dziwny wybór - stwierdziła, rzucając okiem na książki, które Ellis trzymał w ręku. - To oczywiście dla Trevora? - zapytała.

- Tak, wstąpię po drodze na pocztę i wyślę mu je. Na pewno się ucieszy, lubi bohaterów „Kubusia Puchatka” i przepada za kolorowaniem. Wolę, żeby miał jakieś zajęcie, wtedy nie myśli o chorobie. - Ellis wziął z regału pudełko kredek. - A jak twój ojciec czuje się wśród kolegów z pracy?

- Znakomicie, jest w swoim żywiole - odparła Sydney. Zwróciła przy tym uwagę, że Ellis powiedział „twój ojciec”, a nie „nasz ojciec”. Zachodziła w głowę, o czym tak długo rozmawiali ostatniego wieczoru, gdy poszła do siebie. Było już po jedenastej, kiedy się rozstali. Pokój Ellisa sąsiedował z jej sypialnią i słyszała, że jeszcze przez długi czas się nie kładł. Najwyraźniej nie potrzebował dużo snu.

- Mogę o coś zapytać? - zagadnęła.

- Oczywiście. - Popatrzył na nią z zaciekawieniem.

- O czym rozmawialiście wczoraj z ojcem?

- O mojej matce. - Poszedł parę kroków dalej i zaczął przeglądać inne książki.

Obserwowała jego ręce. Były silne i zręczne, o długich palcach ze starannie przyciętymi paznokciami. Nagle wyobraziła sobie, że przesuwiają się po jej ciele. Szybko odwróciła wzrok, zaskoczona biegiem swoich myśli i własną reakcją.

- Dlaczego o to pytasz? - zainteresował się Ellis. Przeglądał właśnie książkę na temat cyrku.

Czuła, że się czerwieni.

- Nietrudno było zauważyć, że ojciec wstał odmieniony, pełen werwy. Od czasu wypadku w ogóle nie jeździł do miasta. A teraz, po sześciu miesiącach odprawiania wszystkich gości zażyczył sobie odwiedzić kolegów z komisariatu. Trochę mnie to zaskoczyło.

Nagle jej wzrok padł na tomik leżący za poradnikiem samochodowym. Wyciągnęła go i uśmiechnęła się na widok okładki. Książka nosiła tytuł „ABC dzikich zwierząt. Od aligatora do zebry” - znakomity prezent dla Trevora.

- Czy ty podsunąłeś ojcu ten pomysł? - zapytała.

Ellis rzucił okiem na książkę, którą wybrała. Po chwili popatrzył jej prosto w oczy i powiedział:

- Może coś zostało powiedziane.

- Na przykład?

- Thomas wydawał się trochę zaniepokojony tym, jak go traktujesz.

- Dobre sobie! A niby jak go traktuję?! - oburzyła się. Robiła,

co mogła, by pomóc ojcu. Troszczyła się o niego, nie szczędząc czasu ani wysiłku, uprzedzała jego życzenia, niemal czytała w myślach. -

Czym był zaniepokojony?

- Spokojnie, Sydney, nie gorączkuj się. Thomas przyznał mi się, że czasem czuje się skrepowany tym, iż opiekujesz się nim jak dzieckiem. Uważa, że to nie sprzyja wyjściu ze stanu apatii i zniechęcenia, w jaki popadł.

- A co ty mu powiedziałaś?

- Powiedziałem, że jeśli nie chce, żeby go traktowano jak dziecko, musi przestać zachowywać się jak dziecko.

- Coś podobnego! Jak mogłeś! - Co on sobie wyobraża, że kim on jest, żeby mówić takie rzeczy jej ojcu?

- Kto dał ci prawo mówić w ten sposób do mojego ojca?

- On sam, ponieważ spytał o moje zdanie. Twój ojciec opuszcza dom tylko wtedy, gdy ma wyznaczoną wizytę u lekarza albo kiedy zmusisz go, żeby posiedział w ogrodzie. Nie chce się z nikim widywać ani z nikim rozmawiać, nawet przez telefon. Nie ma nic do roboty, ponieważ ty wszystkim się zajmujesz, a ta bezczynność nie sprzyja powrotowi do zdrowia.

- Stracił wzrok. Czy tego nie bierzesz pod uwagę?

- Prawdopodobnie ojciec i Ellis przeprowadzili tej nocy zasadniczą rozmowę, w której ona nie uczestniczyła. Była nie tylko zła, że wykluczyli ją ze swego grona, ale, co gorsza, poczuła się zraniona. Ojciec rozmawiał z obcym człowiekiem o tym, jak traktuje go własna córka. Może się skarżył?

Ellis odłożył trzymany w ręku tomik i jeszcze raz przejrzał półkę z książkami dla dzieci. Wybór był raczej skromny.

- Gdybym ja miał ojca, którego kochałbym tak bardzo jak ty Thomasa, prawdopodobnie tak samo bym postępował. Bałbym się, że jeśli nie otoczę go troskliwą opieką, spotka go coś złego.

- Czy właśnie w ten sposób traktujesz swego syna? - spytała.

- Twój ojciec jest dorosłym mężczyzną, a nie pięcioletnim chłopcem. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Czy zdaje sobie z tego sprawę? Teoretycznie tak. Jak się jednak okazuje, w praktyce było inaczej. Kierowała się wyłącznie miłością, ale czy niechęć nie ubezwłasnowolniła ojca? Przeżył tragedię, los odstawił go na boczny tor, ale jest przecież mężczyzną i zapewne sam chciałby stawić czoło życiowym przeciwnościom - tak jak to robił do czasu wypadku. Nie pomyślała o tym, pragnąc za wszelką cenę go chronić. Musi zmienić sposób postępowania. Nie będzie to łatwe, ale spróbuje. Jego pierwszym krokiem ku niezależności była wizyta w komisariacie. Była pewna, że na tym się nie skończy. Nadszedł czas, by ojciec odzyskał kontrolę nad własnym życiem.

Przycisnęła książkę do piersi, a potem podniosła wzrok na Ellisa i podała mu ją.

- Myślę, że twój syn się ucieszy - powiedziała.

- Dziękuję, Sydney - odparł, rzucając okiem na tytuł. - Trevor będzie nią zachwycony.

Jego uśmiech dziwnie na nią podziałał. Poczowała ogarniającą ją falę ciepła.

- Oczywiście będzie porównywał zwierzęta z książki z tymi, które już ma w swojej kolekcji. Boże broń, żeby znalazł tam jakiegoś zwierzaka, którego jeszcze nie ma. Czekalaby mnie wędrówka po sklepach w poszukiwaniu guźca czy innej bestii.

- Nie potrzebujesz pomocy? Sklep „Para za Parą” oferuje taki wybór najprzeróżniejszych stworów, że można stracić głowę.

- Sadzę, że bym sobie poradził. Jestem zaprawiony w tego rodzaju bojach, ale będzie mi przyjemnie w twoim towarzystwie. - Wrzucił do koszyka „ABC dżungli”. - Jeśli ten sklep jest tak doskonale zaopatrzony, jak mówiłaś, na pewno będę potrzebował twojej pomocy przy wyborze.

Ellis stał pośrodku sklepu „Para za Parą” i patrzył na ekspozycję zajmującą połowę lewej strony przestronnej sali. Ustawiono tam sześć sztucznych drzew, a wśród nich umieszczono tuzin zwierząt. Włochaty orangutan ze lśniąco czarnymi oczami był wykonany perfekcyjnie. Ellis pomyślał, że syn oszaleje ze szczęścia, jeśli będzie mógł włączyć ten wspaniały okaz do swojej kolekcji. Był tylko jeden problem. Obok orangutana, o którym marzył Trevor, zwieszała się z gałęzi pani orangutanowa trzymająca w ramionach małe orangutaniątko. Ellis nie wiedział, czy starczy mu odwagi, by rozdzielić rodzinę.

Rozejrzał się po sklepie w poszukiwaniu ekspedienta, który pomógłby mu rozwiązać ten problem. Zatrzymał wzrok na Sydney. Stała przy drzwiach wejściowych i głaskała aksamitną sierść żyrafy. Zupełnie zaskoczyła go propozycją dotrzymania mu towarzystwa w

sklepie z zabawkami. Zresztą nie pierwszy raz zachowała się w sposób dla niej nietypowy. Domyślił się, dlaczego chciała pojechać z nimi do miasta. Czowała się zagrożona jego obecnością, sądziła, że ma pewien wpływ na Thomasa. Na pewno było jej przykro, że to nie ona spowodowała zmianę w nastawieniu ojca do otoczenia, że to nie jej namowy sprawiły, iż wreszcie postanowił wyjść z domu. Jednak obawy Sydney były całkowicie nieuzasadnione. Ellis odwiedził Thomasa tylko w jednym celu: żeby dać synowi ostatnią szansę. Nie miał zamiaru zajmować miejsca Sydney czy o cokolwiek się dopominać.

Ich pokoje sąsiadowały ze sobą. Zeszłego wieczoru zasiadł do komputera, żeby trochę popracować, ponieważ zebrały mu się zaległości. W pewnym momencie zza ściany dobiegły go odgłosy kroków: to Sydney nerwowo przemierzała pokój.

Puścił wodze fantazji, wyobrażając sobie, jak się rozbiera. Kiedy zasnął, śnił o zielonookiej piękności z włosami w kolorze mahoni i uśmiechem obiecującym mężczyźnie raj na ziemi. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował następnego ranka, był widok Sydney w dopasowanych džinsach i obcisłej bluzeczce, z burzą włosów, świeżej i pachnącej. Pochylona nad patelnią, smażyła na śniadanie naleśniki. Tylko obecność Thomasa powstrzymała go przed zrobieniem z siebie głupca i spróbowania, czy usta Sydney smakują na jawie tak samo wybornie jak w jego śnie. Obiecał sobie jednak, że przed powrotem do domu przekona się, jaki jest ich smak.

Podszedł do Sydney i wskazał na żyrafę.

- Znalazłaś sobie przyjaciółkę? - zażartował. Patrzył, jak gładzi

szyję zwierzęcia. Miała najkrótsze paznokcie, jakie zdarzyło mu się widzieć u kobiety. Były zaokrąglone, czyste i pokryte jasnym lakierem. Spodobały mu się. Długie, czerwone szpony kojarzyły mu się z agresywnymi lwicami salonowymi, a takich zdecydowanie nie lubił.

- Mówi, że ma na imię Sara. - Sydney dała żyrafie lekkiego kuksańca. - Chciałabym mieć takie rzęsy jak ona.

- Może i są długie, ale wolę twoje.

Przez chwilę sprawiała wrażenie zakłopotanej, zaraz jednak pokryła zmieszanie uśmiechem.

- Znalazłeś orangutana? - spytała.

- Gorzej - odparł.

- Gorzej? - zdumiała się Sydney.

Zwrócił głowę w kierunku sztucznych drzew.

- Znalazłem całą rodzinę orangutanów - westchnął. -I zupełnie nie wiem, co w tej sytuacji mam zrobić.

Sydney podążyła za jego wzrokiem i roześmiała się.

- Są wspaniałe. Twój syn je pokocha. Kup je wszystkie, nie możesz ich rozdzielić, stanowią przecież rodzinę.

- W tym rzecz. Powinienem znaleźć samotnego orangutana, takiego, który nie zająłby całego samochodu. Inaczej trudno mi będzie prowadzić, nie mówiąc o tym, że pokój Trevora nie jest z gumy.

Sydney ponownie się zaśmiała.

- Georgette na pewno ci pomoże i znajdzie odpowiedniego zwierzaka - powiedziała, patrząc na kobietę za ladą, wydającą właśnie resztę młodej parze, która kupiła zestaw dzieciennych mebli: stolik i

krzesła. Zamachała do niej.

Kobieta odpowiedziała jej uśmiechem. Ellis nie mógł oderwać wzroku od mebli. Stolik pokrywały ręcznie malowane wizerunki zwierząt. Każde z czterech krzeseł miało oparcie w kształcie innego zwierzęcia. Był słoń, żyrafa, tygrys i małpa. Doszedł do wniosku, że Trevorowi by się to bardzo podobało. Problem w tym, że jego syn najchętniej wykupiłby cały sklep.

Godzinę później jechali w stronę komisariatu, żeby zabrać Thomasa do domu. Całe tylne siedzenie zajmowała rodzina orangutanów. Okazało się bowiem, że w sklepie Georgette nie ma ani jednego samotnego okazu. Właścicielka zapewniła ich wprawdzie, że może złożyć zamówienie, ale jego realizacja potrwałaby kilka dni. Ellis nie chciał czekać i skończyło się na rodzinie.

Wiedział, że Trevor będzie zachwycony, ale wiedział również, że w ten sposób uciszy wyrzuty sumienia, że jest z dala od chorego syna. Nic na to nie mógł poradzić. Musi być w pobliżu Thomasa do czasu nadejścia wyników. Żadne prawo nie zmusi go, żeby został dawcą. Jeśli wyniki okażą się pozytywne, Ellis podejmie pertraktacje.

Po drodze zajechali na pocztę. Ellis napisał parę słów do Trevora i nadał paczkę z książkami do kolorowania, kredkami i „ABC dżungli”. Następny przystanek był przy komisariacie. Ellis chciał zaczekać w samochodzie, aż Sydney przyprowadzi ojca. Nalegała jednak, by jej towarzyszył. Wydawało się, że wspólne zakupy trochę ją uspokoiły. Nie wiedział, co było tego przyczyną, ale ucieszył się, że tak jest.

Pchnął duże, ciężkie drzwi i przytrzymał je. Sydney weszła

pierwsza. Wnętrze było jasne, przestronne i nowoczesne. Na każdym biurku stał komputer, w głębi fax, pod oknami umieszczono donice z kwiatami. W głębi zobaczył dwie cele, ale obie były puste.

Przy jednym z biurek siedział Thomas w towarzystwie dwóch mężczyzn w cywilu i trzech policjantów. Byli pogrążeni w ożywionej rozmowie. Uśmiech na twarzy starszego pana świadczył o tym, że wizyta była udana.

- Cześć, Sydney! - zawołał jeden z policjantów. - Twój ojciec chwali się, że jest dobrym pacjentem i nie sprawia ci kłopotów. To prawda?

- Oczywiście - roześmiała się Sydney. - Już jestem, tato - dodała, zbliżając się do grupki mężczyzn.

- Słyszę, że Ellis jest z tobą?

- Jestem - odparł Ellis. Podeszedł wraz z Sydney do Thomasa. Mężczyźni popatrzyli na niego badawczo, jakby chcieli odgadnąć, kim jest i co tu robi. Nie zamierzał jednak zaspokajać ich ciekawości. Jego interesy w Coalsburgu były wyłącznie osobistej natury.

- Ej, Pete, Harvey - Thomas zwrócił się do dwóch starszych mężczyzn w cywilu - cofnijcie się pamięcią trzydzieści lat. Pamiętacie Cathy Carlisle? Była córką pastora. Wyjechała zaraz po maturze.

- Niezła mała, ale trochę bojaźliwa, prawda? - powiedział jeden z mężczyzn.

- Przypominam ją sobie - rzucił drugi. - Ładna dziewczyna, bardzo spokojna. - Spowaźniał nagle. - Rodzice bardzo jej pilnowali. Pamiętam, że mój młodszy brat, Paul, uderzał do niej, ale nie pozwolili

jej się z nim umówić.

Thomas wskazał na Ellisa.

- Cóż, to jest Ellis Carlisle, syn Cathy.

- Coś podobnego! - wykrzyknął mężczyzna, którego bratu podobała się Cathy. - Wyszła za męża i miała dziecko? To dobrze. Jak się czuje twoja matka, Ellis?

- Nie żyje od dwunastu lat - odparł.

Czyżby nie zorientowali się, że jego matka nigdy nie wyszła za męża? W końcu nosi jej panieńskie nazwisko. Nie powiedzieli właściwie niczego, czego by już o matce nie wiedział. Wiedział, że była ładna, ale nie miał pojęcia, że młodszy brat Harveya ją podrywał. To dziwne uczucie myśleć o własnej matce jak o młodej dziewczynie, obiekcie nie odwzajemnionych uczuć.

- Bardzo mi przykro - powiedział ze smutkiem Harvey, a Pete powtórzył jego słowa.

- Cóż, tak bywa... - Ellis nie wiedział, jak zareagować na okazaną mu sympatię. Matka nigdy nie wymieniała tych imion. Miał tylko nadzieję, że ani Thomas, ani Sydney nie zdradzą powodu jego pobytu w mieście.

- Opowiadała mi o Coalsburgu i wspomniała Thomasa, więc będąc w okolicy, pomyślałem sobie, że do niego wpadnę- powiedział.

- A przy okazji odwiedzę jej miasto rodzinne.

- Wspominała Thomasa? - Pete mrugnął porozumiewawczo do Harveya.

- Mieszkali obok siebie, prawda? - dodał Harvey.

- Przestańcie - oburzył się St. Claire. - Matka chłopaka nie żyje. Okażcie jej choć trochę szacunku - przywołał ich do porządku.

- Przepraszamy - bąknęli, spuszczać głowy. Ellis był wdzięczny Thomasowi za tę interwencję. Po

raz kolejny mężczyzna, o którym dawniej miał jak najgorsze zdanie, mile go rozczarował. Przyjechał tu z określonym nastawieniem, ale teraz zaczynały ogarniać go coraz większe wątpliwości. Czy to możliwe, żeby Thomas St. Claire porzucił osiemnastoletnią ciężarną dziewczynę i nie zainteresował się ani losem matki, ani dziecka? Ten sam Thomas St. Claire, który mówił o Cathy tak ciepło i z takim szacunkiem?

- Nic nie szkodzi - mruknął, spoglądając na policjantów - kolegów Thomasa St. Claire'a. Byli to sympatyczni mężczyźni i na pewno nie chcieli zrobić mu przykrości.

- Znalazłeś to, czego szukałeś, Ellis? - spytał Thomas, jakby wiedział, że należy skończyć rozmowę na temat Cathy.

- Tak, i to w nadmiarze - odparła za niego Sydney, zbliżyła się do ojca i położyła mu delikatnie rękę na ramieniu. - Rodzina zajmuje prawie całe tylne siedzenie. A małe jest takie słodkie. - Lekko ścisnęła ramię ojca.

- Małe? O czym wy mówicie? - zainteresował się Harvey.

- O orangutanach - odparł Thomas z niewzruszoną miną.

- Orangutanach?

Ellis z trudem powstrzymywał śmiech. Thomas i Sydney świetnie się bawili. Policjanci byli gotowi do natychmiastowego działania.

- Tak, orangutany - powtórzyła Sydney. - Samiec, samica i młode.

- Co? Macie w samochodzie orangutany?

- To mercedes - powiedział Thomas, jakby to miało cokolwiek wyjaśnić.

Policjanci byli zdezorientowani.

- Prawdziwy mercedes? - wyjąkał jeden z nich. Ellis zdusił śmiech. Nigdy nie słyszał o fałszywym mercedesie.

- Tak, to prawdziwy mercedes - potwierdził.

- Coś podobnego - zdziwił się jeden z policjantów w cywilu. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie umieszcza w samochodzie trzech orangutanów, a co dopiero w mercedesie. Poza tym... - zawahał się.

- Co poza tym, John? - spytał Thomas.

- Orangutany są chyba w filadelfijskim zoo. Niemożliwe, żeby Sydney zdążyła tam pojechać i wrócić w czasie, kiedy tu byłeś. - John wypiął pierś i uśmiechnął się z zadowoleniem jak chłopiec, który właśnie dobrze odpowiedział na lekcji.

- Więc skąd wzięli te orangutany? - spytał Thomas.

- Nikt nie powiedział, że są prawdziwe. Myślę, że to orangutany ze sklepu Georgette - dodał z uśmiechem satysfakcji John.

- Bardzo dobrze - pochwalił go Thomas. - To ja nauczyłem go wszystkiego, co umie - dodał.

Pozostali policjanci wyglądali na lekko zakłopotanych, że w pierwszej chwili dali się nabrać.

- Wiedzieliśmy od razu, że nie możecie mieć w samochodzie

prawdziwych małp - powiedział ten o dziecinnej twarzy.

Pete i Harvey wzniesli oczy ku górze, a John tylko potrząsnął głową.

- Oczywiście, że wiedzieliście - starał się ich pocieszyć. - A nawet gdyby tak nie było, to coś dziwnego. W tej okolicy nie mamy zbyt często do czynienia z małpami.

Thomas i Ellis roześmiali się, słysząc, jak młody szef policji podbudowuje morale swoich podwładnych. Thomas ujął dłoń Sydney.

- Będziesz mogła zawieźć mnie już do domu? - spytał.

- Oczywiście, tato.

- Chyba mogę liczyć na to, że będziesz nas częściej odwiedzała?

- spytał John. - Wiesz, że zawsze jesteś tu mile widziany.

- Myślę, że wpadnę od czasu do czasu. - Thomas ujął pod rękę Sydney i pożegnał się z pozostałymi mężczyznami.

- To dobrze. - John odprowadził ich do drzwi. - Brakuje mi ciebie, twoich pomysłów, twojego doświadczenia. Nie zapominaj o mnie i odwiedzaj nas tak często, jak tylko będziesz mógł, dobrze?

Thomas wydawał się zaskoczony.

- A na co ci ślepiec?

- Jesteś teraz niewidomy, Tom, nie sposób zaprzeczyć - zgodził się John. - Nadal jednak bijesz na głowę niejednego z nas swoją wiedzą i doświadczeniem. Możesz nam pomóc, i to bardzo.

Thomas skinął w milczeniu głową, dając tym samym do zrozumienia, że przyjmuje propozycję, po czym, prowadzony przez córkę, wyszedł na oświetloną słońcem ulicę. Ellis wyprzedził go,

otworzył drzwiczki samochodu i pomógł Thomasowi zająć przednie siedzenie. Sydney szybko otarła łzy wzruszenia, które zakręciły się jej w oczach. Była taka szczęśliwa! Po miesiącach zamykania się w sobie, odgradzania od ludzi, ojciec wyszedł z domu, spotkał się z kolegami i byłymi współpracownikami. Dobrze się czuł w ich towarzystwie. Co więcej, okazało się, że nadal jest potrzebny. To bardzo krzepiące. Rozmyślając o tym, stała przy aucie, czekając, aż Ellis otworzy tylne drzwiczki. Podeszedł do niej, lecz zamiast sięgnąć do klamki, wyciągnął dłoń i delikatnie obwiodł palcem jej usta, czym wprowadził ją w kompletne osłupienie. Zarumieniła się, patrząc na niego ze zdziwieniem i oczekując jakichś wyjaśnień, ale on tylko powtórzył swój czuły gest, po czym uchylił drzwi samochodu.

ROZDZIAŁ 5

Sydney patrzyła na fotografie Trevora rozrzucone na kuchennym stole. Uśmiechnęła się. Ellis nosił przy sobie całą dokumentację zdjęciową życia syna - od chwili jego urodzenia. Pierwsza fotografia uwieczniała Trevora tuż po przyjściu na świat, gdy miał zaledwie jeden dzień, ostatnia, w towarzystwie Myszki Miki, była zrobiona podczas wyprawy do Disneylandu. Sydney mogła prześledzić, jak chłopiec rósł, jak stawiał pierwsze nieporadne kroki, zaczynał biegać, jak uczył się jeździć na rowerze. Poczula do niego sympatię. Miał ładną buzię, miły uśmiech i, jak wynikało z opowiadania Ellisa, był bardzo dzielny. Serce ścisnęło się jej na myśl, że jeśli nie znajdzie się odpowiedni dawca, Trevor przegra w walce ze śmiertelną chorobą. Trzeba zrobić wszystko, aby do tego nie doszło, ale taka możliwość istniała. Wiedziała, że Ellis jest zdeterminowany i wykorzysta każdą szansę, ale miała też świadomość, że liczy się z najgorszym.

- Jest wspaniały - powiedziała, podnosząc ku niemu wzrok.

Była jedenasta wieczorem. Ojciec poszedł już do siebie. W czasie, jaki upłynął pomiędzy ranną wizytą w laboratorium a pobytem w komisariacie, nadrobił całe minione sześć miesięcy. Wyglądał na zmęczonego, ale było to zdrowe zmęczenie. Sydney była wdzięczna Ellisowi za to, że pod jego wpływem ojciec otrząsnął się z apatii, nawet jeśli nie aprobowała jego metod.

- Dziękuję - odpowiedział jej z uśmiechem. Wziął do ręki

jedno ze zdjęć z wyprawy do Disneylandu. Był to kolorowy portret Trevora. Ciemne włosy opadały mu na czoło, oczy się śmiały, widać było zabawną szparę między przednimi zębami. - Ma karnację po matce -dodał.

- Ale za to twoją brodę i nos - stwierdziła. Dostrzegła w chłopcu duże podobieństwo do ojca. Trevor Carlisle złamie niejedno serce, gdy dorośnie... jeśli dorośnie. - Nie wygląda na chorego - dodała.

Ellis zaczął zbierać zdjęcia. Zanim je schował do portfela, sprawdził, czy są ułożone chronologicznie.

- Gdy zachorowałem, przestałem sięgać po aparat. -Wstał i wsunął portfel do kieszeni spodni. - Nie wiem, czy są rodzice, którzy chcieliby nosić przy sobie fotografie chorego dziecka.

Wyczuła po tonie jego głosu, że go uraziła.

- Nie zrozumiałeś mnie - pospieszyła z wyjaśnieniem. - Wcale się nie spodziewałam, że zobaczę zdjęcie Trevora leżącego w szpitalu czy coś w tym rodzaju. - Nerwowo obracała w palcach srebrny krzyżyk, prezent od matki i ojca, który nosiła na szyi. - Do tej pory niewiele miałam do czynienia z dziećmi, Ellis. Znacznie więcej wiem o petuniach. Kiedy powiedziałeś, że pokażesz mi zdjęcia Trevora, spodziewałam się zobaczyć blade, chore dziecko. Byłam zaskoczona widokiem roześmianego, pełnego życia chłopca.

- Nie musisz się tłumaczyć. - Głos Ellisa złagodniał. - Rozumiem cię. - Gniótł w palcach brzeg serwety. -Prawie wszyscy widzą tylko jego chorobę, a o samym Trevorze zapomnieli.

- Ale...

- Wiem, Sydney. Nie miałaś okazji poznać mojego syna, więc nie mam ci tego za złe. To oczywiste, że myślisz o nim jak o chorym, zresztą to jego choroba sprowadziła mnie do twojego domu i tylko o niej z tobą rozmawiałem. Jak ci mówiłem, Trevor jest bardzo dzielny, nie poddaje się, jednak tego typu zagrożenie musiało wpłynąć na jego psychikę. Ale ja pamiętam go sprzed choroby, wesołego, roześmianego, tryskającego energią.

- Bardzo go kochasz, prawda? - raczej stwierdziła, niż spytała.

Było oczywiste, że syn jest dla Ellisa wszystkim, a z kolei Trevor mógł liczyć tylko na ojca. Sydney wiedziała, że matka wcześniej przestała interesować się chłopcem i że jego choroba tego nie zmieniła. Wiedziała też, że Ellis nie miał krewnych. Zastanawiała się, z kim dzieli się swymi troskami i niepokojami. Serce mówiło jej, że nie ma takiej osoby. Ellis i Trevor byli zupełnie sami na świecie.

- Asystowałem przy jego narodzinach. Był taki mały i przestraszony. Cały czas płakał. Gdy lekarz mi go podał, wziąłem go na ręce i ostrożnie przytuliłem. Natychmiast przestał płakać. W tym momencie stał się dla mnie całym światem. Pokochałem go nad życie.

- Ellis potrząsnął głową. Wydawało mu się, że to zdarzyło się wczoraj.

Sydney uśmiechnęła się. Oczami wyobraźni ujrzała mężczyznę z dumną miną, delikatnie tulącego w ramionach małego noworodka.

- Powiedz, co najbardziej lubisz u syna? Co, twoim zdaniem, robi najlepiej?

- Jego uściski. - W głosie Ellisa słychać było tłumione

wzruszenie. - Nikt nie potrafi uścisnąć tak serdecznie jak Trevor.

Wyobraziła sobie ramionka dziecka otaczające szyję Ellisa i ściskające go z całej siły. I znowu poczuła napływające do oczu łzy. Takiego wyznania się nie spodziewała. Myślała, że Ellis pochwali się umiejętnościami, które syn opanował, opowie o jego zainteresowaniach, będzie mówił o cechach charakteru. Nie przypuszczała, że zwierzy się z intymnych odczuć.

- Bardzo ci go brakuje, prawda? - spytała.

- Bardziej, niżby mi brakowało następnego oddechu - odparł Ellis. Nie krył się ze swymi uczuciami.

- Dzwoniłeś już do niego?

Kiedy wrócili z wyprawy do miasta, zostawiła Ellisa z ojcem i poszła do szklarni, gdzie spędziła parę godzin, więc nie wiedziała, co robi Ellis. Czekala ją jeszcze poza tym robota papierkowa.

- Dwa razy. Powiedziałem mu, żeby jutro rano oczekiwał paczki i że mam dla niego niespodziankę.

- Nie wspomniałeś o rodzinie orangutanów, która zajęła prawie całe tylne siedzenie mercedesa? - Gdyby Trevor był jej synem, chyba nie potrafiłaby dochować tajemnicy.

- Nie, to by było zbyt okrutne powiedzieć mu, że kupiłem orangutany, ale że musi na nie poczekać aż do mego powrotu. A tak wie, że mam dla niego niespodziankę, i będzie się zastanawiał, co to takiego. Prawdopodobnie teraz zamecza Ritę pytaniami, co to może być za niespodzianka.

- Ritę?

- Może jednak ojciec i syn nie byli tak samotni, jak myślała.
- To moja gosposia. Trochę zastępuje Trevorowi matkę.

Zatrudniłem ją, gdy Ginny wróciła ze szpitala. Nie czuła się jeszcze na siłach, by zajmować się dzieckiem. Później Ginny odeszła, a Rita została.

Sydney przypomniała sobie, że wcześniej Ellis wspominał o pani McCall, opiekującej się synkiem.

- Rita dba o dom i o Trevora. Dzięki temu mogę się skoncentrować na pracy - dodał.

- Wspominałeś, że masz coś wspólnego z transportem. - Ellis dotychczas niewiele opowiadał o swojej pracy. - Zajmujesz się przewozami samochodowymi?

- Kiedy uczęszczałem do college'u, podczas wszystkich wakacji pracowałem jako kierowca osiemnastotonowej ciężarówki. Po zakończeniu nauki kupiłem własny sprzęt.

- Jesteś kierowcą ciężarówki? - Sydney nigdy jeszcze nie spotkała kierowcy, który miałby mercedesa, nosił drogie włoskie buty i nie rozstawał się z przenośnym komputerem.

- Byłem. W ciągu pięciu lat, które minęły od kupna pierwszej ciężarówki, nabyłem następne, zatrudniłem kierowców i założyłem własne przedsiębiorstwo transportowe pod nazwą „Tylko z nami”.

- „Tylko z nami”? - A zatem Ellis był właścicielem jednej z największych firm przewozowych. Mało kto nie słyszał o tym przedsiębiorstwie. Ciężarówki tej firmy, z charakterystycznym znakiem, już z daleka rzucającym się w oczy, były dobrze znane. -

Bez przerwy widuję twoje ciężarówki. Czasem nawet mnie coś przywożą do szklarni.

A więc Ellis Carlisle jest bogaty! Teraz już przestał ją dziwić i luksusowy mercedes, i najnowocześniejszy komputer. Jednak za pieniądze nie kupi zdrowia syna. W tej sprawie może liczyć tylko na pomyślny zbieg okoliczności i dobrą wolę potencjalnego dawcy.

- Ile razy widzę którąś z twoich ciężarówek, zadaję sobie w duchu pewne pytanie...

- Jakie?

- Czy „Morzem też z nami” to firma siostrzana? Czy jesteś również jej właścicielem?

- Prace nad powołaniem tej firmy były już daleko posunięte, gdy u Trevora stwierdzono białaczkę. Wtedy niemal całkowicie wycofałem się z interesów, ograniczając się do koniecznego minimum, i skoncentrowałem całą energię na ratowaniu zdrowia i życia syna.

- Wstał, podszedł do okna i wpatrzył się w nocny krajobraz. - To dla mnie ważniejsze niż wszystko inne.

- Myślę, że dobrze postąpiłeś - powiedziała, zastanawiając się, czy ktokolwiek z jego otoczenia był tego samego zdania. Dla ludzi interesu takie postawienie sprawy równało się straconej okazji do zarobienia dużych pieniędzy.

Ellis odwrócił się od okna.

- Wiem o tym - powiedział.

Lubiła jego niski, lekko ochryply głos. Nie wiedziała dlaczego, ale miała wewnętrzne przekonanie, że wszystko się jakoś ułoży i że

znajdzie się dawca dla Trevora. Wierzyła, że ta smutna historia dobrze się skończy.

- Co będzie, jeśli test ojca wypadnie pozytywnie? - spytała.

- Jeśli tak się stanie, a Thomas zgodzi się być dawcą, będzie musiał zostać przez dwa dni w szpitalu, aby lekarze mogli mu pobrać szpik - odparł Ellis i dodał: - Oczywiście pokryję wszystkie koszty i postaram się, żeby miał jak najlepsze warunki.

- Jestem tego pewna. Interesuje mnie raczej, co czeka Trevora.

- Zawiozę go do szpitala na dwa tygodnie przed transplantacją.

Zostanie poddany chemioterapii, a może także radioterapii, która zniszczy jego szpik i komórki krwi tak samo jak komórki rakowe. Potem podadzą mu oczyszczony szpik twego ojca. Będzie to trwało około dwóch godzin, ale musi upłynąć dwa do trzech tygodni, zanim jego szpik zacznie produkować nowe, zdrowe komórki krwi. Jeśli wszystko się powiedzie, Trevor będzie mógł wrócić do domu siedem tygodni po przeszczepieniu szpiku. Pozostanie pod opieką lekarską i stałą kontrolą medyczną. Sześć miesięcy po transplantacji będzie mógł pójść do szkoły, ale pełna rekonwalescencja trwa do roku.

- Zostanie w szpitalu przez ponad dwa miesiące? - spytała

Sydney, czując, jak na samą myśl o tym ściska jej się serce.

- Dwa miesiące to niewielka cena za życie.

Wiedziała o tym, a jednak tak bardzo było jej żal chłopca.

Przecież ma dopiero pięć lat, a za sobą tyle przykrych przeżyć.

- A co będzie, jeśli test wypadnie niepomyślnie?

- Musiała to wiedzieć.

- Jeśli twój ojciec nie będzie mógł zostać dawcą i żaden inny dawca nie znajdzie się w okresie remisji choroby, nie będzie już żadnego ratunku.

To było przerażające. „Nie będzie już żadnego ratunku” - słowa, które odbierają wszelką nadzieję; słowa brzmiące jak wyrok. Wstała, zbliżyła się do Ellisa i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Modłę się, żeby mój ojciec mógł zostać dawcą i uratować twojego wspaniałego synka, a tobie przywrócić radość życia. W tej sytuacji moje obawy i wątpliwości muszą zejść na dalszy plan. Jeśli badanie krwi wykaze pokrewieństwo, to trudno, będę musiała pogodzić się z tym, że jesteś synem Thomasa.

- Niepotrzebnie się martwisz. Nie mam zamiaru zająć twojego miejsca, Thomas zawsze będzie twoim ojcem. - Ellis delikatnie dotknął jej policzka. - On cię bardzo kocha, to widać, a miłość jest silniejsza niż więzy krwi. Zawsze będziesz „córeczką tatusia”.

- Jeśli jednak jesteś jego synem... - zaczęła, ale Ellis położył jej palec na ustach.

- Nigdy nie będę jego synem. - Delikatnie obwiodł palcem jej usta, tak jak to zrobił wtedy, kiedy stali obok samochodu przy Main Street. - Jedyne, co mnie interesuje, to niczego nie zaniedbać, zdobyć dawcę i dać Trevorowi szansę, wierz mi. - Przesunął dłoń i pogładził ją po policzku.

Sydney, zupełnie nie przygotowaną na taki gest, oblała fala gorąca. Bliskość Ellisa zrodziła nie znaną jej tęsknotę. To było takie niespodziewane! Nie potrafiła określić tego uczucia.

- A więc chcemy tego samego. - Nie bardzo wiedziała, co mówi, bo palce Ellisa zawędrowały na jej szyję, zsunęły się w pobliże piersi, po czym wróciły do twarzy i znów obrysowały kontur warg.

- Naprawdę, Sydney? Naprawdę chcemy tego samego? - szepnął Ellis z twarzą przy jej twarzy.

Powoli uniosła rękę i dotknęła jego piersi. Poczowała gwałtowne bicie serca Ellisa. Chciał ją pocałować, widziała to w jego oczach. Ona też pragnęła tego pocałunku.

- Tak, myślę, że chcemy tego samego - powtórzyła cicho.

Gwałtownie chwycił ją w ramiona. Poczowała na ustach jego wargi, najpierw delikatne, a potem coraz bardziej natarczywe, coraz bardziej zachłanne. Objęła go za szyję i przywarła do niego, oddając pocałunek. Oboje pozwolili nieść się fali namiętności, niepomni na otaczającą ich rzeczywistość. W tym szczególnym momencie liczyli się tylko oni i gwałtowne pożądanie, które popchnęło ich ku sobie.

Wtulila się w Ellisa i poczuła, jak bardzo jej pragnie. Speszyla się i chciała się odsunąć, ale on na to nie pozwolił. Przyciągnął jej biodra i pogłębił pocałunek. Sydney się poddała, odpowiadając namiętnością na namiętność. Nie wiadomo, czym by się to skończyło, gdyby Ellis się nie opamiętał. Oderwał wargi od ust Sydney, zaczerpnął powietrza i powiedział:

- Jeśli teraz nie przestaniemy, nie odpowiadam za siebie.

Uśmiechnęła się lekko. Czyżby sądził, że ją przestraszy? Czy nie widział, jak bardzo się zatraciła, jak bardzo go pragnie? Gdyby jeszcze wczoraj ktoś ją zapytał, czy bierze pod uwagę możliwość pójścia do

łóżka z mężczyzną poznanym zaledwie przed trzema dniami, z pewnością by się oburzyła i odpowiedziała, że nie jest tego typu dziewczyną. Ale dziś, przed chwilą, w ramionach Ellisa odkryła, że każda jest tego typu dziewczyną, jeśli spotka swego mężczyznę. A intuicja mówiła jej, że Ellis jest właśnie tym mężczyzną.

- To brzmi jak gotowy scenariusz - stwierdziła.

- Myślę, że oboje powinniśmy być trochę bardziej ostrożni, Sydney - powiedział Ellis.

Ostrożni! Dobrze sobie!

- O czym ty mówisz? - spytała zdziwiona.

Ellis cofnął się o krok.

- Szczerze mówiąc, od bardzo dawna nie byłem z kobietą - wyznał. Jego wzrok ześliznął się po zapięciu jej bluzki. - Mam tyle zajęć z Trevorem i w pracy - dodał - że naprawdę nie mam czasu na żadne związki.

- Próbujesz mi powiedzieć, że nie jesteś z nikim związany? - upewniła się.

- Nie, nie próbuję, po prostu nie jestem. Ucieszyła się, słysząc te słowa.

- A więc co właściwie chciałeś powiedzieć, mówiąc o ostrożności? - spytała.

- Uważam, że nieźle znam się na ludziach...

- Gdyby tak było, wiedziałbyś, że mój ojciec mówi prawdę o sobie i twojej matce. - Nie poczuwała się do winy za to, że sama miała pewne wątpliwości. Nie rozmawiali o niej, rozmawiali o Ellisie.

- Chodzi mi o to, że nie jesteś kobietą, która idzie do łóżka z każdym mężczyzną, jaki się nią zainteresuje - wyjaśnił.

- Sądzę, że to miał być komplement? - Liczyła na to, że Ellisowi nie zależy na jednorazowej przygodzie.

- Tak - odparł. Niepewnie przeciągnął palcami po włosach. - Nie mogę tu zostać. Kiedy tylko będą znane wyniki, natychmiast wyjadę bez względu na to, czy Thomas będzie mógł i chciał zostać dawcą. Muszę wracać. Trevor mnie potrzebuje.

Teraz już Sydney wiedziała, dlaczego chciał ich oboje powstrzymać przed przekroczeniem pewnej granicy. Obawiał się ją zranić. Wolał nie dopuścić do niezręcznej sytuacji, nie chciał, by poczuła się urażona. Nie należała do kobiet, które lekko traktowały sprawy damsko-męskie, nie zawierała przelotnych znajomości. W obecności Ellisa zachowała się w sposób dla siebie nietypowy, ponieważ był wyjątkowym mężczyzną. Ale on musiał wracać do Trevora. Chłopiec na niego czekał.

- Widzę, że jesteś bardzo rozsądny. To godne pochwały - powiedziała i wsunęła bluzkę w dzinsy. Nie będzie miała złamanego serca, bo nie zrobi nic, co by to mogło spowodować. - Nie powinniśmy się całować, Ellis. To był błąd, ale już się nie powtórzy - dodała po chwili.

- Nie zgadzam się z tobą - zaproponował, dotykając jej ramienia. - Pocałunek był cudowny i oboje o tym wiemy. Pragnęliśmy go. Popełnilibyśmy błąd, gdybyśmy się kochali, ponieważ wkrótce po tym musiałbym wyjechać i zostawić cię. Zasługujesz na mężczyznę, który

będzie z tobą dłużej niż przez parę dni.

- Skąd wiesz, że zasługuję?

Odsunęła się od niego. Ellis w ogóle jej nie znał. Gdyby ją znał, nigdy by jej nie pocałował. W głębi duszy modliła się, żeby Thomas nie okazał się jego ojcem. Te modlitwy nie miały nic wspólnego z Trevorem i jego szansą na przeszczepienie szpiku i wyzdrowienie. Miała nadzieję, że Ellis znajdzie swojego ojca i zdoła uratować życie syna - byle tylko tym ojcem nie okazał się Thomas.

Nie była przygotowana na zmiany, nie zniosłaby ponownego odrzucenia. Jej biologiczni rodzice nie zginęli w wypadku ani nie zmarli na jakąś tajemniczą chorobę, jak jej to kiedyś wmawiano. Po prostu się jej wyrzekli. Nie była dla nich wystarczająco dobra. To była okrutna prawda. Rodziny zastępcze, w których przebywała, tylko utwierdziły ją w przeświadczeniu, że jest nic niewarta. Kiedy zaadoptowali ją Thomas i Julia, stała się najszczęśliwszą dziewczynką pod słońcem. Jednak kompleks niekochanej i niechcianej pozostał. Wciąż się spodziewała, że pewnego dnia jej nowi rodzice stwierdzą, że nie jest dostatecznie dobra, by być ich córką, i odeślą ją z powrotem do domu dziecka. Już dawno temu uznała, że nie zasługuje na nic szczególnego.

- Wiem, że jesteś wyjątkową kobietą i powinnaś otrzymać więcej, niż mogę ci dać. Poza tym w grę wchodzi dodatkowe okoliczności, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Bez trudu domyśliła się, o co mu chodzi. Ellis martwił się, jak zareagowałyby, gdyby zostali kochankami, a potem okazałoby się, że

jednak jest synem Thomasa. Ojciec, co prawda, nigdy jeszcze jej nie okłamał, ale w tej sprawie istniał cień wątpliwości. Sama nie wiedziała, jak by zareagowała, gdyby wyszło na jaw, że tym razem nie powiedział prawdy.

- W porządku, Ellis. Rozumiem - odparła i skierowała się ku drzwiom. Musiała stąd wyjść jak najprędzej. Chciała się znaleźć w swoim pokoju, sama, by się uspokoić i wyciszyć emocje. - Zgaś światło, kiedy będziesz wychodzić. Drzwi wejściowe już zamknęłam - rzuciła.

Była już na schodach, gdy zatrzymał ją jego głos.

- Sydney?

- Słucham?

Ellis wyszedł z kuchni.

- Powiedziałem, że byłoby błędem, gdybyśmy zostali kochankami, ale nie mówiłem nic o pocałunku na dobranoc.

Poczuła, że znów robi jej się gorąco, i pospiesznie wbiegła na schody. Czowała na sobie jego spojrzenie. Na górze zatrzymała się na moment i odwróciła.

- Być może to też byłby błąd, Ellis - rzuciła i nie czekając na odpowiedź, szybko pobiegła do swojej sypialni.

Ellis z podziwem rozglądał się po głównym budynku. I pomyśleć, że wszystko to należy do Sydney. Od kolorów niemal zakręciło mu się w głowie. Widział dokoła najrozmaitsze rośliny w skrzynkach, doniczkach, wazonach. Były tu także sztuczne kwiaty z

jedwabiu. Do budynku przylegały trzy duże szklarnie. Dwie z nich były zastawione długimi stołami, na których umieszczono liczne pojemniki z sadzonkami. W trzeciej zgromadzono wyposażenie różnego typu ogrodów - fontanny, rzeźby, meble ogrodowe - a obok rozstawiono palmy i inne egzotyczne rośliny. Stwarzało to niepowtarzalną atmosferę ni to oranżerii, ni to zimowego ogrodu. Ellis pomyślał, że Trevorowi bardzo by się tu podobało. Jeżeli wszystko dobrze się ułoży i chłopiec wyzdrowieje, przywiezie go tutaj, a na razie może wstawić mu do pokoju jakąś rzadką roślinę. A może do tego akwarium?

- Czym mogę służyć? - wyrwała Ellisa z zadumy młoda kobieta.

Popatrzył na identyfikator przypięty do jej ciemnozielonego kostiumu.

- Witaj, Cindy - powiedział. - Czy zastałem pannę St. Claire?

- Sydney jest teraz bardzo zajęta - odparła blondynka o promiennym uśmiechu i błękitnych oczach, wyraźnie zainteresowana przystojnym nieznajomym. - Ale może ja mogłabym panu pomóc?

- Jestem Ellis Carlisle - przedstawił się. - Chwilowo mieszkam u Sydney i jej ojca.

- Ach, to pan jest Ellis... - Cindy obrzuciła go wzrokiem od stóp do głów, nie kryjąc ciekawości. - Inaczej sobie pana wyobrażałam.

- Doprawdy? - Czy to znaczy, że Sydney opowiadała o nim? A jeśli tak, to komu jeszcze poza tą ładną młodą kobietą? - Czy zawiodłem pani wyobrażenia?

- Sydney mówiła, że przyjechał pan nowym mercedesem, no i że jest pan bardzo przystojny - odparła Cindy i uśmiechnęła się. - Co do tego ostatniego całkowicie się z nią zgadzam - dodała z charakterystyczną dla siebie bezpośredniością, nie zważając na to, że może nie powinna zdradzać opinii przyjaciółki.

Więc Sydney uważała, że jest przystojny! Ellis był mile zaskoczony. Już chciał coś powiedzieć, ale Cindy nie dopuściła go do głosu.

- Nie miałam okazji widzieć pana wspaniałego samochodu, ale, mówiąc szczerze, nie sprawia pan wrażenia bogatego.

Ellis popatrzył na swoje adidasy, dżinsy i znoszony podkoszulek i roześmiał się. Rzeczywiście, w tym stroju nie wyglądał na milionera, zresztą wcale nim nie był. Owszem, dzięki wytrwałej i ciężkiej pracy wiele osiągnął, ale co mu po pieniądzach! Nie kupi za nie zdrowia syna. A oddałby za nie wszystko.

- Chciałbym jednak zobaczyć się z Sydney - powiedział, odsuwając od siebie ponure myśli.

- Oczywiście. Jest w tamtej szklarni. - Cindy wskazała ją ręką.
- Trafi pan z łatwością. Trudno się pomylić. Poza tym zobaczy pan Sydney przez te wielkie okna.

- Dzięki - odparł Ellis i wyszedł na zewnątrz. Chodnikiem ruszył w kierunku szklarni i rzeczywiście już z pewnej odległości dostrzegł sylwetkę Sydney. Zdjęła sweterek, który miała na sobie rano, i pochylała się nad roślinami, stojącymi na długich stołach. Gdy Ellis wszedł do środka, uderzyło w niego gorąco.

- Czy coś się stało? - spytała z niepokojem Sydney na jego widok.

- Nie, wszystko w porządku - odparł, wchodząc głębiej. Bardzo mu się dziś podobała, jeszcze bardziej niż przedtem. Była zarumieniona, zaaferowana. - Thomas świetnie sobie radzi. Nie musisz się stale o niego martwić.

- Jest niewidomy.

- Nie zapomniałem o tym, i on też nie, ale chciałbym ci przypomnieć, że twój ojciec stracił wprawdzie wzrok, ale nie utracił zdolności myślenia i działania. To dorosły mężczyzna, który nie chce być traktowany jak dziecko. To go krępuje.

- Zostawiłeś go samego?

- Owszem. Powiedział, żebym się nim nie zajmował. Spytałem, czy miałby na coś ochotę, a on odparł, że chciałby zostać sam. Zdecydowałem się więc obejrzeć twoje królestwo. I oto jestem. Masz chwilę czasu?

- Nie bardzo. A co cię najbardziej interesuje?

- Ty.

- Słucham...? Podobno przyszedłeś, żeby zobaczyć moje królestwo?

- To też, ale przede wszystkim chciałem zobaczyć ciebie, Sydney.

- Mnie?

- Tak, a teraz, kiedy już mam cię przed sobą, chcę jeszcze czegoś - odparł Ellis z uśmiechem, podchodząc bliżej do niej.

Popatrzyła na niego niepewnie, zdziwiona i trochę przestraszona, i cofnęła się, jakby zamierzała się schronić za stołem zastawionym doniczkami.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Czego chcesz? - spytała.

Ellis postąpił krok do przodu i palcami obwiodł kontur jej ust gestem, który zdążyła już poznać.

- Całusa, Sydney. Tylko jednego. Niczego więcej

- Czyżby? Miałam okazję się przekonać, co w twoim wykonaniu oznacza jeden pocałunek. Może sobie nie przypominasz, ale to ty przywołałeś nas do porządku, gdy się całowaliśmy. Po co zaczynać wszystko od nowa?

- Nie odpowiem ci na to pytanie. Wiem natomiast, że bardzo pragnę cię pocałować, i nic nie mogę na to poradzić. - Podszedł tak blisko, że ich ciała się zetknęły. Usłyszał jej przyspieszony oddech, ujrzał, jak powoli rozchyła wargi i przymyka powieki. - Wydaje mi się, że ty też tego pragniesz. Nie mam racji?

- Nie wiem - odparła Sydney, ale uniosła ku niemu twarz.

Bez słowa zamknął Sydney w ramionach.

ROZDZIAŁ 6

Minęły dwa dni. Sydney przygotowywała w kuchni kolację, zastanawiając się nad dziwnym kaprysem losu, który sprowadził do jej domu Ellisa. Gdy się pojawił, ujął ją miłością, z jaką mówił o chorym synku, i zarazem zaniepokoił uporem, z jakim utrzymywał, że Thomas St. Claire jest jego ojcem. Pełna wątpliwości, obawiając się reakcji Thomasa, zgodziła się jednak na rozmowę obu mężczyzn. Nie mogła pozostać obojętna na prośbę Ellisa - przecież w grę wchodziło życie małego, śmiertelnie chorego chłopca. Poza tym, chociaż wierzyła, że Thomas nie mógłby jej okłamać, dręczyło ją pytanie: dlaczego Catherine podała nazwisko Thomasa, jeśli nie był on ojcem jej dziecka?

To pewne, że Ellis swoim przybyciem wywołał zamieszanie. Faktem jednak jest, że ojcu jego obecność wyszła na dobre. Otrząsnął się z apatii, spotkał z kolegami, poczynił pewne plany i w ogóle nabrał ochoty dożycia. Była za to Ellisowi wdzięczna, chociaż w głębi duszy uważała to za pewną niesprawiedliwość. Jak to się stało, że obcy potrafił dokonać tego, czego ona nie zdołała? No tak, podobno była w stosunku do ojca nadopiekuńcza.

A co z nią? Czy wizyta Ellisa jej również wyszła na dobre? Chyba nie. Od czasu gdy się całowali, żyła w ciągłym niepokoju, pełna sprzecznych uczuć. Niespodziewanie dla samej siebie odkryła, że mimo okoliczności towarzyszących całej tej sprawie pragnie Ellisa jak

żadnego innego mężczyzny. Była gotowa na wszystko. Gdyby tylko chciał, kochałaby się z nim. Ellis był jednak wierny swojemu postanowieniu. Nigdy nie próbował posunąć się i dalej niż do pocałunku, ponieważ wiedział, że w tej sytuacji nie może jej niczego zaoferować. Rozumiała go - musiał się skoncentrować na ratowaniu syna. Rozumiała go, ale wolałaby, żeby był mniej rozsądny.

Skończyła obierać ostatni ziemniak i wrzuciła go do garnka. Mięso już się piekło. Kolacja będzie później niż zwykle, ale za to sama ją przygotuje. Przez dwa dni z rzędu wieczornym posiłkiem zajmował się Ellis i nawet okazał się niezłym kucharzem. Po powrocie z pracy zastawała nakryty stół, a z kuchni dochodziły smakowite zapachy. Rozumiała, że Ellis chce się w ten sposób zrewanżować za gościnę, i oceniała to jako miły gest z jego strony, jednak towarzyszyło temu poczucie, że powoli zajmuje jej miejsce.

Jeśli na przykład chodzi o ojca, w ciągu kilku dni pobytu u nich Ellis działał więcej niż ona w czasie sześciu miesięcy. Była mu oczywiście wdzięczna, ale jednocześnie gdzieś na dnie duszy krył się żal, że to nie ona spowodowała przemianę, jaka się dokonała w Thomasie. To ona powinna była mieć decydujący wpływ na ojca, a nie ktoś obcy. Nie mogła jednak winić Ellisa. Ojcu wyszło to na dobre.

Otworzyła lodówkę, żeby wyjąć puszkę z kukurydzą, za którą Thomas przepadał.

- Jesteś pewna, że nie trzeba ci pomóc? - usłyszała nagle tuż za plecami głos Ellisa. Była tak zaskoczona, że wypuściła z rąk puszkę.

Podniosła ją natychmiast i zatrzasnęła drzwi lodówki. O, tak,

było coś, w czym mógłby jej pomóc, ale na pewno nie w przygotowaniu zwykłego posiłku.

- Nie, dziękuję ci. Wszystko jest pod kontrolą - odparła, a w duchu skonstatowała, że rozmija się z prawdą. Najwyraźniej nie jest w stanie kontrolować własnych emocji.

- A może nakryję do stołu? - Ellis przysunął się i zagroził jej drogę. Domyśliła się, że chce ją pocałować, ale nie miała zamiaru mu na to pozwolić.

- Pewnie rozmawiałeś z ojcem na temat kończącego się sezonu baseballowego? - spytała, podchodząc do zlewu. Całe szczęście, że odsunęła się na bezpieczną odległość. Jeszcze chwila, a wzięłaby ją w ramiona, całował jak oszalały i potem zostawił, pełną tęsknoty i oczekiwania na spełnienie, które nigdy nie nastąpi.

- Owszem, ale usłyszałem, że krzątasz się w kuchni, i pomyślałem, że ci pomogę. - Znowu podszedł bliżej i stanął tuż za nią. - Odnoszę wrażenie, że jesteś dziś podenerwowana. Czy coś się stało?

Odwróciła się przodem, aby kazać mu się odsunąć, j a on tymczasem wyciągnął ramiona i... znalazła się w pułapce. Zadrżała, gdy pogłaskał jej policzek, a potem brodę i szyję.

- Nie chcę, żebyś mnie całował - powiedziała. Opuścił natychmiast rękę i cofnął się o krok.

- Mogę spytać dlaczego?

- Bo wtedy mam ochotę na coś więcej. - Spuściła wzrok.

- Tak? - Udał, że nie rozumie. Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Pocałunki już nie wystarczają, a oboje wiemy, że nic więcej zdarzyć się nie może. Uzgodniliśmy to, a raczej ty tak zdecydowałeś.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że to ja wyznaczyłem nieprzekraczalne granice, ale z trudem przychodzi mi się dostosować do własnego zakazu. - Wyciągnął dłoń i dobrze znanym gestem obwiodł jej usta.

Czuła, jak drży mu ręka. Zamknęła oczy. Wiedział, jak działa na nią jego bliskość, jego dotyk. Nie potrafiła tego ukryć. Ją samą zdumiewała tak silna reakcja na mężczyznę. Zdarzyło się jej to po raz pierwszy w życiu. Oczywiście przyznawała mu rację. Okoliczności ich poznania się były szczególne, Ellis musiał cały swój czas poświęcić Trevorowi i nie powinien wiązać się z kobietą, gdy toczy walkę o życie syna. Rzecz w tym, że kiedy jej dotykał, przestawała zupełnie myśleć, skupiając się na odczuwaniu.

Nagle rozległo się stukanie laski ojca. Sydney odskoczyła od Ellisa jak oparzona.

- Jest już kolacja? - spytał Thomas, wchodząc do kuchni.

Wiedziała, że się zaczerwieniła, ale nic nie mogła na to poradzić. Jest dorosła, nic złego z Ellisem nie robili, a mimo to poczuła się zakłopotana. Ojciec oczywiście nie mógł ich zobaczyć, ale dla niej nie miało to znaczenia. Liczył się sam fakt.

Nie była w stanie spojrzeć na Ellisa. Cofnęła się jeszcze o krok.

- Kolacja będzie za pół godziny, tato - powiedziała. -

Dlaczego tymczasem nie posiedzicie sobie z Ellisem w ogródku? Jest tak przyjemnie. Nie za zimno. Wystarczy ci lekka marynarka.

Zauważyła, że ojciec zaczął używać laski, którą dostał w szpitalu. Poruszał się po domu coraz sprawniej. Używał jej nawet wtedy, gdy szedł z Ellisem na krótki spacer. Wokół rozciągały się łąki. Poprosiła jednego ze swoich pracowników, żeby oczyścił wszystkie ścieżki w pobliżu domu i wyrównał je. Nie chciała, żeby ojciec się potknął. Stopniowo Thomas zaczynał być niezależny. Bardzo to ją cieszyło, choć nie była to jej zasługa.

- Dobry pomysł - rzekł Thomas. - Co ty na to, Ellis? Zaczerpnijemy trochę świeżego powietrza? - spytał z twarzą nadal zwróconą w jej kierunku.

Zaczerwieniła się aż po czubki włosów. Ojciec doskonale wiedział, że Ellis stoi tuż przy niej. Sięgnęła po garnek i zajęła się kukurydzą. Ellis i ojciec włożyli marynarki i wyszli do ogrodu.

Godzinę później było już po kolacji. Sydney zebrała talerze, zniosła je do kuchni i podała kawę z ciasteczkami. Po raz kolejny uprzytomniła sobie, ile zmian na lepsze wniosła do ich codziennego życia obecność Ellisa. Przy stole, tak jak i przez ostatnie kilka dni, toczyła się ożywiona rozmowa. To była dla niej prawdziwa nowość. Do tej pory wspólne posiłki z ojcem upływały raczej w milczeniu, a wymiana zdań ograniczała się do krótkich, zdawkowych informacji. Od czasu gdy pod wpływem Ellisa ojciec się przełamał, również i to się zmieniło. Poruszył nawet temat tabu, a mianowicie funkcjonowanie przedsiębiorstwa i szklarni. Po śmierci żony ani razu nie wspomniał o jej ukochanych szklarniach, było to dla niego zbyt bolesne. Sydney

chętnie odpowiedziała na wszystkie pytania ojca, który zainteresował się nie tylko tym, czym sama się zajmuje, ale także wypytał ją o wszystkich pracowników.

Chętnie również opowiadał o młodej, pięknej i nieśmiałej Catherine Carlisle, szkolnej koleżance i sąsiadce, rozumiejąc, że Ellis pragnie jak najwięcej dowiedzieć o tym okresie życia matki, którego nie znał. Sydney zastanowiło, że w tej opowieści niewiele miejsca znalazło się dla rodziców Catherine. Nasunęło jej to przypuszczenie, że nie byli szczególnie kochającymi rodzicami, a Thomas nie chciał sprawić Ellisowi przykrości, krytykując jego dziadków.

- Na pewno nie będziesz mieć nic przeciwko temu, Ellis? - zapytał Thomas, delektując się drugą filiżanką kawy. - Umówiłem się z chłopakami, że jutro wpadnę do nich na godzinę albo dwie.

- Zostaniesz, jak długo zechcesz. Nie musisz się niczym krępować. - Ellis skończył właśnie swoją kawę i mrugnął porozumiewawczo do Sydney. - Zawiozę cię rano do miasta, a sam wrócę i trochę popracuję.

Sydney nie bardzo rozumiała, co ma oznaczać to mrugnięcie. Nie podobało się jej i to, że ojciec zwrócił się z prośbą o zawiezenie do miasta do Ellisa. Zirytowana powiedziała:

- Z chęcią cię podwiozę, tato.

- Dziękuję ci, kochanie, ale wiem, jak bardzo jesteś zajęta.

Spadło na ciebie bardzo dużo obowiązków: dom, przedsiębiorstwo, niewidomy ojciec. I tak już dostatecznie długo absorbowałem cię swoją osobą. - Thomas odsunął filiżankę. - Ellis nie ma nic przeciwko

temu, żeby mnie zawieźć, prawda?

- Nic a nic. Nie musisz się tym kłopotać, Sydney.

Nie zdążyła odpowiedzieć, chociaż zamierzała zaprotestować, ponieważ w tym momencie rozległ się dzwonek telefonu. Podniosła słuchawkę.

- Mieszkanie Thomasa St. Claire'a - powiedziała.

- Czy mogę mówić z panem Ellisem Carlisle'em? - usłyszała miły męski głos.

- Mogę spytać, kto prosi? - odpowiedziała pytaniem, zdziwiona, że to nie Rita McCall, gospodyni i zarazem opiekunka Trevora. Do tej pory tylko ona telefonowała do Ellisa i za każdym razem po krótkiej wymianie zdań prosiła do telefonu Trevora, który rwał się do rozmowy z ojcem. Spojrzała ze zdziwieniem na Ellisa, który patrzył na nią, ciekaw, kto telefonuje.

- Mówi Frank Nesbitt z laboratorium Alfa. Poczula się tak, jakby ziemia usunęła jej się spod nóg.

W laboratorium Alfa badano próbki krwi. Zaraz okaże się, czy Thomas jest biologicznym ojcem Ellisa.

- Chwileczkę, już proszę - powiedziała.

Musiało być coś szczególnego w jej spojrzeniu, bo Ellis podniósł się ze swego miejsca, zanim jeszcze zdążyła cokolwiek wyjaśnić.

Podawała mu słuchawkę.

- To z laboratorium - poinformowała.

- Ellis Carlisle - przedstawił się, odwracając się do niej tyłem.

Zauważyła, że drżały mu ręce, kiedy sięgał po słuchawkę. Nie miała mu za złe, że się odwrócił. Należało mu się trochę prywatności. I tak była zdziwiona, że nie odebrał telefonu w drugim pokoju.

- Oczywiście, rozumiem - powiedział do słuchawki.

To było to, na co czekali. Podeszła do ojca i delikatnie położyła mu rękę na ramieniu, a on przykrył ją swoją dłonią. Jednocześnie bacznie obserwowała Ellisa, starając się cokolwiek odgadnąć z jego gestów, jednak nic nie dał po sobie poznać. Słuchał uważnie tego, co miał mu do powiedzenia Frank Nesbitt, ale odpowiadał monosylabami. Zaskoczył tym Sydney, która wiedziała, jak bardzo mu zależy na znalezieniu dawcy dla chorego synka.

- Tak, oczywiście - mówił Ellis do telefonu. - Tak, bardzo dziękuję, że przekazał mi pan wiadomość mimo tak późnej pory. Będę - dodał po chwili cichym głosem.

Obserwowała go, gdy odkładał słuchawkę. Zachował kamienną twarz i poruszał się jak automat. Domyśliła się, że wiadomość nie była pomyślna. Lekko ścisnęła ramię ojca, czekając, co powie Ellis.

Milczał przez dłuższą chwilę.

- Wynik jest negatywny - oznajmił wreszcie zdławionym głosem. Nie patrzył na nich. - Miałeś rację, Thomasie, nie jesteś moim ojcem. Matka podała nieprawdziwe nazwisko.

- Przykro mi, Ellis. Co możemy zrobić, żeby pomóc twemu synkowi?

- Właśnie, co możemy zrobić? - Sydney otarła łzy wzruszenia, które płynęły jej po policzkach. Ucieszyła się, że ojciec jej nie okłamał,

i zarazem zmartwiła, że biedny mały Trevor stracił, kto wie czy nie ostatnią, szansę. - Jaki będzie twój następny krok?

- Nie będzie następnego kroku - odparł zupełnie zrezygnowany Ellis. - To była moja ostatnia nadzieja.

Nie, tak nie może się stać. Ellisowi nie wolno teraz dać za wygraną. Trzeba go wesprzeć, by odzyskał siły i chęć do walki z chorobą synka.

- Nie możesz na tym poprzestać - powiedziała Sydney.

Na twarzy Ellisa malował się niewypowiedziany ból.

- Nic więcej nie da się zrobić. Dziękuję ci, Thomas, za okazanie dobrej woli. Co do ciebie, Sydney, wyraziłem zgodę, by umieścili twoje dane na liście dawców. Kto wie, może przydasz się komuś innemu. A co do mnie - dodał - wracam do domu. W dwadzieścia minut się spakuję i już mnie nie ma.

Sydney widziała, że całkiem podupadł na duchu. Stracił nadzieję, a wraz z nią chęć do walki o zdrowie syna. Zrobił, co w jego mocy, i dotarł do punktu wyjścia - nadal brakowało dawcy.

- Ja... - zaczęła.

- Pozwól mi skończyć - wpadł jej w słowo Ellis.

- Chciałbym wam obojgu serdecznie podziękować za gościnność i życzliwość.

- Myślę, że nie powinieneś teraz jechać - wtrącił Thomas. - To nie jest dobry pomysł. Może jestem ślepy, ale wciąż jeszcze zachowałem jasność umysłu. Po tym, co usłyszałeś, nie powinieneś prowadzić samochodu. Poza tym, twój syn i tak już będzie spał, gdy

dotrzesz na miejsce. Dlaczego nie zaczekasz do rana?

- Okazałeś mi i tak dużo cierpliwości, Thomas. Zgodziłeś się na badanie, gościłeś mnie pod swoim dachem. Nie chcę ci się dłużej narzucać.

- Nie narzucałeś się, Ellis. Jesteś synem mojej dobrej koleżanki i sąsiadki. - Thomas podniósł się, wziął laskę i podszedł do drzwi. - Wiem dobrze, czym może skończyć się jazda samochodem w takim stanie. Zapominasz, że byłem policjantem. Widziałem niejednego wypadku. Pomyśl, kto zaopiekowałby się Trevorem, kto walczyłby z jego chorobą, gdyby coś ci się stało... - Thomas przerwał na chwilę. - Jutro spotkamy się przy śniadaniu - dodał stanowczym tonem, wychodząc z pokoju.

Sydney całkowicie zgadzała się z tą opinią. Wypadek, w wyniku którego zginęła matka i z którego ojciec wyszedł okaleczony, spowodował roztrzęsioną mężczyznę, którego właśnie opuściła żona. Był wprawdzie pijany, ale jak niewiele trzeba, by doprowadzić do kraksy na drodze? Wystarczy chwila nieuwagi... Zerknęła na Ellisa. Zadrżała na samą myśl, że mógłby się rozbić na najbliższym zakręcie.

- Proszę cię, zostań - powiedziała. - Jeśli jutro wyjedziesz wcześniej rano, zdążysz jeszcze zjeść z Trevorem śniadanie.

- Dobrze, Sydney, zostanę. Przekonaliście mnie - odparł, sięgając po marynarke. - A teraz pozwól, że cię opuszczę. Trochę się przewietrzę - dodał, otwierając drzwi.

Sydney obserwowała go w milczeniu. Jest zrozpaczony, ale nie chce, by go pocieszała. Woli zostać sam ze swoim bólem. Zrobiło jej

się przykro, choć przecież nie powinna aż tak bardzo odczuwać tego, że Ellis wykluczył ją z tej sprawy. Właściwie nic ich nie łączyło poza kilkoma gorączkowymi pocałunkami. Ciągnęło ich ku sobie, to prawda, ale nie przekroczyli ostatecznej granicy i nie zostali kochankami. W innych okolicznościach może by do tego doszło. A może poprzestaliby na przyjaźni? W każdym razie nie stali się sobie bliscy na tyle, by Ellis szukał u niej wsparcia.

Była jeszcze sprawa rzekomego ojcostwa. Przecież w głębi duszy modliła się o to, by Thomas nie okazał się ojcem Ellisa. Nie mogłaby więc pocieszyć go z czystym sumieniem, ponieważ jedno wykluczało drugie: gdyby Thomas mógł zostać dawcą, byłby ojcem Ellisa. Łzy zakręciły się jej w oczach. Żal jej było małego Trevora, współczuła Ellisowi... i była bezradna.

Ellis szedł ścieżką przez łąki rozciągające się za domem i patrzył w gwiazdy. W ciągu ostatnich kilku dni niejedną raz przechadzał się tędy z Thomasem. Teraz szedł sam, przeklinając los i niesprawiedliwość, jaka go spotkała. Thomas miał rację. Nie powinien w tym stanie siadać za kierownicą i pędzić na łeb, na szyję. Wcześniejszy przyjazd do domu i tak niczego nie zmieni. Trevor już nie może spodziewać się wyzdrowienia. Cud nie nastąpi.

Z dotychczasowego doświadczenia wiedział, że po gniewie przychodzi łązy. Po agresji - bezradność i apatia. Łzy czyniły go słabym, gniew dodawał siły. Do tej pory potrzebował tej siły, by codziennie pokonywać mnożące się przeciwności, by walczyć z

chorobą syna. Ale to się zmieniło z chwilą otrzymania informacji o wynikach badania krwi Thomasa. To było jak nokaut. Nie miał już siły i nie wiedział, z kim lub czym ma walczyć. Stracił wszelką motywację i nadzieję.

Po raz pierwszy od czasu rozpoznania choroby syna chciał, żeby ktoś podniósł go na duchu, by go pocieszył, żeby wraz z nim przeklinał los. Nie, nie ktoś, a Sydney. Ta mądra, wrażliwa, pełna zrozumienia i współczucia Sydney, która miała łzy w oczach, gdy okazało się, że zawiodła ostatnia możliwość.

Czy miał prawo ją o to prosić? Czy mógł obarczać ją swoimi problemami? Następnego ranka wyjedzie. Ma obowiązki przede wszystkim wobec syna, który może liczyć tylko na niego. Oddał mu całą swoją miłość. To on najbardziej go potrzebuje. W jego życiu nie ma miejsca dla kobiety. Musiałaby dzielić z nim niełatwy los. Czy może tego oczekiwać?

Spacerował jeszcze przez następną godzinę. Gniew powoli go opuszczał. Kiedy wszedł do ogrodu od strony kuchni, światła w domu jeszcze się paliły. Sydney nie spała. Prawdopodobnie czekała na niego.

Nie mógłby jednak stanąć z nią teraz twarzą w twarz. Za bardzo kusiłoby go, by szukać pocieszenia w jej ramionach. Musi zapanować nad sobą i spędzić jeszcze jedną noc w tym samym domu co ona, nie komplikując sobie i jej życia. Wszystkie poprzednie argumenty przemawiające za tym, by nie przekraczali pewnych granic, pozostały aktualne.

Usiadł na ławce stojącej tuż przy domu. To na niej siedziała

Sydney pierwszego wieczoru, gdy tu przyjechał. Oparł się o ścianę domu i przymknął oczy. Musi coś wymyślić, ułożyć jakiś nowy plan zorganizowania pomocy dla Trevora. Nie wolno mu się poddać. Musi coś zrobić.

Poczuł, że łzy płyną mu po twarzy. Syn go potrzebuje, liczy na niego niczym na magika, który sprawi, że nagle wyzdrowieje.

Tymczasem on ma pustkę w głowie, żadnych pomysłów, jak wyjść z tej ślepej uliczki. Obiecał Trevorowi, że wszystko będzie dobrze, a jeszcze nigdy nie złamał danej obietnicy.

Usłyszał skrzypnięcie drzwi, ale się nie odwrócił. Wiedział, że to Sydney. Poczuł delikatny zapach jej perfum. Czuł bijące od niej ciepło. Ławka skrzypnęła, gdy usiadła obok niego. Modlił się, by nic nie mówiła. Łzy nadal płynęły mu po twarzy, a serce głucho łomotało w piersi.

Przez dobrą chwilę Sydney siedziała w milczeniu, a potem wreszcie wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Już dłużej nie był w stanie nad sobą panować. Jęknął głucho i przyciągnął ją do siebie, wtulił twarz w jej włosy i gorzko zapłakał.

Sydney chodziła tam i z powrotem po kuchni niczym mąż rodzącej, oczekujący w holu szpitala przyjścia na świat swego potomka. Od samego rana słyszała, że Ellis krząta się po pokoju. Domyśliła się, że się pakuje. Za chwilę zejdzie na dół, by się z nią pożegnać. Wtedy przedstawi mu pewną propozycję.

Kiedy zeszła rano do kuchni, by nastawić wodę na kawę, zastała ojca siedzącego przy stole. Wyglądał, jakby również spędził bezsenność

noc. Pocałowała go w policzek i powiedziała, że ma pewien plan. Thomas chciał od razu dowiedzieć się, o co chodzi, ale poprosiła, by poczekali na Ellisa.

Spędziła noc skulona w fotelu przy oknie. Rozmyślała o małym chłopcu czekającym na wyzdrowienie i o wspaniałym kochającym ojcu, który swemu dziecku nieba by przychylił i który nie wahał się pokonać wstyd i żal, by zwrócić się o pomoc do Thomasa. Naprawdę obaj zasługiwali na uśmiech losu. Zastanawiała się, co jeszcze można zrobić w tej sytuacji. Nad ranem przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Była rada, że może coś zaoferować mężczyźnie, który szukał pocieszenia w jej ramionach.

Przestała krążyć po kuchni, gdy usłyszała na schodach kroki Ellisa. Gdy wszedł do kuchni, wiedziała od razu, że i on przez całą noc nie zmrużył oka. Spróbowała się uśmiechnąć.

- Zrobiłam kawę - powiedziała. - Napijesz się?

- Nie, dziękuję. Chcę jak najwcześniej wyruszyć w drogę. I tak muszę zatrzymać się na stacji benzynowej. Wtedy wypiję kawę - odparł Ellis.

- Dużo myślałam o twojej sytuacji i chyba wiem, co powinniśmy zrobić. Jeśli mój ojciec zgodzi się pomóc, może nam się udać.

- Oczywiście, że pomogę - zapewnił natychmiast Thomas. - Powiedz mi tylko, o co chodzi.

- Dziękuję wam obojgu za to, że okazaliście mi zrozumienie, że przejęliście się losem Trevora. Jak się okazało, obaj jesteśmy dla was

obcy, nie łączą nas więzy krwi. Jedyne, co jeszcze możecie zrobić, to namówić swoich znajomych, żeby oddali krew i wpisali się na listę dawców. Im więcej takich osób, tym większa szansa dla innych chorych dzieci.

- Chętnie to zrobimy, ale nie o tym myślałam. - Sydney wypła kawe i odstawiła filiżankę do zlewu. - Przez cały czas nie dawało mi spokoju pytanie, dlaczego twoja matka podała Thomasa St. Claire'a jako ojca swego dziecka.

- I doszłaś do jakichś wniosków? - zainteresował się Ellis.

- Catherine wiedziała, że będzie cię wychowywać sama, i jeśli coś jej się stanie, odpowiednie władze odnajdą metrykę chrztu i powiadomią ojca dziecka. Wiemy, że przyjaźniła się z Thomasem i ufała mu, więc posłużyła się jego nazwiskiem jako czymś w rodzaju zabezpieczenia. Była pewna, że mój ojciec, który zawsze kochał dzieci, wzięłby cię pod swój dach i wychowywał jak własnego syna, gdyby zaszła taka konieczność. - Podeszła do ojca i opiekuńczym gestem położyła mu dłoń na ramieniu. - I miała rację. Jeśli zaopiekował się mną, tym bardziej przygarnąłby syna Catherine Carlisle.

- Moja matka nie mogła wiedzieć, czy Thomas by się mną zaopiekował, czy nie - zaproponował Ellis. - Thomas miał wtedy zaledwie dwadzieścia jeden lat.

- Nie masz racji. Catherine doskonale wiedziała, że wychowywałbym cię jak własne dziecko - powiedział Thomas.

- Jak to?

- Powiedziałem jej to.

- Co? Co to znaczy? Wiedziałaś, że była w ciąży?

- Nie, ale gdy odtwarzam w pamięci wydarzenia sprzed lat, wydaje mi się, że powinienem był się tego domyślić. - Thomas nerwowo pocierał brodę. - Jedna z naszych ostatnich rozmów dotyczyła dzieci i przyszłości. Spytała mnie wtedy, czy chciałbym mieć kiedyś dzieci, a ja odparłem, że tak, bardzo. Powiedziałem, że chciałbym mieć liczną rodzinę, tak by w Święto Dziękczynienia dom był pełen, a dla dzieci trzeba byłoby dostawić dodatkowy stół. Potem zapytała mnie, co bym zrobił, gdyby się okazało, że ja i moja żona nie możemy mieć własnych dzieci. Odpowiedziałem, że na pewno adoptowalibyśmy, bo mnóstwo dzieci nie ma prawdziwego domu i prawdziwej rodziny. Była wyraźnie poruszona tym, co usłyszała.

Sydney pogratulowała sobie w duchu. A zatem się nie pomyliła. Zastanowiło ją, dlaczego Thomas nie adoptował więcej dzieci, ale szybko porzuciła tę myśl. Teraz musi przekonać Ellisa do swego pomysłu.

- Thomas St. Claire nie jest twoim ojcem, prawda? - powiedziała, zwracając się do niego.

- Prawda.

- A to znaczy, że gdzieś jest twój biologiczny ojciec.

- Ależ, Sydney, w Stanach Zjednoczonych żyje ponad dwieście pięćdziesiąt milionów ludzi. Jak mam go znaleźć?

- Coalsburg to ładne miasteczko. I mało kto je opuszcza.

- Moja matka je opuściła.

- Owszem. I nigdy nie wróciła. Nawet nie przyjechała w

odwiedziny.

- Ellis, Sydney ma rację - wtrącił Thomas. Wyprostował się. Ślady zmęczenia zniknęły z jego twarzy. - Prawdopodobnie dlatego nie przyjeżdżała, żeby nie natknąć się na twego ojca. Wiedziała, że wciąż tu mieszka.

- Może bała się spotkania z rodzicami?

- Może, ale jeśli Sydney ma rację, twierdząc, że nie chciała podać prawdziwego nazwiska ojca swego dziecka, to założę się, że wolała go nie spotkać. Twój ojciec musi pochodzić z tego miasta. Catherine była wtedy w liceum i rzadko wyjeżdżała, chyba że na wycieczkę parafialną.

- A więc jest jeszcze szansa, Ellis. - Sydney nie chciała budzić w nim płonnych nadziei, ale uważała, że trzeba sprawdzić każdą ewentualność. - Być może dziadek Trevora nadal tutaj mieszka. Spróbujmy go odnaleźć.

- Ale jak?

- Będą nam potrzebne kontakty ojca. Zna tu niemal wszystkich i wie, co się działo w ciągu ostatnich trzydziestu trzech lat. -

Uśmiechnęła się do Thomasa i uścisnęła jego dłoń. - Z jego pomocą może uda nam się odszukać dziadka Trevora.

Ellis zastanowił się przez chwilę, po czym głęboko westchnął.

- Będę wam niezmiernie wdzięczny, jeśli zechcecie pójść tym tropem i sprawdzić, czy istotnie mój biologiczny ojciec nadal tu mieszka. Ale ja muszę jechać do domu. Trevor nie może się doczekać mojego powrotu. Zbyt długo byłem poza domem. Nie mogę zostać.

- Doskonale to rozumiemy. Nie chcemy, żeby twój synek był nieszczęśliwy. I tak już dużo wycierpiał - zapewnił Thomas.

- Myślę, że jedynym rozsądnym wyjściem byłoby sprowadzenie Trevora do nas - powiedziała Sydney. - Ojciec, niestety, sam nie może się nigdzie dalej wybrać. Jeśli ma nam pomóc odszukać tego mężczyznę, musi mieć pod ręką kogoś, kto go zawiezie i przywiezie. Jak wiesz, prowadzę po mamie przedsiębiorstwo i nie mogę wszystkiego przerzucić na barki nawet najbardziej zaufanych pracowników. Jeśli wrócisz do nas z Trevorem, będziemy mogli na zmianę towarzyszyć ojcu. A przy tym będziesz razem z synem. W tym domu jest dość pokoi, a my z ojcem bardzo chcielibyśmy poznać Trevora.

- Naprawdę? Nie będzie wam przeszkadzał?

- Wnuk Catherine? - obruszył się Thomas. - To będzie dla mnie wielka przyjemność. Catherine zaufała mi, uznała, że jestem porządnym człowiekiem. Mogę zrobić chociaż tyle, by pomóc jej synowi i wnukowi.

- Podniósł się energicznie z fotela i sięgnął po laskę.

- Idę do gabinetu. Zastanowię się nad strategią działania.

Rozwiązanie tej tajemnicy może być fascynujące - orzekł, wyraźnie ożywiony.

Sydney nie patrzyła na ojca. Obserwowała Ellisa. Widziała, jak zmienia się wyraz jego twarzy, jak znika z niej smutek i przygnębienie. Modliła się w duchu, by to, co robi, okazało się słuszne i nie naraziło Ellisa na kolejne rozczarowanie.

- Wiesz, że twój ojciec mógł wyjechać z miasta. Jeśli nie, być może nie zechce się przyznać, że twoja matka była z nim w ciąży, a on ją porzucił - powiedziała.

- Wiem, Sydney. Istnieją bardzo niewielkie szanse, że twój plan się powiedzie, a nawet jeśli tak się zdarzy, to wcale nie ma gwarancji, że dziadek Trevora podda się badaniu krwi i zgodzi się zostać dawcą. I nawet wtedy nie będzie jeszcze pewności, czy wynik badania okaże się zadowalający. Nie wolno mi jednak niczego przeoczyć, co do tego jestem głęboko przekonany.

- Trevorowi będzie się tu podobać.

- Pięcioletni chłopiec potrafi wywrócić dom do góry nogami.

- Ale potrafi również wnieść do domu miłość.

- Na pewno zechce wziąć ze sobą kilka swoich zwierząt. - Ellis uśmiechnął się po raz pierwszy od dłuższego czasu. - Nie wiem, czy zdołam mu to wybić z głowy.

- Chętnie zobaczę te zwierzaki. Ellis spoważniał.

- Jest jeszcze jedna sprawa. - Obwiodł delikatnie zarys jej ust.

- Nie potrafię dłużej walczyć z pożądaniem, Sydney. Za bardzo cię pragnę, bym mógł spędzić kolejną noc pod jednym dachem, nie dotykając cię, nie biorąc w ramiona. Tym razem nie skończy się na pocałunkach.

Sydney oblała fala gorąca. Wiedziała, że Ellis mówi prawdę. Kiedy wróci, nic ich już nie powstrzyma.

- Pytam cię po raz ostatni, czy chcesz, żebym przyjechał?

Wiedziała również, dlaczego chce się upewnić, czy wzięła pod

uwagę konsekwencje tego kroku. Trevor potrzebował wykwalifikowanej opieki medycznej, jaką mógł mu zapewnić tylko szpital w dużym mieście. Przedsiębiorstwo Ellisa miało siedzibę w Filadelfii, wszystko więc wskazywało na to, że Ellis nie będzie mógł zostać w Coalsburgu, nawet gdyby bardzo chciał. Miał chorego syna i liczne obowiązki. Wiedziała o tym i pogodziła się z tym. Od początku pragnęła Ellisa jak żadnego innego mężczyzny, przeczuwała, że jest jej pisany. Jeśli się okaże, że nie może liczyć na wspólną przyszłość, to trudno. Podeszła do niego bliżej i dotknęła jego piersi.

- Wracaj - powiedziała. - Za bardzo cię pragnę, by dłużej ze sobą walczyć.

W odpowiedzi Ellis złożył na jej ustach pocałunek, jakby chciał przypieczętować ich umowę.

ROZDZIAŁ 7

Sydney rozejrzała się ze zdumieniem po salonie. Ellis miał rację, uprzedzając, że obecność jednego małego chłopca pod ich dachem, gdzie zazwyczaj wszystko szło utartym trybem, może oznaczać spore zmiany.

Pokój, który był dumą i radością Julii St. Claire, przypominał teraz minigród zoologiczny, tyle że różnokolorowe zwierzaki nie były żywe. Na pięknej kremowej kanapie we wzory bukietów róż ulokował się lew i tygrys. Fotel zajmował słoń z bardzo długą trąbą, a z oparcia zwieszał się wąż. Drugi fotel okupowała rodzina orangutanów, a mniejsze zwierzaki zajęły wszystkie krzesła. Sydney nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok takiej scenerii. Trevor ściśle przestrzegał jednej zasady, którą mu wpoila - niczego nie wolno mu było kłaść na podłodze, żeby Thomas się nie potknął. Poruszał się wprawdzie coraz sprawniej, korzystając z laski, ale przecież był niewidomy. Zresztą Trevor zaakceptował ten fakt bez żadnych pytań, jak rzecz najnaturalniejszą w świecie. Sydney domyśliła się, że Ellis musiał rozmawiać z nim na ten temat.

Thomas polubił Trevora niemal od razu. Gdy tylko chłopiec zjawił się w ich domu, starszy pan zadziwiająco szybko nawiązał z nim kontakt. Zaraz po przywitaniu Trevor, z orangutanem w ramionach, zaczął mu z zapalem opowiadać, czym żywią się te duże małpy. Po chwili Thomas spytał, czy mógłby też potrzymać przez chwilę

orangutana, żeby go „zobaczyć” rękami. Chłopiec, zaintrygowany tym nowym dla niego sposobem widzenia, przynosił Thomasowi po kolei wszystkie zwierzęta, które ze sobą przywiózł. A tylne siedzenie mercedesa było nimi wypełnione aż po dach. Nici obopólnej sympatii zostały zadziergnięte.

- Ostrzegalem cię - wyrwał Sydney z zadumy głos Ellisa.

- Zgadza się. - Odwróciła się i uśmiechnęła. - Teraz już wiem, dlaczego trudno ci czeokolwiek odmówić Trevorowi - powiedziała.

- Jest naprawdę uroczy. Bezpośredni, a przy tym grzeczny. Poza tym nie kaprysi i nie marudzi, kiedy czegoś nie może dostać albo coś idzie nie po jego myśli. Pod tym względem bardzo różni się od dzieci, które znam. A przecież musi być zmęczony chorobą i szpitalem.

- To prawda. Wciąż mnie zadziwia, że potrafi być taki dzielny i opanowany, a przy tym pogodny. Ma za sobą trudny okres i nie wiadomo, co go jeszcze czeka. To kochany dzieciak. - Widać było, że Ellis jest wzruszony. - Chciałbym ci jeszcze raz podziękować za gościnę i za możliwość przebywania pod waszym dachem razem z Trevorem - dodał. - I jeszcze jedno: stęskniłem się za tobą.

- Nie było cię tylko siedem godzin - zauważyła Sydney, a w duchu uściśliła: siedem godzin i czternaście minut.

- To właśnie mnie przeraża.

- Wiem. Mnie też - szepnęła, sięgnęła po jego dłoń i przytuliła ją sobie do policzka.

Była pełna sprzecznych uczuć. Z jednej strony cieszyła się z obecności Ellisa, z drugiej obawiała się, że zbyt szybko się zaangażuje. Ellis

spędził u nich niecały tydzień, a już dom bez niego wydał jej się pusty. Co zrobi, gdy wyjedzie na dobre? Będzie musiała stawić czoło przyszłości. Ale na razie są razem i tylko to się liczy.

Podeszła do niego. Zbliżył twarz do jej twarzy, w jego oczach płonęło pożądanie. Czekwała, aż dotknie jej ust. Pragnęła tego pocałunku. Marzyła o nim przez siedem godzin i czternaście minut. Westchnęła lekko, zamknęła oczy i rozchyliła zapraszająco wargi...

- Tato, jestem głodny. Kiedy będzie kolacja? - usłyszała nagle głos Trevora tuż obok siebie.

Cofnęła się gwałtownie i omal nie przewróciła, potykając o fotel z rodziną orangutanów. Popatrzyła na chłopca, który wszedł do pokoju niepostrzeżenie i stał o krok od Ellisa. Jeszcze sekunda i zastałby ich całujących się namiętnie. Przeraziła się na samą myśl o tym i oblała rumieńcem ze wstydu. Spojrzała na Ellisa. Poglaskał syna czule po głowie, ale nadal tęsknie wpatrywał się w jej usta.

- Mam nadzieję, że kolacja będzie zaraz - powiedział. - Ja też jestem głodny.

- Za dwadzieścia minut usiadziemy do stołu - obiecała Sydney i zwróciła się do chłopca: - Wytrzymasz? - Pomyślała, że w kuchni na pewno znajdzie się coś, co mógłby przegryźć jeszcze przed kolacją. Był taki szczuplutki.

- Ile to jest, tatusiu? - zapytał Trevor.

- Potrafisz przecież liczyć do dwudziestu - powiedział Ellis.

- Tak, ale jak to długo?

- Wystarczająco długo, żebyś mógł zjeść jedno ciastko i pomóc

mi nakryć do stołu - odparła Sydney i uśmiechnęła się przyjaźnie. - Upiekłam czekoladowe ciastka, kiedy tatuś po ciebie pojechał. Mówił, że bardzo je lubisz. - Chciała zrobić chłopcu przyjemność, sprawić, by czuł, że jest w tym domu mile widziany, no i musiała się czymś zająć w oczekiwaniu na powrót Ellisa.

- Mogę, tatusiu? - Trevor pociągnął ojca za rękaw.

- Oczywiście, możesz zjeść ciastko i pomóc pannie Sydney nakryć do stołu - zgodził się Ellis i uśmiechnął się do syna. Jego twarz wyrażała bezgraniczną miłość.

- Dziękuję, tato. - Trevor starał się nie okazywać, jak bardzo się cieszy, że będzie mógł zjeść ciastko przed kolacją.

- Ale tylko dzisiaj - zastrzegł się Ellis - Nie możesz się przyzwyczajać do jedzenia słodczy przed posiłkiem. Są raczej przeznaczone na deser.

- Dobrze, tatusiu. - Chłopiec popatrzył na Sydney z wdzięcznością.

Uśmiechnęła się do niego i wzięła go za rękę.

- Chodźmy, pokażę ci, gdzie są ciastka.

Kiedy weszli do kuchni, jej wzrok przyciągnął czerwony taboret stojący obok telefonu. Gdy była mała, matka sadzała go na nim przy blacie, żeby mogła obserwować, co się dzieje w kuchni. Ileż wspomnień wiązało się z tym taboretem!

Nie puszczając rączki Trevora, przysunęła taboret do blatu i powiedziała mu, żeby się na niego wdrapał. Taboret miał dwa stopnie i służył jako drabinka, gdy trzeba było coś zdjąć z górnych półek.

Chłopiec rozsiadł się na taborecie niczym na tronie.

- W domu często nakrywam do stołu - oznajmił.
- Więc pewnie świetnie to robisz, prawda? - Sydney wzięła

blaszane pudełko w czerwone różyczki i otworzyła je. Rozszedł się zapach świeżo upieczonych ciastek. Sama nawet ich jeszcze nie próbowała, ale Thomas od razu się do nich dobrał. Musiała wyrzucić go z kuchni z obawy, że nic nie zostanie dla Trevora.

Podsunęła pudełko chłopcu.

- Pamiętaj, tylko jedno. Trevor wziął ciastko.
- Dziękuję - powiedział i uśmiechnął się.
- Nie ma za co - odparła Sydney i poczęstowała Ellisa, który

wszedł za nimi do kuchni. - Ty też tylko jedno. Inaczej nie zjesz kolacji - zażartowała.

Ellis wziął ciastko i mrugnął porozumiewawczo do syna.

- Dzięki, Trev. Gdyby nie ty, ta młoda dama na pewno nie poczęstowałaby mnie ciastkiem przed kolacją.

Sydney wzięła jedno dla siebie i odstawiła pudełko.

- Tylko nie mówcie nic mojemu ojcu - zaznaczyła.
- Czego to mają mi nie mówić? - zapytał Thomas, stając w

drzwiach kuchni.

Ellis zdusił śmiech. Sydney wiedziała, że przed ojcem niczego nie da się ukryć. Na pewno poczuł zapach ciastek.

- Mają ci nie mówić, że jedzą ciastka przed kolacją - poinformowała go.

- Pozwoliłaś im jeść ciastka przed kolacją? - Thomas uniósł w

górną brwi.

- Trevor był głodny - usprawiedliwiała się Sydney.

- Jeśli chłopiec może być głodny, to i my też. Sydney zdjęła z półki pudełko i podsunęła ojcu.

Roześmiał się.

- No i co powiesz, Trev, dobre te ciastka? - zwrócił się do chłopca.

- Bardzo dobre, proszę pana. Prawie takie, jakie robi pani McCall.

„Prawie takie, jakie robi pani McCall”? A to ci komplement. Sydney starała się nie okazać rozczarowania. Gdzie się podziało jej poczucie humoru?

- W ustach Trevora to prawdziwa pochwała - pośpiesznie wyjaśnił Ellis, gdy zorientował się, że Sydney zrobiło się przykro. - Uwielbia Ritę

- Co to znaczy „uwielbia”? - spytał chłopiec.

- To znaczy, że bardzo lubisz panią McCall. - Ellis zmierzwił synkowi włosy.

- Wczoraj przyszedł do mnie Kyle pobawić się w zoo i pochwalił się, że ma dwie babcie. Tymczasem ja nie mam ani jednej, ale pani McCall powiedziała mi, żebym się nie martwił, bo jak zechcę, to ona będzie moją babcią.

Sydney zerknęła na Ellisa. Widać było, że gdyby mógł, ofiarowałby synkowi gwiazdkę z nieba. W jego oczach było tyle miłości, tyle oddania, że ogarnęło ją wzruszenie. Pomyślała, że teraz

mają tylko siebie, ale to może się zmienić.

Kiedy Ellis zszedł na dół, zastał Sydney w salonie. Pograżona w pracy, siedziała na kanapie, z której zniknęła menażeria Trevora. Wokół niej piętrzyły się dokumenty. Ogarnęło go poczucie winy. To przez niego i Trevora brakuje jej czasu i musi pracować wieczorami w domu, aby być na bieżąco z robotą. Na pewno spędzi nad papierami pół nocy. Wiedział, co to znaczy prowadzić przedsiębiorstwo, miał własne i do wszystkiego doszedł sam. Teraz, pochłonięty walką o zdrowie syna, z trudem znajdował czas na sprawy firmy. Starał się ich nie zaniedbywać i robił to, co było konieczne.

Po wypadku rodziców Sydney znalazła się w podobnej sytuacji. Przejęła prowadzenie przedsiębiorstwa i musiała pogodzić to zajęcie z zapewnieniem opieki niewidomemu ojcu. Czy dobrze im się powodziło? - nie zastanawiał się nad tym. Uważał, że pytania o Sprawy finansowe byłyby co najmniej nie na miejscu. Zresztą nie miało to dla niego znaczenia i nie interesowało go, ile kiedyś zarabiał Thomas albo jaki dochód przynosi przedsiębiorstwo jego nieżyjącej żony Julii.

Thomas siedział przed telewizorem. Słuchał wiadomości.

- Trevor śpi? - spytała Sydney, unosząc głowę nad dokumentów.

- Tak. Zacząłem mu czytać książkę, ale prawie zaraz zasnął. Pewnie z nadmiaru wrażeń. W każdym razie zna teraz kilka nowych dzikich zwierząt. Pewnie zechce je dołączyć do swojej kolekcji.

- Chłopak naprawdę interesuje się zwierzętami - rzucił Thomas.

- Może gdy dorośnie, zostanie lekarzem weterynarii.

Ellis zamarł. Wiedział, że Thomas nie chciał go zranić, po prostu powiedział to odruchowo. Wymknęło mu się to tak jak jemu, gdy pewnego dnia zwrócił się do niego: „Poczekaj, aż zobaczysz”. Zapadło kłopotliwe milczenie.

- O Boże, przepraszam cię. - Thomas wyłączył telewizor.

- Jesteś pewien, że Trevor dobrze się czuje na górze? Że się nie boi? - zmieniła szybko temat Sydney.

- Oczywiście. Rzadko budzi się w nocy. Na wszelki wypadek przywozłem jego nocną lampkę. Zamknąłem drzwi, ale na korytarzu pali się światło. Nie powinien się bać. Jest przyzwyczajony do sypiania poza domem... siedem szpitali w ciągu dziewięciu miesięcy zrobiło swoje. Poza tym ma swoje zwierzęta, które go ochraniają - dodał. Zostawił syna w szerokim dwuosobowym łóżu wtulonego między Kubusia Puchatka a małego orangutana.

- To właśnie dlatego ma te wszystkie zwierzęta? Żeby go chroniły? - spytała Sydney.

- W pewnym sensie tak. - Ellis był już zmęczony znajdowaniem wszelkich możliwych wyjaśnień zachowania Trevora. Kiedy dowiedział się o jego chorobie, postanowił, że umożliwi mu prowadzenie w miarę normalnego życia. Większość rodziców nie głowi się nad psychologicznymi przesłankami postępowania swoich dzieci. - Myślę, że otaczając się tym, co do niego należy, czuje się bezpieczniej. A poza tym lubi zwierzęta,

- Udało ci się jakoś zmieścić je w pokoju gościnnym? - spytał

Thomas.

- Tak, Trevor był bardzo szczęśliwy, że dla wszystkich znalazło się miejsce. Powiedział nawet, że zmieściłyby się jeszcze ze dwa dodatkowe.

- Georgette byłaby zadowolona, gdyby to usłyszała. Taki klient nie co dzień się zdarza - zauważył z uśmiechem Thomas.

- O, tak, na pewno. Jednak przed wyjazdem do domu raczej nie odwiedzimy jej sklepu. Nie wiadomo, jak tym razem by się to skończyło, a w samochodzie już nie ma miejsca - odparł Ellis.

- Rozmyślałem nad tym, jak odszukać twojego ojca - powiedział Thomas, pocierając brodę.

- I do jakiego wniosku doszedłeś? - zapytał Ellis. Zdawał sobie sprawę, że szukanie jego ojca może przypominać szukanie igły w stogu siana.

- Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej przyznaję rację Sydney. Myślę, że twój ojciec tu mieszka, a przynajmniej mieszkał jeszcze dwanaście lat temu. Catherine miała w Coalsburgu paru dobrych przyjaciół. Sądzę, że chętnie by ich odwiedziła, gdyby tylko mogła. Nie przyjechała jednak ani razu. Musiała wiedzieć, że on wciąż tu jest.

- Ilu mieszkańców liczy Coalsburg? Osiem, dziesięć tysięcy? Jak wśród nich odnaleźć tego jednego mężczyznę?

- Nie możemy ograniczać się do samego miasta - stwierdził Thomas. - Musimy sprawdzić również okolice. Kiedy Catherine zaszła w ciążę, chodziła do liceum, do którego uczęszczała młodzież ze

wszystkich pobliskich miejscowości. Tam są tylko szkoły podstawowe, więc później uczniowie przychodzą do naszego liceum.

- Więc teraz mówimy o czternastu tysiącach?
- Nie, ponad pięćdziesięciu.

Ellis odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Pięćdziesiąt tysięcy! Igła w stogu siana skurczyła się do rozmiarów malutkiej szpileczki.

- Nie przejmuj się tak, Ellis - pocieszył go Thomas.
- Połowa z tego to kobiety.
- Wspaniale! W grę wchodzi zaledwie dwadzieścia pięć tysięcy!
- Musimy jeszcze wyeliminować wszystkich mężczyzn, którzy nie przekroczyli czterdziestego ósmego roku życia - mówił dalej Thomas, ignorując uwagę Ellisa.

- Dlaczego właśnie ich?
- Catherine miała osiemnaście lat, kiedy wyjechała z miasta. Mogła spotykać się z siedemnastolatkiem, ale na wszelki wypadek uwzględniłem jeszcze szesnastolatków.

Ellis nie wyobrażał sobie matki z jakimś szesnastoletnim smarkaczem. Do diabła, nie chciał jej sobie wyobrazić z nikim.

- A jaka byłaby górna granica wieku? - spytał Thomasa.

Thomas zastanowił się przez chwilę.

- Myślę, że trzeba rozszerzyć przedział wiekowy - odparł. - Nie uwłaczając pamięci Catherine, wielu młodym dziewczętom podobają się dojrzały mężczyźni, znacznie starsi od nich.

- Na ile dojrzały? Mógł mieć ze trzydzieści lat?
- Górną granicę wieku określiłbym na pięćdziesiąt lat.

- Pięćdziesiąt! - wykrzyknął Ellis. - Moja matka miała wtedy zaledwie osiemnaście. Pięćdziesięcioletni mężczyzna z osiemnastoletnią dziewczyną. Nie, to niewyobrażalne. Odniosłem wrażenie, że byłeś przyjacielem mojej matki... - dodał. Wydawał się lekko urażony.

- Nie denerwuj się. - Sydney dotknęła jego ręki. - Mogło się zdarzyć, że twoja matka uległa czarowi jakiegoś interesującego pana po czterdziestce.

- Czterdziestoletni mężczyzna może spłodzić dziecko - dodał Thomas.

- Do diabła, siedemdziesięcioletek też może zostać ojcem. Czy i takich uwzględnimy? - zirytował się Ellis.

- Miałby dziś sto dwa lata. - Thomas potrząsnął głową. - Uważam, że najpierw powinniśmy się skoncentrować na tych, którzy wtedy byli w szkole, może rok czy dwa starszych od twojej matki, i którzy zostali w mieście.

- A nauczyciele? - spytała Sydney.

- Nauczyciele? Chcesz ich zapytać, czy może pamiętają chłopca, z którym spotykała się moja matka? To nawet by miało sens. Mogłoby stanowić punkt wyjścia poszukiwań.

- Nie, myślałam, że... że może Cathy miała przygodę z jakimś nauczycielem.

- Mówisz o mojej matce - powiedział Ellis oburzony.

- Wiem, i przykro mi, jeśli czujesz się urażony, ale wiele dziewcząt kocha się w swoich nauczycielach. Może twoja matka

posunęła się dalej.

- Ona ma rację - włączył się St. Claire. - Jeśli chcesz znaleźć ojca, powinieneś zapomnieć o sentymentach. Catherine musiała cię bardzo kochać, skoro zdecydowała się na takie życie, jakie wiodła. Trzydzieści dwa lata temu dziewczyna mogła po cichu usunąć ciążę albo wyjechać z miasta na parę miesięcy do jakichś krewnych, urodzić dziecko i oddać je do adopcji. Twoja matka nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. A kobiecie z nieślubnym dzieckiem na pewno nie było łatwo.

- Kto jak kto, ale ja najlepiej o tym wiem - mruknął.

Obserwowanie jej codziennych zmagania dodawało mu bodźca, żeby dobrze się uczyć i czegoś w życiu dokonać. Zamierzał w przyszłości opiekować się matką, sprawić, by miała lepsze życie. Zmarła, zanim zdołał urzeczywistnić swoje plany.

- Catherine kochałaby Trevora tak samo jak kochała ciebie.

- To też wiem. - Pamiętał tęskne spojrzenie matki, gdy tylko któremuś z sąsiadów urodziło się dziecko. Pragnęła mieć więcej dzieci.

- Więc uwierz mi, że Catherine chciałaby, żebyś zrobił, co w twojej mocy, aby uratować życie Trevora. Nawet gdyby miało to oznaczać ujawnienie prawdy o twoim prawdziwym ojcu

- Zgoda, Thomas. Zrobimy to, co proponujesz. W jaki sposób odnajdziemy nazwiska uczniów i nauczycieli?

- Weźmiemy je z roczników szkolnych. - Thomas był zadowolony, że sprawy zaczynają się toczyć zgodnie z jego planem. - Rocznik mojej żony Julii i mój jest gdzieś na strychu. Julia i twoja matka były w tej samej klasie. Ja byłem o rok starszy. Jutro pójdziesz z

Sydney na strych i spróbujecie je odnaleźć. Gdzieś tam muszą być w tym bałaganie.

- A inne roczniki? Dwa późniejsze i jeden wcześniejszy? - zapytała Sydney.

- Odbędę parę rozmów telefonicznych. Zobaczą, co się uda załatwić. - Thomas był wyraźnie w swoim żywiole. - Będę potrzebował pary oczu do czytania.

- Pomogę ci - zaofiarowała się natychmiast Sydney.

- Nie, pozwól, że ja to zrobię - zaproponował Ellis, mając świadomość, ile czasu Sydney poświęciła jego sprawie. - Musisz dopilnować pracy w szklarniach. My z Trevorem dotrzemy towarzystwa twemu ojcu i przygotujemy coś do zjedzenia. Nie chcę cię widzieć w domu przed szóstą. - Wiedział, że Sydney zamyka biuro o piątej, ale Thomas mówił mu, że przed wypadkiem nigdy nie wracała do domu przed szóstą.

- Ale ja chcę pomóc. - Była wyraźnie zła. - Ten cały plan to przecież mój pomysł.

- Wiem, i jeszcze raz ci dziękuję, że tak bardzo przejęłaś się losem mojego chorego synka. - Położył rękę na jej dłoni. - Masz mnóstwo obowiązków, nie możesz ich zaniedbać, musisz też dopilnować pracowników. Mam wyrzuty sumienia, że absorbuję cię swoimi sprawami. Jutro wieczorem, gdy tylko Trevor pójdzie spać, odbędziemy następną burzę mózgow. - Lekko ścisnął jej dłoń. - Później będziemy potrzebować twojej pomocy, ale na razie ja mogę odczytać Thomasowi nazwiska z roczników.

- Ellis ma rację - poparł go St. Claire. - Później się do nas przyłączysz. Na razie musisz trochę popracować, żeby twoi ludzie cię nie wyrzucili. - Wstał i uśmiechnął się. - Myślę, że na dziś skończyliśmy. Nie wiem, jak wy, ale ja idę spać. Na dzisiaj mam dość.

Ellis uważnie popatrzył na Thomasa. Nie wyglądał na zmęczonego, raczej chciał się dyskretnie wycofać i zostawić ich samych. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy Thomas domyśla się, co dzieje się w jego domu.

- Dobranoc, tato - powiedziała Sydney i patrzyła, jak ojciec idzie do drzwi. Otworzył je sobie laską.

W chwilę później był już na schodach.

W salonie zaległa cisza.

Ellis odwrócił się i popatrzył na Sydney. Była piękna, to nie ulegało wątpliwości, ale znał piękniejsze kobiety, które okazywały mu zainteresowanie. Jednak żadna inna kobieta tak na niego nie działała, nawet Ginny w okresie, gdy byli w sobie zakochani.

Wrócił myślami do Trevora. Jego syn od razu polubił Sydney i Thomasa. Kiedy pomagał mu się szykować do snu, chłopiec spytał go, czy Sydney jest jego dziewczyną. Zaskoczyło go to pytanie, ale Trevor wyjaśnił, że ojciec Kyle'a ma dziewczynę. Rodzice Kyle'a właśnie przeprowadzali rozwód i chłopiec wraz ze swoją młodszą siostrą znalazł się w samym środku walki, jaką toczyli ze sobą małżonkowie. Spytał Trevora, co by powiedział, gdyby on też miał dziewczynę. Odparł, że byłby zadowolony, bo Sydney piecze smaczne ciastka.

Uśmiechnął się. Tak, Trevor miał rację, jej ciasteczka wcale nie

były złe.

- Co cię tak ucieszyło? - spytała Sydney, podnosząc wzrok znad dokumentów i odruchowo poprawiając włosy.

- Ty - odparł i przysunął się bliżej, by lepiej poczuć zapach jej wody kwiatowej. - Zrobiłaś dziś nie lada wrażenie na Trevorze.

- Ja? - Odłożyła papiery na stolik do kawy i zwróciła ku niemu twarz. - Co powiedział?

- Pytał, czy jesteś moją dziewczyną. - Wyglądała uroczo z wyrazem zaniepokojenia na twarzy.

- Niemożliwe!

- Ależ tak.

- I co mu powiedziałaś?

- Ponieważ nie mam zwyczaju przyprawdzać do domu kobiet i przedstawiać ich jako swoje sympatie, byłem ciekawy, co go skłoniło do takiego pytania. Okazało się, że rodzice chłopca z sąsiedztwa, z którym czasem się bawi, właśnie się rozwodzą. Ten chłopiec mu powiedział, że jego tata ma dziewczynę. Sądzę, że to ona była bezpośrednią przyczyną rozwodu.

- Wspaniale. I ich synek o tym wie?

- Wie Kyle, wiedzą sąsiedzi. Do diabła, wszyscy wiedzą, z moim synem włącznie - odparł Ellis, nie kryjąc dezaprobaty.

- Rozmawiałeś z nim na ten temat? - spytała.

- Trochę. - Nie miał nastroju na poważne rozmowy z synem, gdy przygotowywał go do snu. Oszczędzał siły na rozmowy z lekarzami.

- Rozwód musi mu się źle kojarzyć, jeśli wziąć pod uwagę sytuację między tobą a jego matką.

- Trevor nie wie, że się rozwiedliśmy. Ginny odeszła, gdy miał zaledwie sześć tygodni. Szybko znudziły się jej obowiązki macierzyńskie. Mały nawet jej nie pamięta. Zaoszczędziliśmy mu przeżyć, jakie często stają się udziałem dzieci, o których rodzice toczą walkę podczas rozvodu. Uznaliśmy z Ginny, że tak będzie najlepiej. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Ona zupełnie nie nadawała się na matkę.

- To dlaczego urodziła Trevora?

- Nasze małżeństwo przeżywało kryzys i Ginny myślała, że przyjście na świat dziecka poprawi stosunki między nami. Szybko jednak uznała, że się pomyliła.

- Uznała Trevora za pomyłkę? - zapytała wstrząśnięta Sydney.

- Nie, przy wszystkich swoich wadach kochała go na tyle mocno, by pozwolić mu zostać ze mną. Wiedziała, że jest dla mnie całym światem. - Kosztowało go to małą fortunę, ale w końcu dobili targu. - Po wykryciu choroby pierwsza poddała się testowi krwi.

- Więc co powiedziałaś Trevorowi na temat jego matki?

- Właściwie nic. Po prostu wie, że nie ma matki - odparł Ellis, ale miał świadomość, że w przyszłości będzie musiał poważnie porozmawiać z synem o Ginny.

- Jego matka nie odwiedziła go nawet w czasie choroby?

- Nie. Może to brzmi okrutnie, jednak myślę, że tak jest lepiej dla wszystkich. - Wiedział, że Sydney została adoptowana, gdy miała

dziesięć lat, że czuła się niekochana i niechciana. Fakt, że Trevor nie znał matki, wydawał jej się czymś godnym potępienia, i Ellis to rozumiał. Ale Trevor był jego synem, a Ginny - egoistyczną byłą żoną.

- Uznałem, że dla Trevora będzie lepiej, jeśli nie pozna prawdy. Lepiej, by myślał, że nie ma matki, niż gdyby wiedział, iż specjalnie zaszła w ciążę, żeby podtrzymać rozpadające się małżeństwo i opróżnić moje konto bankowe. Kiedy uświadomiła sobie, że ciąża w niczym jej nie pomoże, chciała ją przerwać. Cokolwiek było między nami, skończyło się. Przez pięć miesięcy drogo płaciłem za to, by Trevor się urodził. Pozwoliłem Ginny zostać, dopóki nie doszła do siebie po tym, co nazwała „ciężką próbą”, a potem zgodziłem się na jej odejście.

- Chyba miałaś rację, Ellis - przyznała Sydney po długiej chwili milczenia. Wiele przeszła, dopóki nie zaadoptowali jej St. Claire'owie. Doświadczyła braku rodzicielskiej miłości i troski, ale takie postępowanie nie mieściło się jej w głowie. - Jednak pewnego dnia będziesz musiał powiedzieć mu prawdę.

- Wiem, ale jeszcze nie teraz. - Wyciągnął do niej rękę. - Los go nie oszczędza, a ma dopiero pięć lat.

- To nie w porządku, prawda? - powiedziała z głębokim smutkiem.

- Tak, to nie w porządku. - Ścisnął jej dłoń. Kochał syna całym sercem i robił wszystko, co w jego mocy, by mu pomóc. W tej chwili potrzebował czegoś więcej niż zrozumienia i okazania serca.

Potrzebował Sydney.

- Wiesz, co naprawdę jest nie w porządku? - zapytał i spojrzał

w jej przepastne zielone oczy.

- Co? - szepnęła.
- To, że od kiedy wróciłem, jeszcze cię nie pocałowałem. -

Puścił jej dłoń i objął ją w pasie.

- Też to zauważyłeś? - mruknęła i zbliżyła usta do jego warg.

ROZDZIAŁ 8

Nie była w stanie dłużej opierać się pokusie. Usta Ellisa obiecywały tak wiele! Widziała, że i on z trudem powstrzymuje się od wzięcia jej w ramiona. Pocałowała go, a wtedy on przyciągnął ją blisko do siebie. Zanim się zorientowała, znaleźli się na kanapie, wtuleni w siebie, rozgorączkowani namiętym pocałunkiem.

Któreś z nich jęknęło. Nie potrafiłaby powiedzieć, czy ona, czy Ellis. Zresztą i tak nie miało to znaczenia. Jediną rzeczą, jaka się liczyła, była obecność Ellisa - jego dotyk, zapach, smak. Żadnego mężczyzny w życiu tak bardzo nie pragnęła. Przeczowała, że mógłby ofiarować jej niezwykle przeżycia. Przyciągnął ją do siebie i poczuła, jak bardzo jej pragnie.

Pocałunek stawał się coraz bardziej zmysłowy i oszalamiający. Gdy wreszcie oderwali się od siebie, Ellis szepnął:

- Czarownica.
- To miał być komplement?

- Tylko czarownica może doprowadzić mężczyznę do takiego stanu - odparł. Zmierzył Sydney włosy, czułym gestem obwiodł usta i znów przywarł do nich w gwałtownym pocałunku.

Pragnęła go aż do bólu. Nigdy przedtem nie prosiła mężczyzny, by się z nią kochał, a teraz była gotowa błagać o to. Wiedziała, że Ellis oczekuje od niej pełnego, świadomego oddania, że bardzo poważnie potraktuje ich zbliżenie, że nie interesuje go przelotna przygoda. Przy tym wszystkim miała świadomość wszystkich spoczywających na nim obowiązków i wszystkich okoliczności towarzyszących.

- W tej sytuacji to ja raczej ciebie mogłabym nazwać czarownikiem. Chyba widzisz, co się ze mną dzieje?

- Chcesz mnie, Syd? - spytał w odpowiedzi. Zamknęła oczy, skupiona na swoich doznaniach.

Czuła, jak rozpiną jej bluzkę. Jej piersi nabrzmiały w oczekiwaniu na pieszczotę.

- Och, tak, chcę - szepnęła.

Chciała tak bardzo, że wydawało jej się, iż za chwilę rozpadnie się na milion kawałeczków.

Ellis rozpiął ostatni guzik i wyciągnął bluzkę z dzinsów. Ujrzał kształtne, jędrne piersi zakryte koronkowym biustonoszem. Sięgnął do klamerki stanika.

- Otwórz oczy, Syd, proszę - powiedział.

- Po co? - Nie chciała, by Ellis wyczytał z jej oczu, jak bardzo go pragnie. Wodził dłońmi wokół jej piersi.

- Chcę, żebyś widziała, co będę robił.

Uniosła powieki i ich spojrzenia się spotkały. W jego oczach malowało się tak wielkie pożądanie, że przeszedł ją dreszcz.

- Chcesz, żebym patrzyła? - spytała, podniecona i zarazem zakłopotana. Dotychczas nigdy tego nie robiła.

Ellis rozpiął klamerkę biustonosza.

- Tak, chcę, żebyś patrzyła.

Jej piersi, ciężkie, nabrzmiące, spragnione pieśczoty, wysunęły się z koronek.

Dłonie Ellisa były czułe i delikatne. Dotykał sutek, które natychmiast reagowały. Sydney czuła na skórze ciepło jego oddechu.

- Jesteś piękna - szepnął. - Mogę spróbować, jak smakują?

- Ja... - zaczęła, ale nie pozwolił jej skończyć.

Delikatnie chwycił wargami jej sutki. Jęknęła z rozkoszy. Nigdy dotychczas nie przeżywała czegoś podobnego. Mimo woli przyknęła powieki.

- Otwórz oczy - powiedział.

- Po co? - spytała. Czuła, jak na nią napiera. Po chwili rozpinał jej dzinsy. Całkowicie poddała się pieśczotom. Jej serce biło w rytm jego oddechu. Nigdy przedtem nie zaznała takiego uczucia dojmującej tęsknoty, takiej potrzeby zespolenia się z mężczyzną. Była gotowa, otwierała się ku niemu. Już nie mogłaby się wycofać.

Wsunął dłoń w dzinsy i jedwabne figi. Czuła ją na brzuchu, a potem niżej, jeszcze niżej, w najwrażliwszym miejscu swojej kobiecości.

- Sydney, popatrz na mnie - powtórzył.

Pieścił ją tak, jak nie robił tego dotychczas żaden mężczyzna.

- Chcę widzieć twoje oczy, kiedy będziesz to przeżywać -
powiedział.

- Nie wiem... - zawahała się.

- Ale ja wiem. Nie myśl, po prostu czuj, poddawaj się. - Ujął jej pierś i lekko potarł sutek. Ta delikatna pieszczota sprawiła, że zapragnęła więcej, znacznie więcej.

Ellis wyczuwał jej pragnienia. Pieścił ją coraz bardziej namiętnie, a jej wydało się, że nie wytrzyma dłużej tego oczekiwania i napięcia. Wreszcie sprawił, że osiągnęła szczyt. Pod jej zamkniętymi powiekami wybuchły kolorowe fajerwerki. Miała wrażenie, że zapada się w błogą nicość.

- Dobrze się czujesz? - usłyszała lekko schrypnięty głos Ellisa.

Gładził jej plecy uspokajającym gestem. Słyszała głośnie bicie jego serca. Wiedziała, że wciąż jest bardzo podniecony. Nie, nie czuła się dobrze. Czuła się upokorzona. Guziki jego koszuli wpijały jej się w twarz.

- Przepraszam - szepnęła.

- Za co? - zdziwił się.

- Za... no wiesz... - Nie miała odwagi na niego spojrzeć. Jej doświadczenie nie było zbyt bogate, ale zdawała sobie sprawę ze stanu, w jakim jest Ellis. Uniósł jej brodę i zmusił ją, by na niego popatrzyła.

- Nie, nie wiem, Sydney. Wyjaśnij mi.

Zaczerwieniła się ze wstydu. Gdyby miała dość energii, wybiegłaby czym prędzej z tego pokoju. Ale na razie było to

niemożliwe. Nogi odmówiłyby jej posłuszeństwa.

- Wiesz, że ty nie miałeś... - zaczęła. Szukała odpowiedniego słowa, by dokończyć zdanie.

- Nie miałem czego? - dopytywał się, nie dając za wygraną.

- Przecież wiesz... - Znów poczuła się zażenowana pod wpływem baczego wzroku Ellisa. Czekał na odpowiedź i bynajmniej nie zamierzał z niej rezygnować.

- Nie miałeś... satysfakcji - dokończyła, pochylając głowę jak uczennica, która zastanawia się nad właściwą odpowiedzią. - Wiesz, co mam na myśli.

Roześmiał się. Dopiero po chwili się opanował.

- I za to przepraszasz? - zapytał.

- A jak myślisz? Za co innego, u licha, mogłabym przepraszać?

- Dawne wątpliwości nie znikają tak szybko, to wszystko. -

Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w czubek nosa.

- Jakie dawne wątpliwości? Jego wargi musnęły kącik jej ust.

- Później, moje kochanie. Później ci powiem.

„Moje kochanie"! Ellis powiedział do niej „moje kochanie"!

Kiedy chciał pocałować drugi kącik jej ust, odwróciła głowę.

- Chyba nie myślałaś, że skończyliśmy - powiedział.

- Skończyliśmy...

Pocałował ją. Ten pocałunek był zapowiedzią czegoś jeszcze wspanialszego.

- Sydney, kochanie - całował każdy centymetr jej twarzy - to była tylko uwertura.

- Uwertura?
- Wiesz, co następuje po uwerturze?
- Co?
- Kolejne akty opery.

Godzinę później Sydney stała pod gorącym prysznicem, starając się zrelaksować. Wciąż czekała na ciąg dalszy. Ellis nie spieszył się. Opóźniał wznowienie miłosnej gry.

Ukoił jej zakłopotanie delikatnymi pocałunkami, zapiął stanik, poprawił bluzkę. Zamknęli drzwi wejściowe i razem poszli na górę. Odprowadził ją do sypialni, pocałował i spytał, czy drzwi jej pokoju można zamknąć na klucz. Gdy potwierdziła, lekko pchnął ją do środka, obiecując, że zaraz wróci.

Kiedy odszedł, nerwowo przemierzała pokój tam i z powrotem. Słyszała, że Ellis bierze prysznic. Wyobraziła go sobie pod strumieniem wody - muskularnego, z szerokimi ramionami i wąskimi biodrami i ten wizerunek nie dawał jej spokoju. Znowu poczuła, że oblewa ją fala gorąca.

Gdy tylko usłyszała, że wrócił do swojego pokoju, udała się do łazienki. Miała nadzieję, że prysznic pomoże jej odzyskać równowagę. Nic z tego. Nadal była rozgorączkowana i pobudzona.

Chwyliła pojemnik z mydłem w płynie. W łazience rozszedł się zapach brzoskwini. Myjąc się, patrzyła ze zdumieniem na swoje ciało. Piersi wciąż były obrzmiałe, sutki twarde. Co on z nią, u licha, zrobił?

Polewała się na przemian ciepłą i chłodną wodą, a potem zakręciła kurek i wyszła z kabiny. Owinęła się miękkim ręcznikiem. W

powietrzu czuła zapach wody po goleniu Ellisa, na toaletce leżała jego saszetka z ciemnej skóry.

Była otwarta, więc zajrzała do środka. Woda po goleniu nosiła nazwę znanego producenta. Żel do golenia, maszynka, pasta i szczoteczka do zębów również należały do wyrobów tej firmy. Patrząc na zawartość saszetki, pomyślała, że Ellis jest pierwszym mężczyzną, który dzieli z nią łazienkę. Ojciec ma własną, połączoną z sypialnią. To jego teren prywatny, zastrzeżony tylko dla niego, z wyjątkiem tych nielicznych dni, kiedy przyjeżdża z wizytą ciotka Rose.

Ale w saszetce Ellisa było jeszcze coś, co zwróciło jej uwagę. Buteleczka szamponu dla dzieci, pasta pomarańczowa i szczoteczka do zębów z wizerunkiem Myszki Miki na ręczce. Domyśliła się, że to przybory toaletowe Trevora, a to z kolei uprzytomniło jej, że to właśnie z jego powodu Ellis u nich gościł.

Wytała się, powiesiła ręcznik i włożyła bawełniany szlafrok. Drżącymi palcami zawiązała pasek, zdjęła czepek i z westchnieniem spojrzała w lustro. Było zaparowane, ale i tak zobaczyła to, czego wolałaby nie widzieć: kobietę spragnioną miłości, z podnieceniem oczekującą na to, co ma nastąpić.

Wzięła szczotkę do włosów, odwróciła się od lustra i wyszła z łazienki. Rzuciła okiem w stronę pokoju ojca, a potem na zamknięte drzwi pokoju gościnnego, który zajmował Ellis wraz z Trevorem, po czym skierowała do swojej sypialni. Wypadek rodziców nauczył ją jednej rzeczy - żyć dniem dzisiejszym, bo jutra może już nie być.

Pomysł, żeby wydać dziś wszystkie pieniądze, jakie się ma na

koncie bankowym, bo jutro może nigdy nie nastąpić, wydawał jej się oczywiście absurdalny. Ale myśl o kochanku i spędzeniu z nim każdej możliwej chwili to coś całkiem innego. Ellis wkrótce wyjedzie. Chciała, by każdy wspólny dzień i każda wspólna noc wryły jej się w pamięć.

Weszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Ellis powiedział, że przyjdzie niebawem, a ona mu wierzyła.

Podniosła rękę, by rozczesać włosy, gdy usłyszała jego niski głos.

- Wyglądasz jak dziewczynka z tymi bosymi stopami i w za dużym szlafroku.

Jej wzrok powędrował w kierunku fotela, który stał koło okna. Siedział w nim Ellis, w podkoszulku i bokserkach, skrywając twarz w mroku.

Zmusiła się, by nie przerywać szczotkowania włosów. Wiedziała, co ma na głowie. Czepek kąpielowy nie służył żadnej fryzurze.

- Nie jestem już dziewczynką - zaprotestowała, a w duchu pomyślała, że gdyby Ellis wiedział, iż jest bohaterem jej śmiałych fantazji, nigdy by tak nie powiedział.

Ellis wstał z fotela i podszedł do niej.

- Wiem. - Delikatnie wyjął jej z ręki szczotkę. - Lubię cię z rozpuszczonymi włosami - dodał. Odwrócił ją twarzą ku sobie i wziął w ramiona.

Była zaskoczona, gdy poczuła, że czesze jej zmierzwiłone włosy.

- Ja... ja... związuję je w koński ogon - wyjąkała. - Tak mi wygodniej przy pracy. - Nerwowo splatała palce. Nikt nigdy oprócz

matki i fryzjerki jej nie cesał. Ale było jej przyjemnie. Bardzo przyjemnie.

- Teraz twoje włosy wydają się ciemne - stwierdził Ellis - ale w świetle słońca są miedziane.

Obejrzała się przez ramię i zmarszczyła nos.

- Nie przypominaj mi o tym. Są teraz znacznie bardziej stonowane niż dawniej, kiedy byłam mała.

- Mówisz o kolorze? - spytał, przejeżdżając palcami przez jej wzburzoną grzywę.

- Tak, są również mniej niesforne, chociaż czasem trudno je rozczesać. - Wzięła od niego szczotkę i odwróciła się. Położyła szczotkę na toalecie i odsunęła się od nocnej lampki.

- Jak Trevor? - spytała, zmieniając temat.

- Śpi jak suseł. - Ellis podszedł bliżej. Gdy ponownie zwróciła ku niemu twarz, dotknął jej policzka.

- Zastanawiasz się nad czymś, Syd? Przycisnęła policzek do jego dłoni.

- Nie. - Jediną osobą, której pozwalała zwracać się do siebie tym zdrobnieniem, była Cindy. Gdy Ellis użył tej skróconej wersji jej imienia, uznała to za coś bardzo szczególnego i intymnego.

- Denerwujesz się?

Łagodnie powiedziane, pomyślała, a głośno zażartowała:

- Nie zauważyłeś, jak mi się trzęsą kolana?

- Wybacz, Syd, ale w tym stroju nie mogę zobaczyć niczego oprócz zgrabnych łydek, gołych stóp i pomalowanych na różowo

paznokci. - Potarł kciukiem jej brodę. - Ciekaw jestem, jaką masz na sobie piżamę.

Była jedną z tych osób, które lubią spać nago - miała ten zwyczaj od czasu, gdy ukończyła college. Piżama czy koszula, choćby uszyta z najdelikatniejszego materiału, wywoływała uczucie dyskomfortu.

- Nie noszę piżam - powiedziała, wzruszając ramionami.
- W takim razie co właściwie nosisz pod tym namiotem?
- Rumieniec... - Sydney rozchyliła na piersiach poły szlafroka.

Zauważył, że drżą jej palce, i zastanawiał się, czy przyczyną tego jest zażenowanie, czy pożądanie. Rumieniec rozlewał się od dekoltu po korzonki włosów. Dałby wiele, żeby się dowiedzieć, gdzie się zaczyna.

- Podobasz mi się taka zaróżowiona. - Dotknął jej rozpalonego policzka. - Chociaż wolałbym, żeby tak nie było.

- Dlaczego?

- Bo to znak, że wprawiam cię w zakłopotanie. - Wyraz zmieszania w jej oczach sprawił, że zrobiło mu się przykro. Było oczywiste, że nie zwykła przyjmować mężczyzn w swojej sypialni.

Odstąpiła od swoich zasad specjalnie dla niego.

- Powiedz, o czym myślisz, Syd.

- Nie ubrałam się tak dla ciebie... - Sydney sprawiała wrażenie udręczonej - to znaczy... chciałam powiedzieć... że nigdy nie wkładam piżamy.

Odetchnął z ulgą. Była zakłopotana z powodu braku nocnego stroju, a nie z powodu jego obecności.

- To bez znaczenia - rzucił.
- Bez?
- Oczywiście. - Potrząsnął głową i przyciągnął ją do siebie. - I

tak bym ją zdjął.

- Och - szepnęła, opierając się o jego pierś.

Ellis stłumił pocałunkiem jej westchnienie i zamykając ją w ramionach, przywarł do niej całym swoim ciałem. Był podniecony. Pożądanie burzyło mu krew i przyspieszało tętno. Dotknął językiem jej warg. Z jego gardła wydobył się jęk, gdy odpowiedziała mu taką samą pieszczotą.

Gładziła jego plecy, przyciskając go do siebie i całując coraz bardziej namiętnie. W pewnym momencie energicznym ruchem ściągnęła z niego koszulę.

- Pachniesz brzoskwiniami - zauważył, rozwiązując pasek szlafroka. - Czy również nimi smakujesz? - spytał, koniuszkiem języka dotykając jej szyi.

Drżała w jego ramionach.

- To chyba nie jest jadalne - zaśmiała się krótko.
- Producent gwarantuje tylko, że po prysznicu będę pachnieć brzoskwiniami, ale nic nie wspomina o smaku.

- Napisz do niego jutro. - Ustami odsunął rąbek szlafroka i zaczął całować jej szyję, kark, ramię. - Powiedz, żeby zaczęli prace nad nadaniem smaku i że ty pierwsza wypróbujesz ich nowy wyrób. - Lekko ugryzł ją w ramię. - Uwielbiam brzoskwinie.

Jego usta zaczęły wędrować coraz niżej, w miarę jak szlafrok

coraz bardziej się rozchyłał. Na widok jej piersi westchnął głęboko.

- Skreśl tę ostatnią uwagę - powiedział.

- Jaką uwagę? - Gładziła jego kark i plecy. Z trudem się powstrzymywał, by nie chwycić ją na ręce i nie zanieść do łóżka.

- O tym, że uwielbiam smak brzoskwiń. - Pieścił językiem jej ciało, coraz niżej i niżej. - Żaden producent nie zdoła podrobić tego smaku. - Podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. - Smakujesz jak grzeszna przyjemność.

Rumieniec znowu oblał jej policzki, ale tym razem potrafiła się opanować. Uśmiechnęła się.

- A jaki ty masz smak, Ellis? - Jej palce wędrowały wzdłuż jego piersi.

Chwycił jej rękę w momencie, gdy sięgała do paska jego spodenek.

- Będę mieć smak ponizenia, jeśli posuniesz się dalej. - Boleśnie odczuwał swoje podniecenie. Jeśli tak dalej pójdzie, skompromituje się.

Chciał, żeby ten pierwszy raz był cudowny i trwał jak najdłużej. Chciał dotykać, smakować i poznawać każdy centymetr ciała Sydney i sprawić, by doznała rozkoszy, o jakiej nawet nie śniła. Jeśli zamierza osiągnąć ten cel, musi się pośpieszyć. Rozwiązał pasek szlafroka.

Sydney stała spokojnie, gdy materiał opadał jej z ramion.

Ellis objął łakomym i zachwyconym spojrzeniem jej ciało, poczynając od obrzmiałych piersi z wyraźnie zaznaczonymi sutkami, a kończąc na łonie. Oddychał z trudem.

Opuściła ręce.

Wiedział, że jest piękna, ale to, co zobaczył, zaparło mu dech w piersi. Była smukła i delikatna, a jednocześnie tak bardzo kobieca! Talię miała tak wąską, że mógłby ją objąć dłońmi, piersi jędrne i pięknie ukształtowane, zaokrąglone biodra i długie, mocne nogi.

Przeciagnął palcem wzdłuż jej obojczyka.

- Jesteś bardzo piękna, Syd - szepnął.

Czuł, że drży pod jego dotykiem, i uśmiechnął się. Wiedział, że tym razem drży z pożądania. Czytał to z jej oczu.

Oczy, zazwyczaj jak spokojna, turkusowa toń, teraz płonęły. Sydney go pragnęła. Opuścił rękę niżej i delikatnie wodził palcem wokół jej sutek.

Pochyliła się ku niemu. Nie potrzebował innej odpowiedzi. Należała do niego. Błyskawicznie pochwycił ją w ramiona i zaniósł do łóżka.

Objęła go i szepnęła cicho:

- Proszę...

Potrząsnął głową i odsunął się od niej na chwilę.

- Zaraz.

Drżała, gdy całował jej stopy.

- Ellis, proszę - jęknęła.

Ustami pieścił jej łydkę i czułe miejsce pod kolanem. Całował jej drugą nogę, a potem jego usta powędrowały wyżej, ku udom i biodrom.

Poczuł jej silne palce na ramionach. Chciała, by przerwał te pieszczoty. Chciała czegoś więcej. Nie miał nic przeciwko temu.

Uniósł głowę, by dotknąć ustami jej piersi. Dłonią pieścił najczulsze i najintymniejsze miejsce jej ciała. Nie broniła się. Zapraszała go do siebie.

Uniosła nieco biodra, przyciskając je do jego dłoni. Zrozumiał, że jest gotowa. Sięgnął po foliowy pakiecik.

- Czekasz na mnie, prawda? - spytał.

- Czekam - szepnęła. Chciała go dotknąć, ale był szybszy.

Chwytał ją za rękę. Nie rozumiała. Widziała, jak bardzo jest podniecony.

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Jeśli mnie teraz dotkniesz, wszystko się skończy, zanim zdąży się zacząć.

Poddała się z cichym westchnieniem, gdy poczuła go w sobie.

- Otwórz oczy, kochana - poprosił.

- Ellis? - Spełniła jego życzenie i patrzyła na niego spojrzeniem przepastnym jak noc.

Poruszał się coraz szybciej. Oboje znaleźli się na skraju otchłani, zawieszeni między niebem a ziemią. Chciał runąć w tę otchłań razem z nią. Potrzebował tego.

- Ja... - zaczęła.

- Ciii, nic nie mów. - Nigdy w życiu nie doświadczał takiego uniesienia. Nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje. Wiedział tylko, że pragnie, by Sydney była razem z nim, gdy zawładnie nim rozkosz.

Stało się to w chwilę później. Fala rozkoszy wyniosła ich na sam szczyt. Trwali na nim, by po chwili zapaść w błogostan. Zespoleni,

spleceni, stanowiący jedność.

ROZDZIAŁ 9

Następnego popołudnia Sydney zabrała Trevora do szklarni. Był ciekaw, na czym polega jej praca. Pomagał przy tym dzielnie, przekładając doniczki z geranium na długi, niski stół.

- Jesteś pewien, że nigdy przedtem nie pracowałeś jako ogrodnik? - zażartowała Sydney, mile zaskoczona tym, jak dobrze chłopiec sobie radzi.

Wstydliwie potrząsnął głową.

- Zapomniałem, jak one się nazywają.
- Geranium. - Wiedziała, że stara się zapamiętać nazwy nowo poznanych roślin, by móc się pochwalić ojcu swoją wiedzą. - Później powtórzę ci jeszcze raz wszystkie nazwy - obiecała.

Sięgnęła po następny pojemnik z sadzonkami i umieściła go na środku wysokiego stołu. Trevor nie mógł tak wysoko sięgnąć, więc ustawiał doniczki na niskim stole. Wkrótce długie blaty wypełniły najróżniejsze rośliny, przyciągając oko różnorodnością barw i kształtów.

- A to bratki, prawda? - upewnił się Trevor.
- Tak.

Sydney popatrzyła na chłopca z uznaniem. Bardzo szybko się uczył. Żółte, niebieskie i fiołkowe kwiatki zdawały się wesoło mrugać. Za tydzień, a może nawet wcześniej, będzie już na tyle ciepło, że przeniesie je do ziemi.

- Za kilka dni, jeśli wciąż jeszcze tu będziesz, pomożesz mi zasadzić bratki koło domu - powiedziała. Chociaż w ogrodzie, założonym i starannie pielęgnowanym przez matkę, obok iglaków rosły krzewy zimozielone i rośliny wieloletnie, Sydney co roku sadziła na klombach jednoroczne kwiaty. Bratki należały do jej ulubionych.

- Naprawdę? - ucieszył się chłopiec. Oczy mu się zaiskrzyły. Najwyraźniej jego zainteresowanie przyrodą nie ograniczało się do kolekcjonowania pluszowych zwierzaków. Był ciekaw wszystkiego. Sydney pomyślała, że w otoczeniu zieleni zapomni o szpitalnym pokoju.

- Ależ tak. - Poglądziła Trevora po włosach gestem podpatrzonym u Ellisa, który chętnie i często okazywał synowi czułość.
- Jestem pewna, że twój tata nie będzie się gniewał, jeśli się trochę ubrudzisz - dodała.

Przed południem, zanim zabrała Trevora do szklarni, chłopiec oglądał w telewizji kreskówki i bawił się ukochanymi zwierzakami, a Ellis z Thomasem przeglądali roczniki szkolne w poszukiwaniu nazwisk uczniów i nauczycieli z okresu, w którym Catherine uczęszczała do liceum. Potem wszyscy zasiedli do lunchu, podczas którego Sydney zaproponowała, że pokaże Trevorowi, na czym polega jej praca. Ellis przez chwilę się zastanawiał, czy pozwolić synowi na

wizytę w szklarni. Rozumiała to. Gdyby ona miała śmiertelnie chore dziecko, prawdopodobnie też by nie chciała spuszczać go z oka. W końcu, widząc błagalne spojrzenie syna, zgodził się, ku zadowoleniu Sydney, która bardzo polubiła Trevora i chciała uprzyjemnić mu pobyt w ich domu. Z góry cieszyła się na jego towarzystwo i dziesiątki pytań, na które będzie musiała odpowiedzieć. Wiedziała, że chłopiec jest bystry i ciekawy świata.

Co do jego ojca, sama nie wiedziała, co myśleć. Wciąż jeszcze nie mogła ochłonąć. Prawdę mówiąc, wcale nie chciała ochłonąć. Ani zapomnieć. Chciała znowu znaleźć się w jego ramionach, oddać się namiętności, która ich połączyła i która sprawiła, że te wspólne chwile stały się, przynajmniej dla Sydney, niepowtarzalne. Nigdy jeszcze nie doświadczyła podobnych emocji, nie pozwoliła, by zmysły tak dalece nią zawładnęły. Nigdy nie oddała się tak całkowicie mężczyźnie. Od początku przeczuwała, że Ellis jest wyjątkowy, wiedziała, że gdyby poznali się w innych okolicznościach, próbowałaby go zatrzymać, związać ze sobą. W tej sytuacji jednak nie mogła o tym myśleć. Zresztą Ellis lojalnie ją uprzedził, iż jego życie należy całkowicie do syna, a walka z jego chorobą jest sprawą najważniejszą.

Gdzieś nad ranem, syta miłości, zasnęła w ramionach Ellisa, w których czuła się tak bezpiecznie. Obudził ją donośny dzwonek budzika. Pościel była jeszcze ciepła, ale Ellisa już nie było. Wiedziała, że musiał tak postąpić - nie chciał stawiać jej i siebie w kłopotliwej sytuacji. Przecież pod tym samym dachem, w sąsiednich pokojach, spali Thomas i Trevor, jej ojciec i jego syn.

Ojciec szanował zarówno jej dorosłość, jak i swoją niezależność i wcale nie był zachwycony, kiedy po wypadku zamknęła na cztery spusty własne mieszkanie i wprowadziła się z powrotem do rodzinnego domu. Rozumiał jej intencje i doceniał troskę, ale nie chciał jej absorbować swoją osobą. Od czasu tragicznego wypadku stał się, prawdopodobnie z powodu kalectwa, przewrażliwiony na punkcie swojej zależności od innych. Namawiał Sydney, by nie rezygnowała z życia osobistego. Zapewniła go, że nie ma zamiaru i że na pewno potrafią się do siebie dostosować i żyć zgodnie pod jednym dachem.

Co nie oznaczało, że w domu ojca będzie spędzać upojne chwile w ramionach kochanka. Tymczasem stało się inaczej. Sprawy pomiędzy nią a Ellisem zaszły za daleko. Nie czyniła sobie jednak wyrzutów. Ellis był wyjątkowym mężczyzną, niezwykle i niepowtarzalne było też to, co ich połączyło. Co się stało, to się nie odstanie, niczego nie żałuje, ale to nie znaczy, że mają się obnosić ze swoimi uczuciami. Przeciwnie. Powinni zachować dyskrecję, aby nie narażać ani Trevora, ani Thomasa na dodatkowe wstrząsy.

Tak bardzo pogłężyła się w swoich myślach, że dopiero po pewnej chwili uprzytomniła sobie, że słyszy głos Ellisa.

- A, tu jesteście! - zawołał. - Wszędzie was szukam.

Natychmiast wróciła do rzeczywistości. Na widok uśmiechniętego Ellisa zarumieniła się po korzonki włosów.

- Właśnie zajmujemy się z Trevorem geranium - powiedziała i odwróciła się do stołu, na którym stały sadzonki, by ukryć zakłopotanie.

- Sadzonkami geranium? - Ellis obrzucił wzrokiem stół. - Wygląda na to, że można by nimi obdzielić wszystkie ogrody w Coalsburgu.

- Są też bratki - dodała. - Posadzimy je z Trevorem w ogrodzie, gdy tylko zrobi się ciepło. Mój nowy pomocnik jest bardzo pracowity.

Trevor wyrwał się z objęć ojca.

- To ja ją tu ustawiłem - pochwalił się, wskazując doniczkę na niskim stole. - Tamte też.

- Coś podobnego! - Ellis wyglądał na mile zaskoczonego. - Może wracając do domu, weźmiemy parę sadzonek, co ty na to? - zwrócił się do Trevora.

- Wayne nie pozwoli ich posadzić - odparł chłopiec.

- Chętnie dam wam tyle, ile będziecie chcieli - wtrąciła Sydney. - Gwarantuję za ich jakość. I tak jak mówiłam, jeżeli będziecie tu jeszcze w przyszłym tygodniu, poproszę Trevora o pomoc w sadzeniu wiosennych kwiatów ogrodzie. - Zwróciła się do Ellisa: - Myślę, że nie będziesz mieć nic przeciwko temu?

- Skądże! Może i ja przy okazji czegoś się nauczę. Nie wiedziałem, że mój mały synek interesuje się kwiatami.

- Może nie tyle kwiatami, co kopaniem w ziemi. Trevor pchał już małe taczki w kierunku drzwi. Pomogła mu.

- Kim jest Wayne? - spytała Ellisa, który szedł obok nich. Nie tyle interesowało ją, kto to, ale dlaczego nie pozwoli Trevorowi kopać w ogrodzie.

- To człowiek, którego wynająłem, żeby dbał o trawnik.

Przycina trawę, wrywa chwasty i tak dalej.

- A kwiaty? - spytała.

- Kwiaty? - Ellis otworzył drzwi szklarni, żeby Trevorowi łatwiej było wypchnąć taczki. - Nie zauważyłem u nas żadnych kwiatów.

- Czy to znaczy, że nie macie ogrodu? - zdziwiła się.

Wyobrażała sobie, że Ellis mieszka w jednym z tych dużych, nowoczesnych domów wypełnionych drogimi meblami i otoczonych wspaniałymi ogrodami. Skoro jeździ takim drogim samochodem...

- Oczywiście, że mamy ogród. - Ellis nie spuszczał wzroku z syna.

- Więc co w nim jest, jeśli nie ma kwiatów? - Zatrzymali się przed następną szklarnią. Ellis otworzył drzwi.

- Nie wiem. - Weszli do środka. - Jakieś krzewy i... - machnął ręką - jakaś zielenina.

„Jakaś zielenina”. Coś podobnego!

- Ach, tak. Zielenina, czyli sałata?

- Nie żartuj sobie ze mnie.

Wyobraziła sobie dom Ellisa otoczony ogrodem bez jednego kwiatka. „Jakaś zielenina” to zielone ufoludki z dużymi głowami i trzema parami oczu dookoła głowy. Nie mogła się dłużej pohamować. Wybuchnęła śmiechem.

- Sydney... - powiedział ostrzegawczo, podchodząc o krok bliżej.

- Przepraszam. - Spojrzała na niego i zobaczyła, że i jemu w kącikach ust czai się szelmowski uśmiech. - To po prostu dlatego, że nigdy nie widziałam ogrodu bez kwiatów.

- My mamy kwiaty - zaprotestował Trevor. - Żółte, bardzo ładne.

- Naprawdę? - Ellis był wyraźnie zbity z tropu.

- Wiesz, jak się nazywają? - spytała Sydney.

- Tak, Wayne mi powiedział.

- A więc?

- Cholerne mlecze. - Trevor wyglądał na zadowolonego z siebie. - Wayne je tak nazywa. Zapamiętałem, bo to podobne do mleka, a ja nie za bardzo lubię mleko.

Sydney stłumiła śmiech. Ellis też z trudem się opanował.

- Wystarczy „mlecze”. Tak brzmi ich nazwa - wyjaśniła. - I to nie są kwiaty, tylko chwasty.

Ellis wziął Trevora za rękę.

- Czas do domu - powiedział. - Sydney ma tu jeszcze trochę pracy.

- Tatusiu... - Chłopiec był bliski łez.

- Przykro mi, ale musisz się wykapać przed wyjściem.

- Przed wyjściem? A dokąd to się wybieracie? - zaintrygowała się Sydney.

- Nie my, tylko cała nasza czwórka. Thomas zaprasza nas na kolację.

- Mój ojciec chce pojechać do miasta na kolację? - Sydney nie

wierzyła własnym uszom. Najpierw wybrał się do dawnych kolegów z komisariatu, a teraz chce jechać do miasta na kolację. Od czasu wypadku nie był jeszcze ani razu w restauracji. Kiedy przed paroma miesiącami sama to zaproponowała, zdecydowanie odmówił. W domu też mało co jadał.

- Dwadzieścia minut drogi stąd jest restauracja, którą, jak mi powiedział Thomas, prowadzi dawny kolega szkolny mojej matki - wyjaśnił Ellis. - Thomas zadzwonił do niego i uprzedził, że przyjedziemy. Przy okazji chce mu zadać parę pytań.

- Masz na myśli restaurację Josha?

- Chyba tak. Mamy zarezerwowany stolik.

- Josh robi najlepsze steki w mieście. Uśmiechnęła się do Trevora, który wciąż trzymał ojca za rękę.

- Idź z tatusiem do domu i przygotuj się - powiedziała. - Ja wrócę, gdy tylko wszystko pozamykam. - Popatrzyła na zegarek. Ależ to popołudnie szybko minęło! Zaraz trzeba będzie kończyć. - Jutro, jeśli będziesz chciał, znowu tu przyjdziemy. Trzeba będzie przygotować sadzonki petunii.

- Tatusiu, będę mógł? Proszę.

- Jeśli Sydney to nie przeszkadza, nie mam nic przeciwko temu. Chodźmy już - zwrócił się do syna. - Będziesz mógł dłużej pochłapać się w wannie. Podziękuj Sydney.

- Dziękuję, do zobaczenia - uśmiechnął się chłopiec.

- Nie ma za co, Trev. Do szybkiego zobaczenia - odpowiedziała mu z uśmiechem.

- Idziemy - ponaglił Ellis syna. - Porozmawiamy sobie po drodze jak mężczyzna z mężczyzną.

Obserwowała ich, jak szli w kierunku domu. Pewnego dnia znikną z jej życia, ale jeszcze nie dzisiaj. Jeszcze nie dzisiaj.

Josh był wysokim, postawnym mężczyzną o wyglądzie hodowcy bydła z Montany. Ale urodził się, wychował i mieszkał w Coalsburgu. Najdalej wybrał się do Atlantic City w New Jersey, a o bydle wiedział tylko to, że można z niego coś upitrasić. Słabo pamiętał Catherine Carlisle.

- Wybacz, Tom, ale niewiele wiem o Cathy. Prawie nigdzie nie chodziła. Rodzice trzymali ją krótko. - Josh wypił łyk piwa. - Miała bardzo surowych rodziców. Właściwie to zawsze trochę się ich bałem. Stale mówili o piekle i wiecznym potępieniu. - Zerknął na Trevora.

Sydney zauważyła, że ze względu na niego Josh stara się dobierać słowa, chociaż wiedziała, że potrafi wyrażać się bardzo dosadnie. Jednak chłopiec nie przejawiał najmniejszego zainteresowania rozmową dorosłych.

Przed przyjazdem do restauracji, jeszcze w domu, uzgodnili, że Thomas nie będzie wtajemniczał restauratora w szczegóły i nie zdradzi, kim jest Ellis, o ile nie okaże się to konieczne, ani nie powie mu o chorobie Trevora i poszukiwaniach dawcy. Chcieli, by odpowiedzi Josha były szczere. Gdyby się orientował w sytuacji, mógłby coś zataić przez wzgląd na pamięć Catherine.

Sydney rzuciła okiem na Ellisa, ciekawa, jak odbiera toczącą się przy stole rozmowę. Wydawał się bardziej zainteresowany smakiem

pitej kawy niż tym, co mówi Josh, choć domyślała się, że łowi uchem każde słowo.

- Pamiętasz, kiedy wyjechała? - spytał Thomas.

Zjedli już kolację i kelnerka zebrała naczynia ze stołu.

- Nie, ale pamiętam, jak na to zareagowali jej rodzice.

- Zdenerwowali się? - zapytał Ellis. Po raz pierwszy podczas tej rozmowy zabrał głos.

- Trudno powiedzieć. - Josh pociągnął następny łyk piwa. - Jej ojciec zaczął wygłaszać kazania na temat nieposłuszeństwa dzieci i łamania przykazań, zwłaszcza czwartego, żeby czcić ojca i matkę. Natomiast matka mówiła wszystkim, że córka została uwiedziona przez szatana. - Dopił piwo. - Uważam, że biedna dziewczyna nie mogła już z nimi wytrzymać i po prostu uciekła. A właściwie dlaczego o niej rozmawiamy?

- Powiedzmy, że mam swoje powody. - Thomas potarł czoło. - Pamiętasz może, czy z kimś chodziła?

- Skąd, chociaż chętnych nie brakowało. - Josh potrząsnął głową. - Rodzice jej nie pozwalali. Kilku chłopaków chciało się z nią umówić, ale nic z tego nie wyszło.

- A ty chciałeś się z nią kiedyś umówić? - Ellis popatrzył Joshowi prosto w oczy.

Sydney przenosiła wzrok z jednego na drugiego mężczyznę i nie mogła jakoś sobie wyobrazić, że mogliby być ojcem i synem.

- Nie znasz mojej żony, Pauli - potrząsnął głową Josh. - Zaczęliśmy ze sobą chodzić, kiedy mieliśmy po piętnaście lat. Chybaby

mnie zabiła, gdybym choćby tylko pomyślał o innej dziewczynie.

- A co u niej? - zapytał Thomas.

- Wszystko dobrze, dziękuję. Jest teraz w Pittsburghu u Bethany, naszej najmłodszej córki. Pewnie nie wiesz, ale dorobiliśmy się sześciu córek. Bethany rodziła w zeszłym tygodniu. Mamy następną wnuczkę. - Josh potrząsnął głową. - To już razem jedenaście. Ani jednego chłopaka. Można zwariować od tego kupowania sukienek i lalek. - Uśmiech rozjaśnił jego twarz. - Ale one są takie słodkie - dodał i skinął głową kelnerce, która starała się zwrócić na siebie jego uwagę. - Muszę was przeprosić. - Wstał i położył rękę na ramieniu Thomasa. - Cieszę się, że przyszedłeś, Tom. Wpadaj częściej i uważaj na siebie w przyszłości.

- Dzięki. - St. Claire wydawał się poruszony słowami Josha.

- Miło było cię widzieć, Sydney. - Josh uśmiechnął się do Ellisa i Sydney. - Nie mam pojęcia, z jakiego powodu pytaliście mnie o Cathy, ale wiem jedno: gdyby po cichu chodziła z jakimś chłopakiem, musiałby być albo beznadziejnie głupi, albo bardzo odważny. Rodzice usmażyliby go żywcem, gdyby go tylko z nią zobaczyli.

Sydney odprowadziła Josha wzrokiem. Nie potrafił rzucić ani trochę światła na tajemnicę ojca Ellisa. Potwierdził tylko to, co i tak wiedzieli. Catherine nie miała w rodzicach oparcia i nie mogła liczyć na zrozumienie z ich strony. Byli apodyktyczni, nadmiernie surowi i bezkompromisowi. Nic dziwnego, że biedna dziewczyna uciekła, kiedy zorientowała się, że jest w ciąży.

- To było interesujące - stwierdził Thomas.

- Co było w tym takiego interesującego? - zdziwił się Ellis. Nie powiedział niczego, czego do tej pory nie wiedzieliśmy.

- Utwierdził mnie w przekonaniu, że twoi rodzice bardzo dobrze ukrywali swój związek. Za dobrze. Thomas potarł brodę. - Kiedy Cathy kończyła szkołę, nie było mnie w mieście. Wyjechałem do Penn State. Wróciłem na wakacje przed jej maturą. Nie przypominam sobie, żeby wspomniała coś o swoim chłopaku, z żadnym też jej nie widziałem.

- Nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego...

- Sądzę, że jej chłopak nie chodził do tej samej szkoły co ona - przerwał Thomas Ellisowi.

- Skąd ta myśl, tato? - Sydney rzuciła okiem na Trevora, zaniepokojona, czy nie słucha ich rozmowy. Chłopiec jednak dalej spokojnie rysował.

- Myślę, że nie byłiby w stanie aż tak dobrze się ukrywać. Podczas mojej pracy w policji przekonałem się, że niełatwo zachować cokolwiek w tajemnicy.

- Co za tajemnica? - Trevor skończył rysunek i, zaciekawiony, podniósł głowę znad kartki papieru.

Thomas, zaskoczony, nie wiedział, co odpowiedzieć, ale Sydney szybko przysłała mu na ratunek.

- Tak się nazywa pyszny deser - powiedziała.

- Deser? - zainteresował się chłopiec. - Jaki?

- Lubisz tort czekoladowy? Trevor z zapalem pokiwał głową.

- Wiem, że w tej restauracji można dostać najlepszy tort czekoladowy w mieście.
- Naprawdę? - Chłopiec rozejrzył się po sali.
- Naprawdę - potwierdziła Sydney. - Ale jeśli chcesz go zamówić, musisz zrobić jedną rzecz...
- Co?
- Musisz poprosić o szklankę mleka, choć wiem, że nie bardzo je lubisz. Ten tort najlepiej smakuje z mlekiem, wierz mi.
- W takim razie nie ma na co czekać - zdecydował Ellis. - Trzeba zamówić tort.
- I mleko, tatusiu. Nie zapomnij o mleku - przypomniał Trevor.
- Tak, nie zapomnij o mleku - poparła chłopca Sydney, patrząc porozumiewawczo na Ellisa.

Ellis podciągnął koc aż pod brodę Trevora, który usnął w drodze do domu i nawet się nie przebudził, kiedy Ellis niósł go do sypialni i przebierał w piżamę.

Chłopiec był zmęczony, ale było to zdrowe zmęczenie. Świeże wiosenne powietrze i podniecenie wywołane zajęciami w szklarni sprawiło, że jego zazwyczaj blade policzki się zaróżowiły. Reszty dokonała kolacja w restauracji i ogromny kawał tortu czekoladowego.

Ellis delikatnie pogładził syna po włosach i pocałował w czoło. Kochał go ponad życie i zrobiłby absolutnie wszystko, by go ocalić. Dążył do odnalezienia za wszelką cenę dawcy, aby ratować życie Trevora, odsunął na bok własną dumę i zdecydował się na spotkanie z

Thomasem St. Claire, ale teraz już nie był pewien, czy postępuje słusznie.

Czuł niesmak, że grzebie w przeszłości matki. Wiedział, że miała powody, by mu nie opowiadać o swoich rodzicach. Im więcej się o nich dowiadywał, tym lepiej rozumiał, dlaczego postanowiła wychowywać go sama. Zaczynał także rozumieć, dlaczego nie chodziła do kościoła. Obraz jej dzieciństwa, jaki się przed nim rysował, nie był wesoły. To wszystko jednak wciąż nie wyjaśniało, dlaczego podała, że St. Claire jest jego ojcem.

Badania krwi dowiodły, że nim nie jest i że jego matka skłamała. Zatem gdzieś żyje jego biologiczny ojciec - o ile jeszcze żyje. Ale jeśli go nawet znajdą, wcale nie wiadomo, czy będzie w dobrym stanie fizycznym i czy będzie mógł zostać dawcą. A poza tym skąd można wiedzieć, czy po trzydziestu trzech latach zechce przyznać się do ojcostwa? Jeśli nawet, będzie jeszcze musiał wyrazić zgodę na badanie krwi. Kiedy Ellis wszystko to przeanalizował, uznał, że sprawa jest niemal beznadziejna.

Jakby tego było mało, powinien także zatroszczyć się o kobietę, która stała się dla niego kimś wyjątkowym i która ma to nieszczęście, że spotkał ją w najtrudniejszym okresie życia, gdy nie może pozwolić sobie na życie osobiste. Tak jak Trevor nie zasługiwał na swój los, tak i ona nie powinna dźwigać bagażu emocjonalnego, który włożył na jej barki.

Uświadomił sobie, że nie potrafiłby zapomnieć o Sydney, potraktować tego, co ich łączyło, jak przelotną przygodę czy chwilę

słabości. Okazała się kobietą o wielkim sercu, dobrą i wrażliwą, pełną współczucia, gotową spieszyć innym z pomocą. A do tego była bezpośrednia i wesoła, polubiła Trevora i potrafiła nawiązać z nim kontakt. Chłopiec za nią przepadał.

Zapalił nocną lampkę przy łóżku syna. Nie chciał, żeby jeśli go coś nagle obudzi, ocknął się w zupełnej ciemności. Drżącą dłonią pogłaskał policzek syna.

- Nie pozwolę, by ogarnęły cię ciemności, Trev, obiecujęszepnął ze łzami w oczach. W myślach zwrócił się do Boga, którego tak unikała jego matka: prosił o szansę dla syna i siły dla siebie. Opuściło go zwątpienie, znowu był gotów stawić czoło przeciwnościom. Postanowił zejść na dół, do Sydney i Thomasa.

W drodze powrotnej z restauracji starszy pan milczał. Być może obmyślał nowy plan działania i teraz zechce mu go przedstawić. Poza tym zapragnął zobaczyć Sydney. Do niedawna z chorobą Trevora zmagął się praktycznie sam. Oparcie miał tylko w Ricie i wąskim gronie przyjaciół. Wystarczyła mu sama świadomość, że wiedzą o problemach, z którymi się boryka. Teraz jednak pragnął czegoś więcej. Potrzebował kogoś, na kim mógłby się oprzeć, komu mógłby się zwierzyć, kto dzieliłby z nim jego troskę i ból. Nie, nie kogoś. Potrzebował Sydney.

Wyszedł z pokoju, zostawiając lekko uchylone drzwi. W salonie zastał Thomasa rozpartego w ulubionym fotelu. Sydney zajęła swoje stałe miejsce w rogu kanapy. Nie pracowała, lecz przeglądała kolorowe magazyny. Ellis usiadł w drugim rogu kanapy.

- Położyłeś Trevora? - spytał Thomas.
- Tak. Nawet się nie przebudził. Mruczał coś przez sen o torcie i mleczach, ale nie było w tym zbyt wiele sensu.
- Chyba nie zmęczyliśmy go za bardzo? - zaniepokoił się Thomas.
- Nie, wszystko w porządku. Po prostu miał dziś bardzo pracowity dzień, to wszystko. - Przysunął się trochę bliżej do Sydney i wyciągnął rękę. Zapragnął jej dotknąć. Przez cały dzień nie udało im się być sam na sam.

Odłożyła magazyny i ujęła jego dłoń.

- Nieźle się namęczył, żeby zmóc ten ogromny kawał tortu - zaśmiała się.
- Napracował się, to był naprawdę duży kawałek - przyznał Thomas. - Dużo myślałem o naszej sprawie. Myślę, że powinniśmy nadal wertować roczniki szkolne, ale chciałbym także sprawdzić inny trop.
- Jaki? - zainteresował się Ellis.
- Myślę, że klucz do tajemnicy może się kryć w sposobie traktowania Cathy przez jej rodziców, w ich poglądach religijnych i pracy w kościele.
- Jak to?
- Każdy, z kim rozmawialiśmy, wspominał, że rodzice pozwalali Cathy tylko na takie zajęcia, które miały jakiś związek z ich kościołem. Można z tego wnioskować, że spędzała dużo czasu nie tylko w kościele, lecz również w towarzystwie niektórych parafian.

- Masz rację, tato - ożywiła się Sydney. - Może ktoś z nich będzie pamiętał, z kim najczęściej przebywała.

- W jaki sposób sprawdzimy, kto chodził trzydzieści trzy lata temu właśnie do tego kościoła? - spytał Ellis.

- Musimy sięgnąć do dokumentacji parafialnej. Trzeba tylko wyszukać odpowiedni rocznik. - Thomas zatarł dłonie. - Zajmiemy się tym jutro z samego rana. - Wstał, przeciągnął się i ziewnął. - Będę znowu potrzebował twoich oczu.

- Oczywiście. - Ellis był gotów na wszystko, byle tylko dać Trevorowi szansę.

- Po drodze podrzucicie Trevora do szklarni. Obiecałam mu, że będzie mi pomagać. Myślę, że bardzo mu się tam podobało, a pracownicy od razu go polubili.

- Nie, Sydney, Trev pojedzie z nami.

- Ale po co? On wcale mi nie przeszkadza, przeciwnie.

Thomas poparł córkę.

- Dobrze, jadąc do kościoła, podrzucimy Trevora do szklarni, a gdy tylko skończymy przeglądać dokumenty, zabierzemy go do miasta.

Ellis wiedział, że nie wygra. Nie ma szans wobec wspólnego frontu, jaki utworzyli Thomas i Sydney.

- No cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak się zgodzić.

- No to załatwione. Dobranoc, śpijcie dobrze. - Thomas skierował się ku drzwiom.

- Dobranoc, tatusiu.

Gdy tylko ojciec zniknął za drzwiami, Sydney przysunęła się do

Ellisa.

- Nareszcie sami - westchnęła i sięgnęła do guzików koszuli

Ellisa.

Chwycił jej rękę, zanim zdążyła rozpiąć ostatni guzik.

- Ty grzeszna istoto - zażartował. Zbliżyła usta do jego twarzy.
- Dopiero się przekonasz, jaka potrafię być grzeszna. Zaniknął

ją w ramionach.

- Bardzo chętnie - wyszeptał, składając na jej wargach namiętny pocałunek.

ROZDZIAŁ 10

Wizyta w komisariacie okazała się dużą atrakcją dla Trevora. Przejęty rozglądał się wokół, zasypując Ellisa pytaniami, na które ojciec odpowiadał z niejakim trudem. Thomasa posadzono na fotelu, a Pete i Harvey przyprowadzili młodszego brata Harveya oraz dwóch innych mężczyzn, o których Thomas poprzednio wspomniał. Wszyscy pograżyli się w rozmowie na temat Catherine Carlisle, przy czym każdy z obecnych opowiadał o tym, co sam zapamiętał lub czego się dowiedział od innych.

Paul przypomniał sobie, że przed samą maturą chciał się z Cathy umówić. Grzecznie odmówiła, tłumacząc, że rodzice nie pozwalają jej spotykać się z chłopcami. Paul dodał, że była bardzo ładna i zwracała uwagę, choć ubierała się bardzo skromnie, ponieważ tego wymagali od

niej rodzice. Nie stroiła się w modne ciuszki ani nie malowała się jak inne dziewczęta, a długie ciemne włosy nosiła gładko zaczesane do tyłu.

- Charlie, chodziłeś z Cathy do jednej klasy - zwrócił się Paul do jednego z mężczyzn. - Możesz coś o niej powiedzieć?

Łysy mężczyzna z dużym brzuchem wydawał się speszony tym pytaniem.

- Niewiele pamiętam. Siedziała z tyłu i prawie się nie odzywała. Zawsze miała na sobie białą bluzkę. Była zdolna i sumienna. Dostawała dobre stopnie.

- Białą bluzkę? - wymknęło się mimo woli Ellisowi. Nie przypominał sobie, by jego matka kiedykolwiek miała na sobie białą bluzkę.

- Tak, taką zapinaną z przodu na guziki. Chodziła w niej codziennie do szkoły.

- To prawda, tak było - potwierdził Paul.

- Najczęściej tak samo się ubierała do kościoła. Bardzo rzadko wkładała coś kolorowego - dodał Charlie.

- Chodziłeś do tego samego kościoła co Cathy? - spytał Thomas.

- Co niedziela. Byliśmy w tej samej grupie czytania Pisma Świętego w poniedziałek wieczór i w grupie młodzieżowej, która zbierała się w każdy piątek.

- Spędzał pan dużo czasu z moją matką? - Ellis spojrzał na Charliego z nowym zainteresowaniem. Czyżby to był on...?

- Spędzałem dużo czasu w tych samych miejscach co twoja

matka - zaśmiał się Charlie - ale nigdy z nią. Przebywała tylko w towarzystwie rodziców i członków rady parafialnej. Thomas dyskretnie dał znak Ellisowi, ale on już sam wiedział, co ma robić. Wyjął dokumenty, które odszukali w kościele, i spojrzął na listę członków rady parafialnej.

- Pamięta pan może, z kim najczęściej rozmawiała? - spytał Charliego.

- Lubiła Hala Remsona.

- Jest pan pewien? - Hal Remson był wtedy przewodniczącym rady. Może się gdzieś ukradkiem spotykali?

- Skreśl go, Ellis - powiedział Thomas, potrząsając głową. - Hal musiał mieć wtedy z osiemdziesiąt trzy, cztery lata. Wszyscy starali mu się przypodobać. Co roku organizowano specjalną zbiórkę na nową sztuczną szczękę dla niego. Wciąż ją gubił.

- Tak, tak - przypomniał sobie Charlie. - Miał ten okropny zwyczaj, że często ją wyjmował.

- Był stary, ale na kobietach się znał - dodał Harvey.

- Przez dwadzieścia lat przychodził do kościoła w tym samym ubraniu. Nigdy nie opuścił niedzielnego nabożeństwa. - Charlie splótł ręce na karku i wbił wzrok w sufit. - Cathy bez przerwy była obok niego. Zresztą wszystkie kobiety w tym kościele były w niego wpatrzone. Halowi to imponowało. Stary błazen. -Charlie zerknął na Harveya. - Zmarł chyba ze dwadzieścia lat temu, prawda?

- Dwadzieścia cztery.

Ellis, zawiedziony, wpatrywał się w listę. Ogarnęło go z wątpienie

w sens poszukiwań. Próbują różnych tropów, najrozmaitszych możliwości, a efektów nie widać. To beznadziejne. Nigdy nie dojdą, kto jest jego ojcem. Jednak dla porządku przeczytał na głos kolejne nazwisko z listy:

- Franklin Smythe?

Charlie potrząsnął milcząco głową. Podobnie przy następnym nazwisku i kilku innych. Zareagował żywiej dopiero na dźwięk ostatniego nazwiska z listy.

- Powtórz je - poprosił.

- Arthur Graystone.

- Burmistrz Graystone? - zdziwił się Harvey. - Nie miałem pojęcia, że wtedy należał do metodystów. Teraz jest grubą rybą w Kościele luterańskim.

- Trzydzieści trzy lata temu był ważną figurą u metodystów - powiedział Ellis. - On i jego żona, Sophie, należeli wtedy do tego Kościoła.

- To prawda. - Thomas potarł czoło. - Pobrali się u metodystów, kiedy byłem jeszcze w szkole średniej. Ojciec Sophie był najbogatszym człowiekiem w mieście, a ona jego jedynym dzieckiem. Był to ślub stulecia. Zaproszono prawie wszystkich mieszkańców, nie licząc się z kosztami.

Ellis przeniósł wzrok z Thomasa na Charliego.

- Widywał pan moją matkę z Arthurem Graystone'em? - spytał.

- Oczywiście, Graystone był częstym gościem w kościele. -

Charlie przestał się huścić na krześle. - Ciągle coś tam do siebie

szeptali.

- Szeptali? - Ellisowi mocniej zabiło serce. - Jak to: szeptali?
- Nie wiem - Charlie wzruszył ramionami. - Po prostu.

Szeptali, kiedy myśleli, że nikt ich nie widzi.

- Sądzisz, że coś ukrywali? - dopytywał się Thomas.
- Czy ja wiem?
- Raz widziałem ich razem poza kościołem - rzucił nagle

Harvey.

- Tak? Dlaczego nic nie mówiłeś? - ofuknął go Thomas.
- Nie myślałem, że to coś ważnego. To było przy Turkey Run Road, przy tym straganie, który tam co roku rozstawiano. Kupowali dynie, dużo małych dyń. Chyba do szkółki niedzielnej.

Ellis złożył listę i schował do kieszeni. Wspaniale. Matka kupowała dynie dla dzieci ze szkółki niedzielnej w towarzystwie Arthura Graystone'a, a on z tego powodu był gotów uznać, że to jego ojciec. To tylko potwierdzało, w jakim jest stanie. Zwykła wyprawa po dynie, a on już wyobraża sobie matkę i podstarzałego żonatego faceta, działacza kościelnego, na tylnym siedzeniu samochodu wśród dyń.

Poczuł niesmak do samego siebie. Jego matka mogła podać nieprawdziwe nazwisko ojca swego dziecka, ale nie zasługiwała na takie podejrzenia. Catherine Carlisle była skromną, pracowitą kobietą i kochającą matką.

- Chciałbym wam podziękować, panowie, za to, że znaleźliście dla mnie czas, i za wasze dobre chęci - powiedział. - Jeśli któryś z was przypomni sobie coś bardziej konkretnego niż kupowanie dyń, to

znajdzie mnie u Thomasa w ciągu najbliższych paru dni. - Chciał jak najprędzej wyjść z komisariatu. Jeszcze chwila, a puszcza mu nerwy.

Kiedy był małym chłopcem, matka zabierała go na spacer do parku w pobliżu domu. Płynęła tam mała rzeczka. Lubił chodzić do parku z samego rana, gdy nikogo w nim jeszcze nie było, a nad rzeczką unosiła się mgła. Był nią zafascynowany. Usiłował ją schwytać w ręce, ale kiedy wydawało mu się, że już ją ma, otwierał pięść i przekonywał się, że jest pusta.

Teraz odczuwał podobne rozczarowanie. Musiał jak najprędzej zobaczyć Sydney. Miała cudowny dar obracania rozczarowania w nadzieję. A on potrzebował teraz nadziei bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Skinął na Trevora i podał Thomasowi laskę. Nic tu po nich. Czas wracać do domu.

Kiedy trzy dni później Ellis wracał z krótkiej podróży w interesach i zbliżał się do terenów należących do rodziny St. Claire'ów, zerknął we wsteczne lusterko, upewnił się, że nikt za nim nie jedzie, i zatrzymał się na poboczu. Rozciągał się stąd wspaniały widok na całą dolinę. Była skąpana w blaskach zachodzącego słońca. Ellisa ogarnęło wzruszenie, poczuł się tak, jakby wracał do swojego własnego domu. Znajdował się on prawie dwieście kilometrów stąd, ale wszyscy, którzy liczyli się w życiu Ellisa - Trevor, Sydney, Thomas - byli tutaj, w Coalsburgu. Uświadomił sobie, że St. Claire'owie, do niedawna zupełnie mu obcy, teraz stali się dla niego rodziną. Okazali pełne

zrozumienie dla jego sytuacji i przyszli mu z pomocą. Zaprosili pod swój dach Trevora, polubili go, a Thomas robił, co mógł, by odnaleźć ojca Ellisa.

Nie powinien był wyjeżdżać. Trzy dni bez Trevora i Sydney to stanowczo za długo. Gdyby nie uległ naleganiom Sydney, nie wybrałby się w tę podróż. To ona go namówiła. Dla niego sprawy służbowe zeszły na drugi plan, najważniejsze stało się znalezienie dawcy dla Trevora. Zresztą miał wspaniałych współpracowników i czterech zastępców, którzy znakomicie poradziłiby sobie sami w każdej sytuacji.

Spędził dwa pełne napięcia dni na negocjacjach w Atlancie. Konkurencja była silna, ale oferta jego firmy okazała się najlepsza i przebiła propozycje rywali. Podpisanie umowy poprzedziły nie kończące się godziny spędzone nad komputerem w pokoju hotelowym, liczne rozmowy telefoniczne, dyskusje przy stole konferencyjnym i w trakcie wspólnych posiłków. W południe Ellis podpisał bardzo korzystny kontrakt.

Podczas gdy uwaga wszystkich innych uczestników rozmów całkowicie skupiała się na negocjacjach, on wciąż powracał myślami do Trevora i Sydney. Powiedziano mu potem, że zawdzięcza kontrakt zachowaniu zimnej krwi w najgorętszym momencie rozmów. Nie sprostował tej pomyłki. Owszem, chciał podpisać ten kontrakt, nawet bardzo. Ale wiedział również, że jeśli go nie podpisze, nie będzie rozpaczał. Choroba Trevora wyznaczyła nowe priorytety w jego życiu, sprawiła, że na wiele rzeczy patrzył inaczej. Cóż znaczyła ewentualna

utrata kontraktu wobec możliwości utraty ukochanego syna?

Pełen niepokoju o jego zdrowie, kilkakrotnie podczas pobytu w Atlancie telefonował do St. Claire'ów. Za każdym razem zapewniali go, że Trevor czuje się dobrze. Jeśli chodzi o postępy w poszukiwaniach mężczyzny, z którym Catherine zaszła w ciążę, to niestety nie mieli dla niego dobrych wiadomości, mimo że Sydney przejrzała kolejną stertę dokumentów, a Thomas rozmawiał z większą liczbą osób niż polityk w okresie kampanii przedwyborczej. Gdyby Ellis sam dokładnie nie sprawdził wszystkich dat, mógłby przysiąc, że jego matka nie mogła być w czwartym miesiącu ciąży, kiedy opuszczała Coalsburg.

Przerwał te rozważania i jeszcze raz obrzucił spojrzeniem roztaczający się przed nim widok. Spostrzegł, że szklarnie są już zamknięte, a parking przy głównym budynku pusty. Ze zdumieniem zauważył, że w ciągu jego krótkiej nieobecności wiele się tu zmieniło. Zakwitły żonkile i hiacynty, a trawa przybrała ciemnozielony kolor - niedługo trzeba ją będzie strzyc. Obok głównego budynku zgromadzono dziesiątki młodziutkich drzewek przeniesionych ze szkółki.

Sydney miała zatem pracowite dni. Ciekawe, czy Trevor jej asystował? Pewnie tak. Polubił prace ogrodnicze i polubił Sydney. W rozmowie telefonicznej z przejęciem opowiedział ze szczegółami, czym się w ciągu dnia zajmował.

Ellis przeniósł wzrok na ścieżkę, którą Sydney codziennie szła do pracy i z powrotem. Prowadziła prosto do domu jej ojca. Nie był zdziwiony, kiedy dowiedział się, że zrezygnowała ze swego mieszkania

i niezależności, by po wypadku zamieszkać z ojcem. Dom St. Claire'ów był przestronny i wygodny, ale jakoś dziwnie do niej nie pasował. Żałował, że nie może zobaczyć jej mieszkania. Zapуścił silnik i skierował samochód w stronę domu.

Pięć minut później wyjmował z bagażnika torbę podróżną i laptopa. Drzwi wejściowe otworzyły się i na progu stanął Trevor.

- Tatuś! - zawołał i puścił się pędem do ojca.

- Widzę, że trochę się za mną stęskniłeś, co? - uśmiechnął się Ellis, tuląc syna do piersi. Gdy po licznych uściskach postawił Trevora na ziemi, zauważył Sydney.

Pewnie niedawno brała prysznic, bo jej włosy były wilgotne i skręcone. Lubił, kiedy miała włosy w nieładzie, a jeszcze bardziej, gdy oświetlało je słońce i wydawały się płomienne jak ogień. Miała na sobie wiśniowe legginsy, obciskające jej nogi niczym druga skóra, i luźną białą bluzkę z wyszytymi na kołnierzyku i kieszeni irysami. Uśmiechała się ciepło.

Podniósł torbę, a Trevor wziął laptopa. Był to sprzęt zbyt drogi, by powierzać go rączkom pięciolatka, ale chłopiec był taki z siebie dumny, że Ellis nie potrafił mu odmówić. Komputer można było zastąpić innym, uśmiechu na twarzy dziecka - niczym.

Trevor wszedł do domu i zawołał Thomasa. Ellis przystanął w progu i czule pogłaskał Sydney po policzku.

- Tęskniłem za tobą - powiedział. Sydney przytuliła policzek do jego dłoni.

- Założę się, że nawet w połowie nie tęskniłeś za mną tak jak ja

za tobą.

- Przegrałaś. - Ponieważ nadal byli sami, wziął ją w ramiona.

Zobaczył, że jej zielone oczy pociemniały.

- Czy masz pojęcie, jak bardzo cię pragnę? - spytał.
- Mam - odparła i wtuliła się w niego.
- Czarownica - szepnął i dotknął ustami jej warg. Nie był w

stanie dłużej nad sobą panować.

Przerwał pocałunek, gdy opłotła ramionami jego szyję. Bał się, że oboje stracą nad sobą kontrolę. Zmusił się, by odstąpić krok do tyłu.

- Trevor! - zawołał przez ramię.
- Słucham, tatusiu - dobiegł z kuchni głos chłopca.
- Chodź, zobacz, co ci przywiozłem z Atlanty. Sydney oparła się

o futrynę.

- Jest pan tchórzem, panie Carlisle - szepnęła.

- Trudno byłoby wytłumaczyć twojemu ojcu i Trevorowi, dlaczego pędzę na górę, trzymając cię w objęciach. Nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ obok nich jak spod ziemi wyrósł Trevor.

- Co mi przywiozłeś, tatusiu? - zapytał.

Ellis schylił się, otworzył boczną kieszeń torby podróżnej i wyjął torebkę z nazwą znanego sklepu przyrodniczego.

- Owady i inne paskudztwa.
- Owady? - Trevor sięgnął po torebkę. - Prawdziwe? Ellis

spozrzegł, że Sydney zrobiła przerażoną minę, i zachichotał.

- Nie, są zrobione z różnych materiałów, z drewna, plastiku,

gumy.

Trevor wyjął z torebki drewniane pudełko i pokazał Sydney. Był na nim wygrawerowany czerwony napis.

- Owady afrykańskie - przeczytała Sydney. Trevor powoli podniósł wieko.

Ellis uśmiechnął się, zobaczywszy zachwyty malujący się na twarzy syna. Gdy tylko zauważył w sklepie tę kolekcję, wiedział, że spodoba się Trevorowi. Pudełko zawierało kilkanaście replik owadów afrykańskich. Każdy był w oddzielnej przegródce z napisem, zawinięty w oddzielną plastikową folię.

- Jest tu wszystko, od moskita po muchę tse-tse.

- Super! - wykrzyknął Trevor. - Mogę je wyjąć?

- Oczywiście, ale ostrożnie, bo są bardzo delikatne. - Ellis sięgnął do środka i pokazał chłopcu, jak rozpakować foliową torebkę. - Wymuj po jednym i wkładaj w to samo miejsce, żebyś się nie pomylił.

- A co to jest? - Trevor wskazał na dużego owada z cienkimi jak pajęczyna skrzydłami.

- To termit.

- Mogę go pokazać Thomasowi?

- Cóż... oczywiście, że możesz - odparł Ellis, zastanawiając się, co synek rozumie pod określeniem „pokazać”. Przecież na skutek wypadku Thomas stracił wzrok, a chłopiec doskonale o tym wiedział.

Trevor ostrożnie włożył termita do właściwej przegródki i poszedł do kuchni. Sydney i Ellis stanęli w drzwiach, obserwując w milczeniu jego poczynania.

Chłopiec podszedł do Thomasa, który siedział przy kuchennym

stole i pił kawę. Obok stała szklanka po mleku.

- Zaraz ci coś pokażę - powiedział. - Są super. - Ostrożnie wziął jedną plastikową torebkę i wyjął z niej dużego świerszcza. - Wyciągnij rękę.

- Po co?

- Dam ci owada. Nie jestem pewien, jak się nazywa. - Chłopiec ostrożnie położył świerszcza na dłoni Thomasa.

Starszy pan siedział spokojnie. Drugą ręką delikatnie dotknął owada.

- Nie jest prawdziwy - zauważył.

- Oczywiście, że nie - zachichotał Trevor. - Tatuś by mi nie dał prawdziwych owadów. Nie jest głupi.

- Na pewno nie - roześmiał się Thomas. - Wydaje mi się, że to świerszcz. Jakie masz jeszcze owady?

- Bardzo dużo. - Trevor położył na dłoni Thomasa moskita.

Ellis ze wzruszeniem patrzył na tych dwoje, których połączyła szczególna więź. Dziecko z wrodzoną sobie bezpośredniością i naturalnością przyjęło do wiadomości fakt, że dorosły jest niewidomy. To z kolei miało zbawienny wpływ na starszego pana, który chętnie przebywał w towarzystwie chłopca.

Thomas powinien być jego dziadkiem, pomyślał Ellis.

Ukradkiem zerknął na Sydney. Patrzyła na Thomasa z miłością w oczach. Nagle po jej policzku spłynęła samotna łza. Doskonale rozumiał jej uczucia. Oto człowiek, którego pokochała i który stał się dla niej ojcem, mężczyzna do niedawna aktywny zawodowo, wyrokiem

losu został skazany na kalectwo. A ona nie była w stanie tego zmienić. Mogła jedynie próbować złagodzić skutki kalectwa, pomóc ojcu zbudować życie na nowo.

On, Ellis, kochał i troszczył się o syna. I też zrobiłby dla niego wszystko. Przygarnął Sydney. Poczł skurcz serca, gdy pochyliła się ku niemu i oparła głowę na jego ramieniu. Sydney St. Claire była zdumiewającą kobietą - zarazem wrażliwą i silną, dobrą, uczciwą i dumną. W tym momencie uświadomił sobie, że ją pokochał.

Czuł się jak złodziej, gdy cicho, na palcach, przekradał się ze swojego pokoju do sypialni Sydney, uważał jednak, że nadal powinien zachowywać się dyskretnie i nie narażać na szwank godności Sydney ani uczuć Thomasa, który do tej pory wykazał maksimum dobrej woli.

Wśliznął się do pokoju Sydney w chwili, gdy zakręciła prysznic w znajdującej się obok łazience. Poczł nieodpartą pokusę dołączenia do niej. Sama myśl o wspólnym prysznicu przyprawiała go o dreszcz podniecenia. Tak bardzo pragnął Sydney, nie tylko jej ciała, ale i jej serca.

Ścisł w dłoni małe pudełeczko, które przywiózł z Atlanty. Spieszył się na kolejne spotkanie, gdy nagle zobaczył w holu hotelu sklep jubilerski, znakomicie zaopatrzone, usytuowane tam z myślą o zamożniejszych gościach hotelowych. Jego wzrok przyciągnęły kolczyki ze szmaragdami. Pomyślał o Sydney i jej zielonych oczach, które

pały takim samym blaskiem jak te piękne zielone kamienie, i nie namyślając się długo, kupił klejnoty.

Położył pudełko na stoliku, podszedł do okna i wpatrzył się w dal. Tego wieczoru, gdy zajechał przed dom St. Claire'ów, czuł się tak, jakby wrócił do domu. Czekał tu na niego syn spragniony jego uścisków i pocałunków, a w progu stała Sydney z blaskiem w oczach, który obiecywał gorętsze powitanie, gdy tylko znajdą się sam na sam, za zamkniętymi drzwiami. Nawet Thomas wydawał się uszczęśliwiony jego powrotem.

Czy tak właśnie czuje się mężczyzna, który ma prawdziwą rodzinę?

Małe miasto, jakim był Coalsburg, miało w sobie tę szczególną przyjazną, domową atmosferę, którą wyczuwało się na każdym kroku. John, szef policji, pomachał do niego, kiedy przejeżdżał obok komisariatu. Pozdrowiła go też Georgette, która właśnie zamykała sklep z zabawkami. Harvey jadący swoim starym buickiem zatrąbił na jego widok.

Polubił to miasto. Pomyślał, że właśnie tutaj powinien wychowywać się Trevor. Powinien, ale nie będzie mógł. Jego choroba wymaga najwybitniejszych specjalistów i najlepszych szpitali. Tymczasem najbliższy szpital był oddalony od Coalsburga o siedemdziesiąt kilometrów. Trevor, jego zdrowie i jego życie było teraz najważniejsze.

Odgłos zamykanych drzwi nie był głośny, ale Ellis usłyszał go. Potrzebował trochę czasu, by wrócić do rzeczywistości i spojrzeć w

twarz Sydney.

W sekundę później poczuł ciepłe, delikatne dłonie gładzące jego policzek.

- Patrzysz na coś szczególnego? - usłyszał jej szept.

Poczuł, jak spływa z niego napięcie, jak niepokój ustępuje miejsca pożądaniu. Jutro zastanowi się nad całą sytuacją. Dziś jest tylko Sydney i tylko ona się liczy. Oderwał wzrok od okna. Wyglądała niezwykle pociągająco z rozpuszczonymi bujnymi włosami, skręconymi w loki, z zarumienioną twarzą i błyszczącymi oczami.

- Tak, patrzę na czarodziejkę - odparł.

Poczuł, jak jego ciało natychmiast reaguje na jej bliskość. Pochwyił ją w ramiona. Nie mógł czekać ani chwili dłużej. Pochylił się i pokrył jej twarz pocałunkami. Sydney odpowiedziała mu z równą pasją i namiętnością. Przerwali na chwilę, by niecierpliwie ściągnąć z siebie ubranie, po czym, objęci, podeszli do łóżka. Było miękkie i wygodne, ale żadne z nich tego nie zauważyło.

Byli całkowicie pochłonięci sobą.

Tak zaczęła się noc pełna niezwykłych przeżyć, pasji i namiętności, czułych szeptów i zaklęć, miłosnych okrzyków rozkoszy i zapadania w nicość.

Nad ranem w uszach Sydney lśniły szmaragdy, a Ellis, zupełnie wyczerpany przeżyciami tej nocy, usłyszał jej szept:

- Witaj w domu.

Wypowiedziała to, co czuł, jakby czytała w jego myślach i sercu.

- Och! - wykrzyknęła Norma Hess. - Nic dziwnego, że biedna dziewczyna uciekła. Jej rodzice nigdy by tego nie zaakceptowali.

Ellis popatrzył na Normę, starając się nie okazywać rozczarowania. Czas biegł nieubłaganie. Wrócił z Atlanty przed dwoma dniami, a sprawa odnalezienia jego ojca nie posunęła się ani o krok. Nie mógł mieć pretensji do Thomasa. Starszy pan robił, co w jego mocy, świadomy powagi sytuacji. Pokochał Trevora jak własnego wnuka i w pełni zdawał sobie sprawę z tego, że życie chłopca jest zagrożone.

Obaj, Thomas i Ellis, zmierzali do tego samego celu: chcieli za wszelką cenę znaleźć biologicznego dziadka Trevora, ponieważ była to ostatnia szansa uratowania chłopca. Dlatego też starali się dotrzeć do wszystkich osób, które mogły znać Catherine Carlisle lub coś o niej wiedzieć. Norma była dwunastą, a jej przyjaciel Vivian trzynastą osobą, z którą rozmawiali po powrocie Ellisa z Atlanty.

- Rodzice Cathy nigdy jej nie wspierali, nie pomagali jej w rozwiązywaniu problemów - oświadczył Vivian, potrząsając głową z dezaprobatą.

- Przykro nam to mówić, Ellis, ale twoi dziadkowie nie byli takim wzorem cnót, jak sami sądzili. Uważali biedną Cathy za symbol niewinności i nie pozwalali jej o tym zapomnieć - dodała Norma.

- W porządku, nie mówicie mi nic, czego bym już nie wiedział - uspokoił ją Ellis. - Matka postanowiła wychowywać mnie sama, a z tego, co tu słyszałem, wynika, że mogę jej tylko być za to wdzięczny.

Norma pociągnęła łyk kawy.

- To było tak dawno temu. Musisz zrozumieć, że nasze wspomnienia z lat młodości trochę się zatarły.

- Mamy jeszcze parę lat do emerytury, chłopcze, ale pamięć już nie ta co dawniej - zaśmiał się chrapliwie Vivian.

- Głupstwa opowiadacie - zaprotestował Thomas.

- Ja się wcale nie czuję stary, a jestem starszy od was.

- Podsunął na środek stołu tacę z ciastkami. - A więc nie pamiętacie, z kim Cathy mogła się spotykać? Kiedy wyjeżdżała, była w czwartym miesiącu ciąży. Musiał ją ktoś z kimś widzieć.

- Cathy nie była zbyt towarzyska - pokręciła głową Norma.

- Właściwie jeśli z kimś rozmawiała, to tylko w kościele - dodał Vivian. - Tam najwyraźniej czuła się znacznie swobodniej niż w szkole.

- A z kim rozmawiała w kościele? - spytał Ellis. W kieszeni wciąż miał listę z nazwiskami członków rady parafialnej. - Może zapamiętał pan kogoś? Na przykład jakiegoś chłopca z kółka biblijnego?

- Chyba nie rozmawiała z żadnym chłopakiem. - Vivian zastanowił się przez chwilę. - Kiedy już wyszliśmy, zamykała kościół. Zawsze nosiła klucz na szyi. Wyglądało na to, że rodzice bali się, żeby go nie zgubiła.

- Czy ktoś jej pomagał?

- Arthur Graystone. Był wtedy przewodniczącym grupy młodzieżowej.

- Burmistrz Graystone? - zainteresował się Thomas. Arthur

Graystone został już kolejny raz wspomniany w rozmowie o Cathy.

Poprzedniego dnia Andy Beamer, właściciel apteki, przypomniał sobie, że pewnego wieczoru widział Arthura Graystone'a z kimś podobnym do Cathy w pobliżu punktu widokowego. Ale myśl, że istotnie mogłaby to być córka pastora, wydała mu się absurdalna. Uznał więc, że się pomylił i wziął żonę Graystone'a, Sophie, za Cathy. Co prawda, nie dawało mu to wówczas spokoju, bo nie widział absolutnie żadnego powodu, dla którego Arthur i jego żona mieliby spędzać czas na parkingu, ale potem zapomniał o całej sprawie na długie lata. Przypomniał sobie o tym dopiero wtedy, gdy Thomas w rozmowie o Cathy wymienił imię Arthura.

- Wtedy, oczywiście, jeszcze nie był burmistrzem - powiedziała Norma. - Zawsze odwoził Cathy do domu po spotkaniach w kościele.

- Ile mógł mieć lat? - zapytał Ellis. Nie potrafił wyobrazić sobie matki z jakimś starszym żonatym mężczyzną.

- Czy ja wiem? Dwadzieścia pięć, może sześć? - Vivian spojrzał pytająco na Normę. - Był przystojnym mężczyzną. Wciąż jest, jeśli o to chodzi.

- O, tak - potwierdziła Norma. - Sophie Bradshaw mogła przebierać wśród mężczyzn, ale Arthur odpowiadał jej najbardziej.

- Wszystko co najlepsze dla Sophie - mruknął Vivian.

- A czy Arthur był szczęśliwy w małżeństwie? - spytał Thomas. - Wiem, że wciąż są ze sobą, ale czasem na początku bywa różnie.

- W każdym razie Sophie nie posiadała się z radości. Ojciec dał jej w prezencie ślubnym ten duży stary dom.

- I pokojówkę - dorzucił Vivian. - Czy możecie sobie wyobrazić, że ktoś w Coalsburgu dostaje w prezencie ślubnym pokojówkę? - Wypił następny łyk kawy.

- Pamiętam to, bo szczerze mówiąc, zazdrościłem im tej pokojówki.

- Arthur dostał to, czego chciał, poślubiając Sophie: kierownicze stanowisko z wysoką pensją, sportowy wóz, nowy dom i niebrzydka żonę. Czego więcej może chcieć mężczyzna? - Vivian najwyraźniej był przekonany, że jest to wszystko, co może uszczęśliwić mężczyznę.

Ellis miał inne zdanie. Dla niego najważniejsza była miłość i rodzina.

- Ale czy był szczęśliwy? - spytał.

- Tak - odrzekł Vivian.

- Nie - zaprotestowała Norma. - W czasie pierwszych lat małżeństwa nie był szczęśliwy. Wiedział, że został kupiony.

- Był częstym gościem na spotkaniach kościelnych, należał do rady parafialnej w czasie, gdy moja matka zaszła w ciążę. - Ellis spojrzał badawczo na Normę.

- Czy był religijny?

- Należał do rady, bo tak mu kazał ojciec Sophie. Bradshaw chciał dla swojej córki wszystkiego co najlepsze, więc i Arthur musiał być najlepszy. - Norma milczała przez chwilę. - Udało mu się. Dziś Arthur Graystone jest burmistrzem Coalsburga i pierwszym obywa-

telem miasta.

- Czy myśli pani, że mógł mieć romans z moją matką? - spytał

Ellis.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Vivian.

- Tak - odpowiedziała ze spokojem Norma.

- Chcesz powiedzieć, że Arthur może być ojcem Ellisa? -

Vivian nie posiadał się ze zdumienia.

Ellis nie wiedział, co myśleć o zasłyszanych nowinach. Nazwisko Arthura Graystone'a nic mu nie mówiło, a on sam nic dla niego nie znaczył. Interesowało go tylko jedno: czy ten mężczyzna może być jego ojcem, a tym samym dziadkiem Trevora. Jak dotychczas, po długich i starannych poszukiwaniach jedynie Gray Stone wchodził w rachubę.

- Oczywiście - potwierdziła Norma.

- To by wiele wyjaśniało - wtrącił Thomas. - Cathy nie mogłaby liczyć na rodziców, gdyby w mieście rozniosło się, że jest w ciąży. Byłby to nie lada skandal. Arthur nigdy nie uznałby dziecka, żeby nie stracić Sophie. A rozpieszczona, zepsuta, bogata Sophie z pewnością rozerwałaby na strzępy młodą i niewinną Cathy Carlisle.

Vivian i Norma zadrżeli.

- Tak by się stało - przytaknęli równocześnie. Ellis odchylił się do tyłu i uśmiechnął z zadowoleniem. A więc ma nazwisko. Wreszcie je ma!

ROZDZIAŁ 11

Podjechali pod potężną żelazną bramę strzegącą wejścia do posiadłości Arthura Graystone'a. Wzrok Ellisa przyciągnęła mosiężna tablica umieszczona na murze, najbardziej pretensjonalna, jaką w życiu widział. Napis głosił, że jest to rezydencja Graystone'ów. Rezydencja w środku Coalsburga! Omal się nie roześmiał. Musi jednak zachować powagę. Przecież ma się spotkać z ojcem, a w każdym razie z mężczyzną, którego on i Thomas uważają za jego ojca.

Wszystkie fakty zdawały się to potwierdzać. Arthura Graystone'a kilka razy widziano z Catherine Carlisle. Co ważniejsze, widziano ich w tym czasie, kiedy zaszła w ciążę. Arthur Graystone musi być jego ojcem. Tak więc szansa dla Trevora kryje się za tą imponującą bramą.

Popatrzył na Sydney, która w milczeniu siedziała obok niego ze wzrokiem utkwionym w bramę. Widać było, że jest zdenerwowana. Nalegała, by mu towarzyszyć, choć nie musiała tego robić. Umówiła Ellisa z burmistrzem i poprosiła siostrę Thomasa, Mary, by przyjechała dotrzymać towarzystwa jej ojcu i Trevorowi.

- Spokojnie, Sydney - powiedział.
- Ty się w ogóle nie denerwujesz?
- Ależ tak, tylko tego po sobie nie pokazuję.
- Ponieważ po raz pierwszy masz się spotkać z ojcem?
- Nie, bo mam się dowiedzieć, czy dla Trevora istnieje jakaś szansa.

Będzie musiał trzymać nerwy na wodzy przynajmniej do czasu otrzymania wyników testu krwi, o ile Arthur zgodzi się mu poddać. Nie może już na wstępie zrazić go do siebie i zaprzepaścić szansy uratowania Trevora, chociaż najchętniej wykrzyczałby temu typowi, co o nim myśli. A myślał jak najgorzej.

- Nie ma dla ciebie żadnego znaczenia, że Arthur może być twoim ojcem? - zdziwiła się Sydney.

- Żadnego - potrząsnął głową. - Sam fakt zapłodnienia o niczym nie świadczy, co zresztą szanowny pan Arthur udowodnił swoim postępowaniem wobec mojej matki i mnie. Aby móc nazwać siebie ojcem, trzeba czegoś znacznie więcej: poczucia odpowiedzialności, troski, miłości.

Pomyślał, że Sydney powinna to wiedzieć najlepiej.

- Jestem tutaj wyłącznie z powodu Trevora - dodał. - Tylko on się liczy. - Zapуścił silnik i wjechał na dziedziniec.

Rezydencja Graystone'ów wyglądała imponująco. Budynek z cegły zdobiły elementy z mosiądzu i czarne okiennice. Do frontowych drzwi prowadziły półkoliste schody z marmuru. Ellis zaparkował na podjeździe, wysiadł z samochodu i otworzył drzwiczki od strony Sydney.

- Czy on wszystkie sprawy służbowe załatwia w domu? - spytał Ellis, wiedząc, że Sydney umówiła ich na spotkanie z Graystone'em pod pretekstem załatwienia jakichś spraw miasta. Oboje uznali, że nie należy zbyt wcześnie wyjawiać prawdziwego powodu ich wizyty, aby nie otrzymać odmownej odpowiedzi.

- Miasta nie stać na ratusz ani budynek administracyjny.

Zebrania rady miejskiej odbywają się w remizie strażackiej, a Arthur to, co do niego należy, załatwia w domu. Arthur i Sophie lubią zresztą imponować swoim bogactwem.

- Myślisz, że zastaniemy Sophie? - Ellis nie chciał rozmawiać z Arthurem w obecności żony.

- Nie. - Weszli na marmurowe schody. - O ile wiem, jest teraz w kościele. Nigdy nie opuszcza tych spotkań. Jest przewodniczącą grupy kobiet.

Ellis nacisnął dzwonek. Po krótkiej chwili drzwi otworzyła kobieta w prostej zielonej sukni. Nie był to strój służbowy w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale coś w tym rodzaju.

- Słucham? Państwo w jakiej sprawie? - spytała.

- Jestem Sydney St. Claire. Jesteśmy umówieni z panem burmistrzem. - Sydney uśmiechnęła się.

- Proszę wejść. - Kobieta otworzyła szerzej drzwi i cofnęła się o krok. - Pan burmistrz oczekuje państwa.

Ellis szedł za Sydney i ciekawie rozglądał się dokoła. Na piętro prowadziły kręte schody, nad którymi wisiał ogromny kryształowy kandelabr. Ze ścian spoglądały twarze przodków w złożonych ramach, w holu pyszniły się antyki. W drodze do gabinetu Arthura zauważył trzy duże bukiety świeżych kwiatów.

Kobieta zapukała lekko, otworzyła drzwi i powiedziała:

- Pańskie spotkanie o dziesiątej, panie burmistrzu.

- Dobrze, wprowadź ich, Claire - dobiegł ich z głębi pokoju

głos Arthura.

Claire cofnęła się o krok.

- Pan Graystone prosi.

Z niewiadomego powodu Ellisa nagle ogarnęła niemal paraliżująca trema. Wszystkie stresy, jakim był do tej chwili poddawany, odezwały się z całą siłą. Skinął głową Sydney, jakby chcąc jej dodać odwagi. Weszli do pokoju.

Arthur Graystone wstał zza dużego mahoniowego biurka.

- Witaj, Sydney - powiedział i podał jej rękę.

- Dzień dobry. Chciałabym panu przedstawić Ellisa Carlisle'a.

Ellis bacznie obserwował twarz Arthura, starając się dostrzec jakiś ślad reakcji na dźwięk jego nazwiska. Nic z tego. Graystone miał twarz pokerzysty, rysował się na niej zaledwie cień ciekawości. Ellis zwrócił jednak uwagę, że nie patrzył mu w oczy. Wydawał się bardzo zainteresowany jego prawym ramieniem,

- Miło mi pana poznać, panie burmistrzu - powiedział.

Arthur uśmiechnął się uprzejmie.

- Usiądźcie, proszę - wskazał dwa fotele przed biurkiem. - A więc, Sydney, jaką to masz do mnie sprawę?

- To sprawa prywatna.

- Ach, tak? - Arthur uniósł brwi, ale nie wyglądał rta szczególnie zaskoczonego.

Sydney popatrzyła z ukosa na Ellisa, czekając, żeby zaczął rozmowę. Ona już swoje zrobiła. Następny ruch należał do niego.

Uznał, że Vivian i Norma mieli rację. Arthur Graystone jeszcze

teraz mógł uchodzić za przystojnego. Ellis oceniał go na jakieś pięćdziesiąt osiem lat. Miał doskonałą sylwetkę, szpakowate włosy. W młodości zapewne był blondynem. Tak jak on.

- Czy pamięta pan pewną młodą kobietę, Catherine Carlisle? - Nie mógł zapytać od razu, czy Arthur jest jego ojcem. Ze względu na dobro Trevora musiał ostrożnie przeprowadzić tę rozmowę. Arthur potrząsnął głową. - Musi się pan cofnąć pamięcią o trzydzieści trzy lata. Catherine była wtedy w ogólniaku. - Nie wiedział, co zrobi, jeśli Arthur zdecydowanie zaprzeczy, że znał jego matkę. Ten mężczyzna był jego ostatnią nadzieją.

- Catherine Carlisle? - powtórzył Graystone.

- Mówiono do niej Cathy. Jej ojciec był pastorem u metodystów. Pan należał wtedy do rady parafialnej. - Chciał podać jak najwięcej informacji, by ożywić pamięć Graystone'a.

- O, tak, teraz sobie przypominam. Pan Carlisle był bardzo surowym kaznodzieją, a pani Carlisle grała na organach.

- A córka? Cathy?

- Przykro mi, ale niewiele mogę o niej powiedzieć. Była cicha i nieśmiała. Taka szara myszka.

Ellis wstał i zbliżył się do biurka. Tylko delikatny uścisk dłoni Sydney powstrzymał go od rzucenia się na tego mężczyznę. Głęboko wciągnął powietrze i spytał ściszym głosem:

- Zawsze miewa pan przygody z szarymi myszkami, panie Graystone?

Arthur podniósł się, ale zatrzymał wzrok na wysokości

kołnierzyka koszuli Ellisa.

- Nie wiem, o czym pan mówi, ale nie podobają mi się te insynuacje - ostrzegł.

- Czy to nie pan sprawił, że trzydzieści trzy lata temu Catherine Carlisle zaszła w ciążę? - Tym razem Ellis nie owijał niczego w bawełnę.

- Nie.

Wiedział, że Arthur kłamie.

- Jestem synem Catherine - powiedział. - Mężczyzna, z którym miała romans, kiedy była jeszcze w szkole, jest moim ojcem,

- Nie jestem tym mężczyzną.

Ellisa ogarnęła rozpacz. Wszelkie nadzieje rozwiewają się, a on nic nie może na to poradzić. Jeśli Arthura Graystone'a stać było na to, żeby wyprzeć się z zimną krwią ojcostwa i dziewczynę w ciąży pozostawić jej własnemu losowi, nigdy nie zgodzi się na badanie krwi.

- Catherine Carlisle była dobrą, uczciwą kobietą, która wychowywała mnie sama z dużym trudem. Dawała mi wszystko, czego potrzebowałem, zwłaszcza miłość, aż do dnia, w którym zmarła. -

Patrzył z niesmakiem na mężczyznę oddzielonego od niego blatem biurka. Musi stąd wyjść, zanim zrobi coś niewybaczalnego. -

Chodźmy, Sydney. Trzeba mieć odwagę, żeby się przyznać do błędów przeszłości. Wasz wspaniały burmistrz najwyraźniej jej nie ma. -

Odwrócił się i skierował ku drzwiom.

Sydney była zrozpaczona. Musi być jakiś sposób, by dotrzeć do Arthura. Obserwowała uważnie obu mężczyzn i dostrzegała w nich

podobieństwo. Mieli podobne sylwetki i taki sam kolor włosów, mimo że teraz Arthur był już prawie siwy, oraz identyczny zarys szczęki. Wyglądali jak ojciec i syn.

Znała Arthura i wiedziała, że nie był szczęśliwy w małżeństwie. Bywali z żoną na wszystkich uroczystościach, jednak poza tym nie widywano ich razem. W mieście mówiło się, że Sophie nie może mieć dzieci. Sydney nieraz widziała, jak zazdrośnie Arthur patrzył na rodziny z dziećmi, i dziwiła się, że nie zdecydowali się na adopcję. Teraz wydawał się bardziej pogodzony z losem, ale może były to tylko pozory. Może więc właśnie Trevor, a nie Ellis, okaże się kluczem do serca Arthura Graystone'a.

Wiedziała, że Ellis nie chciał wspominać o chorobie syna, ale ona musi spróbować użyć tego argumentu. Zbliżyła się do biurka.

Arthur podniósł wzrok. Nie zaskoczyło jej, że Ellis ma oczy Arthura. Miały ten sam odcień stalowej szarości. Wiedziała, że Ellis czeka na nią przy drzwiach. Błagała Boga, by jej wybaczył.

- Ma pan pięcioletniego wnuka, Trevora - powiedziała.

Graystone drgnął, mocniej chwycił blat biurka, ale nie powiedział ani słowa.

- Trevor jest śmiertelnie chory. Umiera na białaczkę. Jego jedyną szansą jest przeszczepienie szpiku. Trzeba to zrobić teraz, w okresie remisji choroby, gdy chłopiec dobrze się czuje. Jest pewna szansa, że pan, jako biologiczny dziadek Trevora, będzie mógł zostać dawcą. - Sydney pochyliła się i popatrzyła Arthurowi prosto w oczy.

- Może pan ocalić życie swojemu wnukowi, jeśli wynik testu na to

pozwoli.

Graystone zbladł, ale nadal milczał.

- Tu nie chodzi o mnie - odezwał się Ellis, podchodząc do biurka. - Błagam pana o życie dla mego syna, życie pana jedyne wnuka.

Sydney dotknęła jego ręki. Przez łzy, które napłynęły jej do oczu, widziała, że Arthur walczy ze sobą. Modliła się w duchu.

- Powiedz swoją cenę, Graystone! - wybuchnął Ellis. - Powiedz, ile chcesz? Przecież lubisz pieniądze.

Arthur wpatrywał się w blat biurka. Nie podniósł głowy ani nie wypowiedział ani słowa.

Ellis zrozumiał, że jeśli natychmiast nie wyjdzie, rzuci się na tego człowieka z pięściami.

- Chodź, Sydney, to strata czasu - powiedział, po czym niemal pobiegł do drzwi.

Sydney zamierzała zrobić to samo, gdy nagle usłyszała ściszony głos Arthura:

- Zgadzą się na test.

Ellis nawet się nie odwrócił. Chwycił za klamkę.

- Ile chcesz? - spytał.

- Dużo. Nie wiem, czy będzie cię na to stać - odparł Arthur.

Jego głos drżał.

- Powiedz!

- Chcę, żebyś mi wybaczył.

Ellis odwrócił się. Jego twarz przypominała maskę.

- Wybaczyl...?

- Miałem przygodę z Catherine Carlisle trzydzieści trzy lata temu. Nie byłem z tego dumny wtedy i teraz też nie jestem. Cathy stanowiła zakazany owoc, a ja jak Adam nie mogłem oprzeć się pokusie.

Ellis podszedł do biurka. Graystone mówił dalej:

- Twoja matka miała osiemnaście lat, była piękna i szukała sposobu wyrażenia swego buntu przeciw zbyt surowym rodzicom. Wiem, że nie masz powodów, by mi wierzyć, ale twoja matka sama mnie wybrała. Nigdy nie miałem zamiaru uwodzić córki pastora. - Arthur wodził palcami po blacie biurka. - To jej niewinność mnie skusiła. Cathy nic nie wiedziała o mężczyznach, seksie, grzechu. To była krótka przygoda, ale brzemienna w skutki. Powiedziała mi, że jest w ciąży, na miesiąc przed maturą. Przerażony naszą głupotą i jej konsekwencjami zaproponowałem pieniądze na zabieg.

Sydney nie spuszczała oczu z Ellisa. Stał naprzeciw ojca po raz pierwszy od trzydziestu dwóch lat, a ten mówił mu, że od początku go nie chciał.

- Cathy odmówiła. Zażądała, żebym zostawił żonę i ożenił się z nią. Chciała, żebyśmy się stali rodziną. - Arthur nerwowo stukał palcami w biurko. - Wstyd mi się przyznać, ale roześmiałem się jej prosto w twarz i powiedziałem, że nigdy nie opuszczę Sophie. Wtedy wszystko wydawało się takie proste. - Arthur potrząsnął głową. - Cathy ostrzegła, że powie wszystkim, kto jest ojcem jej dziecka, na co ja zagroziłem, że oddam sprawę do sądu, dowiodę, że nie nadaje się na

matkę, zabiorę dziecko i sam je będę wychowywał.

Arthur zamilkł na dłuższą chwilę.

- To były czcze pogrożki - podjął. - Cathy świetnie nadawała się na matkę. Przestraszyła się jednak, wiedząc, że mogę zrobić użytek z moich wpływów czy raczej wpływów rodziny Sophie. Dwa tygodnie po maturze wzięła ode mnie pieniądze i znikła. Początkowo myślałem, że posłuchała mojej rady i pojechała zrobić zabieg. Po kilku dniach zacząłem się martwić, a po kilku tygodniach wiedziałem już, że nie wróci. - Przerwał na moment. - Mogę cię o coś spytać, Ellis?

- Słucham.

- Gdzie się urodziłeś i wychowałeś?

- W Filadelfii. Dlaczego pytasz?

Arthur westchnął.

- Cathy powiedziała mi kiedyś, że jeśli wyjedzie z tego miasta, to zatrzyma się nie bliżej niż pod Górą Skalistymi. Powiedziała, że podobałoby jej się Kolorado. Gdy nie wróciła, wynająłem prywatnego detektywa, żeby spróbował ją tam odnaleźć. Nie udało mu się. Po trzech latach zrezygnowałem z poszukiwań.

- Pojechałbyś do niej, gdybyś wiedział, gdzie mieszkała?

- Mówiąc szczerze, nie wiem, co bym zrobił. Ale wiem jedno: gdybym ją odnalazł, na pewno bym jej pomagał finansowo. Dawałbym jej pieniądze na twoje utrzymanie.

Sydney wydawało się, że Arthur nagle się postarzał.

- Jedyne, czego zawsze w życiu pragnąłem, to dzieci - zaśmiał się z goryczą. - Kiedy się pobraliśmy, a Sophie nie zachodziła w ciążę,

zaczęła winić o to mnie. Wiedziałem, że nie może mieć racji, ale musiałem ją przez kilka lat przekonywać, żeby udała się do lekarza. Okazało się, że jest bezpłodna. Nie chciała jednak adoptować dziecka. Moje jedyne dziecko w życiu odjechało z kobietą, która miała wszelkie prawo, by mnie nienawidzić, i definitywnie odeszła z mego życia. Czy to sprawiedliwość? Raczej zemsta Boga.

- Teraz wiem, dlaczego do aktu urodzenia nie podała twego nazwiska - mruknął Ellis.

- Gdyby to zrobiła, przyszedłbyś prosto do mnie tego dnia, gdy tutaj przyjechałeś. - Arthur pochylił się. - Przykro mi, naprawdę bardzo mi przykro z powodu Cathy.

Sydney patrzyła na Ellisa ciekawa jego reakcji. Wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy myślał, że Thomas jest jego ojcem.

- Masz rację, Graystone. Twoja cena jest za wysoka. Nie mogę obiecać ci przebaczenia.

- Rozumiem. - Arthur skinął głową. - Ale i tak poddam się badaniu.

- Naprawdę? - Sydney nie wierzyła własnym uszom. Stał się cud! Ellis odnalazł dziadka Trevora i w dodatku zgadza się on na przeprowadzenie testu. Teraz muszą już tylko mieć nadzieję, że Arthur będzie się nadawał na dawcę.

- Tak, Sydney. - Graystone wstał. - Mam dług wobec Cathy i chcę go choć w części spłacić.

Ellis jechał z Sydney w kierunku punktu widokowego. Thomas wskazał im drogę w dniu, kiedy się dowiedzieli, że Andy, aptekarz,

widział tam Arthura z Cathy. Thomas sądził, że Ellis chciałby zobaczyć to miejsce, ale jemu specjalnie na tym nie zależało. Interesował go bardziej widok, a poza tym chciał być przez chwilę sam na sam z Sydney.

Zajechał na parking i wyłączył silnik. Sydney milczała od czasu, gdy wyszli z domu Arthura. Nie miał jej tego za złe. To nie było przyjemne doświadczenie. Jedynym pozytywnym aspektem całej sprawy było przyznanie się Graystone'a do ojcostwa i, co ważniejsze, jego zgoda na wykonanie badania krwi.

Udało się to dzięki Sydney. On był już gotów wyjść i albo zrezygnować w ogóle, albo spróbować jeszcze raz innego dnia. Sydney się nie poddała. Wiedziała, jak trafić do Graystone'a.

Wyjrzał przez okno i zauważył ścieżkę biegnącą za parking. Nie było to typowe miejsce wypadów nastolatków. Był tu niewielki park, z którego rozciągał się widok na miasto.

- Chodźmy na spacer - zaproponował. Spojrzała na niego zaciekawiona.

- Dobrze - zgodziła się.

Poszli ścieżką w głąb parku. Po jednej stronie zauważyli stół do pikników i parę ławek. Usiedli. Coalsburg wyglądał stąd jak miasto-zabawka. Ellis widział szklarnie Sydney, rosnące dokoła nich młode drzewka i dom Thomasa. Nietrudno było także zauważyć rezydencję Graystone'ów.

Na prawo od Main Street stały domy, w których mieszkał kiedyś Thomas i jego matka. Nieco dalej wyrastały wieże kościoła, w którym

ojciec Cathy był pastorem. Kościoła, od którego wszystko się zaczęło.

Przez ostatnie tygodnie Ellis coraz wyraźniej uzmysławiał sobie, że tu jest jego miejsce, że przynależy do niego, a co ważniejsze, przynależy do tej kobiety.

Pokochał Sydney i bez niej jego życie nie byłoby pełne. Chciał, by razem z Trevorem stanowili rodzinę.

Trzymał Sydney za rękę. Intuicja podpowiadała mu, że ona czuje to samo, ale z jakichś tylko sobie znanych powodów broni się przed uczuciem, czegoś się boi. Oddała mu się, przyjmując tym samym do wiadomości łączący ich pociąg fizyczny, ale pod względem emocjonalnym zachowywała powściągliwość, niepewna jego lub siebie.

Pytał Thomasa o to, jaka była kiedyś, ale otrzymywał zdawkowe odpowiedzi. Nikt tak naprawdę oprócz niej samej nie wiedział, przez co przeszła, a ona o tym nie mówiła. W każdym razie nie rozmawiała na ten temat ani z ojcem, ani z matką. Być może otworzy się przed nim.

Doszedł do wniosku, że mogły istnieć tylko dwie przyczyny, dla których Sydney hamowała swoje uczucia. Albo bała się, że zostanie odrzucona, albo nie chciała się z nim wiązać i ponosić współodpowiedzialności za ciężko chore dziecko. Któż mógłby tego od niej żądać? W końcu Trevor jest jego synem.

- Syd?

- Hm...

- Co myślisz o Trevorze?

- O Trevorze? Góż, teraz przede wszystkim niepokoję się o

wynik badania. Mam jednak nadzieję, że Graystone będzie mógł zostać

dawcą - uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Trzymam za to kciuki, ale boję się. Bardzo się boję.

W pełni podzielał ten stan ducha.

- Wiem, że bardzo się przejmujesz jego zdrowiem, ale chciałbym też wiedzieć, co myślisz o nim samym.

- Zakochałam się w tym brzdącu - odparła. Jej ręka zadrżała lekko.

- Nietrudno się w nim zakochać. - Lekko ścisnął jej dłoń.

Cieszył się, że tak powiedziała.

- Wiem, że to brzmi dziwnie po tym wszystkim, co mówiłam na początku, ale bardzo bym chciała, żeby naprawdę był wnukiem mego ojca. Wniósł do naszego domu tyle ciepła i radości.

- Nie znałem twojej matki, Syd. Ale z tego, co o niej mówiliście, wydaje mi się, że nie chciałaby, żebyś ty i Thomas przestali cieszyć się życiem dlatego, że jej już nie ma z wami.

- Masz rację. Tylko że to był ogromny cios dla taty. Ale ty i Trevor przywróciliście mu chęć do życia. Dziękuję.

- Nie masz za co dziękować. Gdyby nie Thomas, chyba nigdy bym nie dotarł do Arthura Graystone'a.

- Przyciągnął ją do siebie i odwrócił ku sobie jej twarz.

- Dziękuję ci za to, co zrobiłaś. Byłem zbyt załamany, żeby trzeźwo myśleć.

- Powiedzmy, że to było przeczucie.

- Czy wiesz, że Trevor pytał mnie, czy nie moglibyśmy się tutaj przeprowadzić?

- Naprawdę? Do Coalsburga? Coś podobnego! Na ogół dzieci chcą się przenieść do dużego miasta. Nie można tego powiedzieć o Coalsburgu.

- Dla pięciolatka to raj. - Delikatnie pogłaskał jej policzek. - Jest tylko jedna rzecz, której chciałby bardziej.

- Co takiego?

- Mieć mamę. - Popatrzył jej w oczy. - Potrzebuje mamy, a nie opiekunki.

- Wszystkie dzieci potrzebują mamy. - Sydney umknęła wzrokiem w bok.

Poczuł, że odpływa z niego całe ciepło, jakie go ogarnęło. Sydney nie zareagowała tak, jak tego oczekiwał.

- Trevor potrzebuje jej bardziej niż inne dzieci, bo jest chory - powiedział. Musi być z nią szczerzy niezależnie od tego, jaki ból sprawią mu te słowa. - Trevor niedługo znajdzie się w stanie krytycznym, jeśli Graystone nie będzie mógł zostać dawcą. - Głos mu się załamał. - Będzie wtedy potrzebował szczególnie dużo troski i miłości...

Widział, jak Sydney rozpaczliwie potrząsa głową. Miał przed sobą najtrudniejsze zadanie. Kocha Sydney, teraz jest już tego pewien. Ale jeśli Sydney zgodzi się zostać jego żoną i matką Trevora, będzie musiała dzielić jego lęk o syna.

- Czy wiesz, ile trzeba mieć siły, żeby bezradnie stać i patrzeć, jak dziecko umiera?

- Przestań! - krzyknęła. - Nie mów tak! - Łzy spływały jej po

policzkach. - Znajdzie się dawca. Jeśli nie będzie nim Graystone, to ktoś z rejestru. Bez przerwy przybywają nowi dawcy. Znajdzie się, nawet gdybym miała osobiście prosić każdą napotkaną osobę, żeby zgodziła się na test.

- Co byś zrobiła, gdybyś miała syna chorego na białaczkę? - spytał.

- To samo co ty. Kochałabym go i szukała dawcy. Przytulił ją mocniej do siebie.

- Cii, Syd, wszystko będzie dobrze. Nie możemy się załamywać.

Sydney powoli doszła do siebie i wysunęła się z jego ramion. Sięgnęła po chusteczkę.

- Zmoczyłam ci koszulę - powiedziała, pociągając nosem.

- Nie szkodzi. - Wziął od niej chusteczkę i delikatnie wytarł jej łzy. - Już lepiej?

- Tak, dziękuję.

Powinien jej powiedzieć, że nie ma za co. Że to on powinien jej dziękować.

- Możesz mi opowiedzieć o swoim dzieciństwie? Co się z tobą działo, zanim adoptowali cię St. Claire'owie?

- A jakie to ma za znaczenie? - Jej głos drżał.

- Dla mnie ma. Może nie chcesz o tym mówić? Sydney potrząsnęła głową.

- Jedźmy do domu - szepnęła. - Ojciec na pewno nie może się już nas doczekać.

Ellis postanowił, że nie będzie nalegał. Przyjdzie czas, kiedy

Sydney sama, nie ponaglana, mu się zwierzy. Ujął w dłonie jej twarz i pocałował czule.

- Jeśli chcesz, wracamy. Chciałbym jednak, żebyś o czymś wiedziała.

- O czym?

- Że cię kocham, Sydney St. Claire.

ROZDZIAŁ 12

Od pamiętnej rozmowy, podczas której Ellis zdobył się na odwagę i, po rozeznaniu w swoich uczuciach, w pełni świadom tego, co mówi, wyznał Sydney miłość, minęły dwa dni. Ellis postanowił dać Sydney czas do namysłu i nie nalegać ani jej nie ponaglać, tak by mogła w spokoju zastanowić się nad tym, co od niego usłyszała, a także zbadać stan swoich uczuć.

Jednocześnie adorował ją jak konkurent starający się o rękę. Wręczył jej ogromny bukiet pięknych róż, zagadywał i żartował, prawił jej czule słówka i obrzucał gorącymi spojrzeniami. To było w ciągu dnia, a w nocy dawał jej namętne dowody miłości, zamieniał się wtedy w czulego i oddanego kochanka.

Sydney była oszołomiona tym, że tak szybko stali się sobie bardzo bliscy. Pamiętała, iż niemal od początku miała przecucie, że Ellis jest mężczyzną, który może wiele dla niej znaczyć. Przecież,

wbrew swoim poglądom i zasadom, była zdecydowana nawet na krótką znajomość, wiedząc, że Ellis musi się skoncentrować na ratowaniu syna. Nigdy jednak nie przypuszczała, że wzbudzi jego miłość i że będzie ją zdobywał. Zresztą wcale nie musiał jej zdobywać. Już była jego, i to nie dlatego, że stali się kochankami. Czy nie zdawał sobie sprawy, że i ona oddała mu nie tylko ciało, ale i serce. Że go kocha?

Tej nocy przeżyli szczególnie upojne chwile, pełne namiętności i czułości. Syci miłości, rozleniwieni, przytulili się do siebie.

- O czym myślisz? - spytał Ellis, czule gładząc Sydney.
- W ogóle nie jestem w stanie myśleć. - Pocałowała go w pierś.
- Zaraz cię przekonam, że ja za to jestem w stanie nie tylko myśleć, ale i działać.

Roześmiała się. Okazał się takim kochankiem, o jakim zawsze marzyła. Namiętnym, czułym, zgadującym jej życzenia, oddanym. Jedynym w swoim rodzaju.

- Nie wierzę - zażartowała.
- A chcesz się przekonać?
- Jeśli powiem, że nie, twoja męska duma każe ci udowodnić, że się mylę, prawda?
- Niewątpliwie - odparł Ellis, przyciągając Sydney jeszcze bliżej.

Jak to się dzieje, zastanawiała się, że w jego ramionach czuję się tak wspaniale i w chwilę po osiągnięciu najwyższej rozkoszy znowu jestem gotowa do miłości? Nie знаła siebie od tej strony. To prawda, miała niewielkie doświadczenie, jeśli chodzi o mężczyzn, ale nigdy do

tej pory tak nie reagowała. To Ellis odkrył tę stronę jej osobowości, to Ellis sprawił, że potrafiła wznieść się na szczyt rozkoszy, że w momencie uniesienia pod jej zamkniętymi powiekami wybuchały kolorowe fajerwerki.

A wszystko to było możliwe dlatego, że pokochała Ellisa Carlisle'a.

Gdy to sobie uświadomiła, kiedy pojęła, że jest mężczyzną jej życia, popadła w rozterkę. Nie chciała go stracić i rozumiała, że powinna ujawnić przed nim stan swoich uczuć, na wyznanie odpowiedzieć wyznaniem. Bała się jednak. Bała się odsłonić, by nie zostać zranioną, odtrąconą. Doświadczenia wyniesione z dzieciństwa pozostawiły trwałe ślady w jej psychice. Akceptacja przybranych rodziców, miłość, z jaką ją wychowywali, nie do końca wyleczyły ją z kompleksu niechcianej, niekochanej. Co robić? Zadrzała.

- Zimno ci?

- Dreszcz mnie przeszedł - odparła Sydney i pomyślała, że Tennyson mylił się, mówiąc: „Lepiej kochać i stracić niż nigdy nie kochać”. Widocznie nie został porzucony na stacji benzynowej przez rodziców, kiedy miał cztery lata. Nie pamiętała już, jak wyglądali jej rodzice ani nawet jak się nazywali. Okoliczności, w jakich ją porzucili, z czasem uległy zapomnieniu. Ale na zawsze pozostał jej w pamięci paniczny strach, jaki ją ogarnął, gdy została sama wśród obcych, w nieznanym miejscu, wciśnięta w kąt, zbyt przerażona, by płakać czy krzyczeć. Była mała, ale czuła, że rodzice nie wrócą. Nie była wystarczająco dobra, żeby chcieli ją zatrzymać.

Przerzucana z jednej rodziny zastępczej do drugiej, w żadnej nie zagrzała miejsca, i to nie ze swojej winy. Utwierdzała się więc w przekonaniu, że jest nic niewarta. Nikt jej nie chciał, a w każdym razie nikt jej nie chciał na stałe, dopóki nie znalazła się w domu St. Claire'ów. Miłość i cierpliwość, jaką okazywali jej Thomas i Julia, osłabiły jej lęki, poczucie niepewności i tymczasowości, ale ich nie zlikwidowały. Przynajmniej początkowo. Przez pierwsze lata wciąż czekała na dzień, w którym Thomas oznajmi jej, że się rozmyślili, że nie jest dostatecznie dobra, by być ich córką. Z czasem przekonała się jednak, że nie musi się tego obawiać, a dom St. Claire'ów uznała za swój dom rodzinny.

Gdy dorosła i zaczęła spotykać się z młodymi mężczyznami - było ich raptem dwóch - zrywała znajomość, kiedy tylko jej partnerzy zaczęli snuć plany na przyszłość. Antycypowała wydarzenia, wyobrażała sobie najgorsze scenariusze, widziała siebie w roli porzuconej, odtrąconej. I uciekała.

Ellisa kochała, więc postanowiła zaryzykować. Nie miała odwagi go opuścić. Zdawała sobie sprawę, że jest dla niej kimś wyjątkowym.

- Sydney - usłyszała nagle jego głos - źle się czujesz?

Spojrzała na jego przystojną twarz, na której teraz malował się szczerzy niepokój. Jeszcze nie była gotowa. Jeszcze nie. Może jutro znajdzie w sobie dość odwagi, by mu wyznać miłość.

- Skądże, wszystko w porządku, Ellis - odparła i mocniej go objęła.

Znowu jej pożądał. Uśmiech błąkał się na jej ustach, gdy

dotknęła jego warg.

- Powiedz, czego pragniesz, Sydney.

- Ciebie. Chcę się z tobą kochać. Chcę ciebie kochać. -

Dotykała piersiami jego szyi. - Pozwolisz? - Poczowała, jak bardzo jest podniecony. Pochyliła się nad nim.

- Możesz robić ze mną, co zechcesz. Cały jestem twój -
uśmiechnął się i pozwolił, by Sydney spełniła swoje marzenia.

W nocy przebudził się i starannie przykrył siebie i Sydney kocem. Nawet nie drgnęła. Nic dziwnego. On też był ledwo żywy po miłosnych igraszkach.

Wpatrzył się w sufit. Sydney ani razu nie powiedziała mu, że go kocha, chociaż oddawała mu się z namiętnością i bez zahamowań obdarzała go pieścizotami. Ani razu też nie napomknęła o przyszłości. Dlaczego? W czym tkwił problem? A może raczej w kim? On sam całkowicie się odsłonił, wyznał, że ją kocha, powiedział, co może czekać Trevora, określił swoje plany na przyszłość. Domyślił się, że Sydney ma kłopoty ze sobą, że lęka się czegoś. Jak bardzo chciałby jej pomóc! Objął ją mocniej i przytulił. Długo jeszcze leżał w ciemności, nie mogąc zasnąć.

Trevor zaśmiewał się, patrząc, jak kolejka krąży po miniaturowych torach rozłożonych na podłodze w kuchni.

- Szkoda, że tego nie widzisz, Thomas. Żyrafy kołyszają głowami,

a słonie kiwają trąbami.

- Wszystko jest tak, jak mówiła Georgette, prawda? -
uśmiechnął się Thomas. - A co robią małpy? Kiwają się do przodu i do tyłu?

- Tak! - Trevor leżał na podłodze i wpatrywał się w każdy wagonik, który przejeżdżał przed jego nosem.

- A kłowni machają im z wagonu... - Chłopiec urwał, szukając odpowiedniego słowa.

- ...bagażowego - podpowiedział Ellis, który przysłuchiwał się tej rozmowie. - Ostatni wagon zawsze jest bagażowy.

Sydney siedziała oparta o ścianę i z przyjemnością obserwowała bawiącego się chłopca. Kolejka była rzeczywiście niezwykła. To jej ojciec podarował ją Trevorowi.

Chłopiec nacisnął czerwony guzik i w kuchni rozległ się głośny gwizd lokomotywy.

- Widzisz tygrysa, synku? - Ellis pochylił się nad chłopcem.

- Tak. Thomas, tygrys kręci się w kółko po klatce, wiesz?

- Jak bąk? - Thomas był niemal tak samo podekscytowany jak Trevor.

- Nie, nie. On... co on robi, tatusiu?

- Biega tam i z powrotem.

- Czy Trevor ci podziękował za ten wspaniały prezent? -
zwrócił się Ellis do St. Claire'a.

- Jeszcze jak. O mało mnie nie udusił. Chciałem dać mu coś szczególnego, żeby długo nas pamiętał.

Sydney usłyszała smutek w głosie ojca. Będzie tęsknił za chłopcem, a na pewno także i za Ellisem. Wyczuła na sobie spojrzenie Ellisa, ale odwróciła głowę. Z każdym dniem coraz usilniej dawał jej do zrozumienia, jak bardzo jest mu bliska.

Cindy i paru pracowników robiło już zakłady, kiedy się jej oświadczy. Nikt nawet się nie zastanawiał, czy ona go przyjmie. Było dla nich oczywiste, że zakochała się w nim i jego synu. Trevor spędzał coraz więcej czasu w szklarniach. Cieszyła ją nie tylko obecność chłopca. Jego nie kończące się pytania i zamiłowanie do prac ogrodniczych na nowo wzbudziły w niej entuzjazm do zajmowania się firmą.

Nie chciała stracić Ellisa ani jego miłości, ale nie wiedziała, jak ma go poprosić, żeby został.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu.

- Odbiorę - powiedziała.

Ellis rzucił jej zaciekawione spojrzenie.

- Tak, mieszkanie St. Claire'ów. - Popatrzyła na Ellisa. - Tak, jest tutaj. Można wiedzieć, kto mówi? - Znała odpowiedź, ale chciała się upewnić. - Chwileczkę, już proszę.

Podawała słuchawkę Ellisowi.

- Z laboratorium - wyjaśniła cicho.

Wziął słuchawkę.

- Ellis Carlisle przy telefonie.

Cofnęła się, ale chwycił ją kurczowo za rękę i zatrzymał. Jego palce drżały.

- Tak, rozumiem - bąknął. - Tak, tak, oczywiście... Trevor zatrzymał kolejkę i wpatrywał się w ojca.

- Tak, będę w kontakcie. Dziękuję za wszystko - powiedział i skończył rozmowę. Oparł czoło o ścianę i podał jej słuchawkę.

Odwiesiła ją na widełki i czekała. Czekał Trevor. I czekał Thomas. Wszyscy czekali, aż Ellis coś powie, a im dłużej to trwało, tym większy czuła ucisk w żołądku.

- Ellis? - Dotknęła lekko jego ramienia.

Zadrżał i westchnął ciężko. Kiedy się odwrócił, z jego oczu płynęły łzy.

Strach chwycił Sydney za gardło. Wielki Boże, a więc test wypadł negatywnie. Z trudem łapała oddech. Co teraz będzie? Co teraz zrobią?

Zachwiała się. I nagle zobaczyła, że twarz Ellisa rozjaśnia radosny uśmiech.

- Udało się!

- Co się udało? - Trevor rozglądał się niepewnie. Ellis chwycił go w ramiona.

- Mamy dawcę, Trevor. Będziesz miał przeszczep.

Drobne ramionka chłopca zacisnęły się na jego szyi.

Sydney oparła się o ścianę i rozplakała ze szczęścia. A więc Arthur Graystone może być dawcą! Przez łzy patrzyła na ojca i syna. Wykonywali dziki taniec radości. Trevor wprawdzie nie bardzo rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi, ale cieszył się razem z ojcem.

Teraz wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Ellis postawił syna na podłodze i chwycił w ramiona Sydney.

- Udało się, Sydney! Udało!

- Słyszałam, Ellis, słyszałam - powtarzała w kółko.

Ellis wciąż jeszcze drżał. Tuliła go do siebie. Zerknęła na Trevora. Chłopiec siedział już na kolanach jej ojca. Thomas objął go i mocno przytulił. Poczowała, że do oczu znów napływają jej łzy.

Za chwilę stali razem przy fotelu Thomasa. Wykrzykiwali coś bezładnie, nie mogąc się dość nacieszyć otrzymaną wiadomością. Wreszcie uspokoili się trochę.

- Co teraz? - zapytał Thomas. - Jaki będzie następny krok?

Trevor wciąż siedział na jego kolanach, wtulony w jego ramiona. Sydney pomyślała, że w objęciach ojca zawsze się czuła bezpieczna.

- Teraz zacznie się naprawdę trudna część całego przedsięwzięcia - powiedział Ellis.

Sydney popatrzyła na księżyc i uśmiechnęła się. Uśmiechała się przez cały wieczór od chwili, gdy się dowiedzieli, że Arthur Graystone może być dawcą. Ellis wytłumaczył wszystko Trevorowi, starannie dobierając słowa, by go nie przestraszyć. Jediną szansą chłopca była transplantacja, więc będzie musiał poddać się operacji.

- Czy mówiłem ci już, jaka jesteś piękna w świetle księżyca? - Ellis ścisnął jej dłoń. Spacerowali alejką między drzewami.

- Nie, właściwie nieczęsto mogliśmy się widzieć w świetle księżyca. - Przytuliła się do niego i oparła głowę na jego ramieniu.

- Możemy to zmienić, Syd. - Zatrzymał się nagle.

- Co zmienić? - Obserwowała jego twarz oświetloną blaskiem księżyca. W jego głosie słychać było nową nutę.

- Możemy częściej spacerować razem.

- A chciałbyś?

- Tak, nawet co wieczór.

- Co wieczór? - Ellis okazał się większym marzycielem, niż początkowo sądziła. - A jak to sobie wyobrażasz?

- Po prostu wyjdź za mnie. Jeśli się pobierzemy, będziemy mogli co wieczór chodzić na spacer.

„Wyjdź za mnie!” Dobry Boże, Ellis właśnie poprosił ją o rękę. Nie była na to przygotowana. Zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

- Wiem, że to nie fair z mojej strony prosić cię o to, gdy Trevor jest chory, ale z drugiej strony właśnie teraz rysuje się przed nim szansa na wyzdrowienie.

- A co wspólnego ma choroba Trevora z naszym małżeństwem?

- Znowu poczuła dziwny ucisk w żołądku.

- Ma związek z tym, co mi odpowiesz, Syd. - Ellis ujął jej dłoń i pocałował. - Kocham cię i wiem, że ty mnie też kochasz, chociaż mi tego nigdy nie powiedziałaś. Widzę to w twoim wzroku, czuję w twoich pieszczotach. - Popatrzył jej prosto w oczy. - Rozumiałbym, gdybyś się wahała...

- Zaczekaj - przerwała mu. - Obawiasz się, że nie wyjdę za ciebie z powodu Trevora? - Wreszcie domyśliła się, do czego zmierzał.

- Przyszło mi to do głowy.

- To wielka szkoda. - Cofnęła rękę. - Jak możesz mówić, że mnie kochasz, jeśli tak nisko mnie oceniasz?

- Miałem wrażenie, że nie przyjmiesz mojej propozycji, Sydney. Jeśli nie Trevor jest przyczyną, to co?

Odwróciła się od Ellisa i wpatrzyła w ciemne sylwetki drzew na tle nieba. Nadszedł czas decyzji. Albo podejmie ryzyko i przyjmie oświadczenia Ellisa, albo na zawsze go utraci. Westchnęła.

- Sama nie wiem, kim jestem, Ellis.

- Masz na myśli to, że cię adoptowano?

Nie, że mnie porzucono, odpowiedziała mu w myślach.

- Nie znam swojego prawdziwego nazwiska. Nie mam pojęcia, kim byli moi biologiczni rodzice... - Urwała na chwilę. - Nawet nie wiem, skąd pochodzę.

- Jeśli odpowiedzi na te pytania są dla ciebie takie ważne, pomogę ci je znaleźć. - Pogładził ją po ramieniu.

Tysiące adoptowanych dzieci szuka swoich prawdziwych rodziców. Być może ona też chce ich znaleźć. Potrząsnęła głową. Miała już matkę i ma ojca.

- Nie, dziękuję ci - powiedziała. - Podrzućli mnie na stację benzynową, kiedy miałam cztery lata, i nigdy po mnie nie wrócili. - Z trudem powstrzymywała łzy. Głos jej się łamał.

- Wiem o tym. Thomas mi powiedział.

- Jesteś ojcem, Ellis. Co takiego może zrobić czteroletnie dziecko, żeby zasłużyć sobie na porzucenie w toalecie stacji benzynowej?

Ellis zeszywniał.

- To musi być coś strasznego, prawda?

- Nie, Sydney. Mała, czteroletnia dziewczynka nie jest w stanie zrobić czegoś tak złego, żeby rodzice ją porzucili. - Poglaskał ją po policzku. - To twoi rodzice zrobili coś bardzo złego.

Łzy płynęły jej po policzkach. Nawet ich nie otarła.

- Pierwszy dom, w którym mnie umieścili, był prowadzony przez miłą panią o imieniu Muriel. Miała grupkę przybranych dzieci. Wszyscy ją kochaliśmy. Byliśmy rodziną. - Rozpłakała się. - Byłam tam szczęśliwa, kochałam ją, kochałam moich braci i siostry.

- I co się stało?

- Nie wiem - zadrżała. - Pewnego dnia wróciłam ze szkoły i zastałam moje rzecz spakowane. Zabrano mnie i umieszczono w innym domu.

- Dlaczego?

- Muriel chciała mi wyjaśnić, ale kobieta, która po mnie przyjechała, nie pozwoliła jej dokończyć. Bardzo się jej spieszyło. Muriel mówiła coś o zmianach w prawie i o tym, że ma u siebie za dużo dzieci, ale dlaczego oddała właśnie mnie? Nawet mi nie pozwolono pożegnać się z innymi dziećmi. Zamknięto je w ich pokojach.

- Czy Muriel dostała po tobie jeszcze inne dzieci?

- Nie.

- Więc nie rozumiesz? Nie zabrano cię dlatego, że ciebie nie chciała albo że coś złego zrobiłaś. Zabrano cię, bo byłaś ostatnim

dzieckiem, jakie wzięła.

- Nie. Nigdy nie byłam dość dobra dla nikogo. Co będzie, jeśli się pobierzemy, a ty pewnego dnia się obudzisz i dojdiesz do wniosku, że nie jestem dość dobra na żonę dla ciebie? Nie rozumiesz? Kocham cię ponad życie i nie przeżyłabym, gdybyś mnie zostawił.

Ellis pochwycił ją w ramiona i przytulił z całej siły.

- Moja maleńka, moja kochana. Co oni ci zrobili? Drżała z twarzą wtuloną w jego pierś. Powiedziała Ellisowi, czego się boi, i wyznała mu, że go kocha. Być może dziś rzeczywiście był dzień cudów.

- Sydney? - Ujął ją pod brodę i zmusił, żeby spojrzała mu prosto w oczy. - Czy ty mnie kochasz?

- Tak.

- I wierzysz, że ja ciebie kocham?

- Tak. - Nie wątpiła ani przez chwilę w jego miłość.

- Chcę, żebyś jeszcze w coś uwierzyła, kochanie.

- W co?

- Uwierz całym sercem, że nigdy cię nie zostawię. - Musnął wargami jej usta. - Nie mogę cofnąć przeszłości, ale mogę dać ci przyszłość. Przyszłość z kochającym mężem i synem, któremu właśnie ofiarowano nadzieję - powiedział z mocą.

Patrzyła mu w twarz. Była pewna, że mówił szczerze, prosto z serca. Nagle wszystko stało się jasne i proste. Miłość nie jest niczym trudnym ani bolesnym. Kochać to odczuwać radość i szczęście.

- Wierzę ci, Ellis - uśmiechnęła się.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Uniósł ją do góry i zaczął kręcić się z nią w kółko.

- Tak! Tak! Tak! - wołał ku niebu.

EPILOG

Sydney poczuła, że dziecko obraca się i w końcu toruje sobie drogę do wyjścia z jej ciała. Bardzo się spieszyło, żeby ujrzeć świat. Przestała przeć. Dziecko już się urodziło. Ma dziecko!

Próbowała się unieść, żeby zobaczyć, co robi lekarz, ale wyczerpanie wzięło górę i opadła z powrotem na poduszkę.

- Dziewczynka, Syd! Mamy córkę! - zawołał Ellis zza ramienia lekarza.

„Mamy córkę!”

Uśmiechnęła się do męża, który stał obok i puchł z dumy. Rozległ się płacz.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoiła się.

- Oczywiście - uśmiechnął się lekarz. - Policzyłem wszystkie paluszki u rączek i nóżek.

Ellis wziął nożyczki i ostrożnie przeciął pępowinę. Za chwilę pielęgniarka okryła dziecko różowym kocykiem i podała mu. Sydney przyglądała się, jak jej mąż czule gładzi rączkę niemowlęcia.

Przycisnął je delikatnie do siebie. W oczach miał łzy. Nie można było

kochać kogoś bardziej, niż ona kochała Ellisa. Dwa lata małżeństwa jeszcze pogłębiły tę miłość.

Pamiętała, jak kiedyś opowiadał jej, że był obecny przy narodzinach Trevora. Wtedy pomyślała sobie, że zachował się jak nowoczesny mąż. Teraz, patrząc, jak trzyma w ramionach ich córeczkę, Julię Catherine Carlisle, uświadomiła sobie, że chodzi o coś zupełnie innego, o jedyną w swoim rodzaju więź pomiędzy ojcem i dzieckiem.

Ellis podszedł do łóżka i ostrożnie położył jej dziewczynkę na piersiach.

- Jest śliczna. - Pocałował spierzchnięte wargi żony. - Tak jak jej matka.

Mogła sobie wyobrazić, jak wygląda! Poród trwał osiem godzin. To była ciężka praca.

- Myślę, że nadmiar wrażeń zmaćcił ci wzrok - zażartowała.

- Nigdy w życiu nie miałem lepszego. - Ręce mu drżały, gdy głaskał ją po policzku.

Sydney uśmiechnęła się. Tuliła do piersi swój najcenniejszy skarb.

- Mówiłem ci już dzisiaj, że cię kocham?

- Chyba ze sto razy. Za każdym razem, kiedy miałam skurcze. -

Odsunęła róg kocyka i popatrzyła na córkę. - Masz rację, Ellis, jest śliczna. - Pogłaskała delikatnie paluszki niemowlęcia. Były takie miękkie. - Witaj, Julio Catherine Carlisle. Jestem twoją mamą.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę już wziąć dziecko. - Do pokoju weszła pielęgniarka. Uśmiechnęła się i ostrożnie podniosła

dziewczynkę.

- Nie mogłabym jej jeszcze trochę potrzymać? - Sydney była wyraźnie zawiedziona.

- Za chwilę. Tylko ją zważymy, zmierzymy i zawiążemy wstążeczkę z nazwiskiem. - Pielęgniarka znowu się uśmiechnęła. - Pospieszę się.

Sydney skinęła głową i odprowadziła dziecko tęsknym spojrzeniem.

- Czy jeszcze czekają? - spytała.

- Kiedy ostatni raz zaglądałem do poczekalni, jeszcze tam byli.

- Powinieneś do nich pójść i powiedzieć Trevorowi, że ma siostrzyczkę.

Przez ostatnie tygodnie Trevor nie odstępował jej na krok. Bał się, żeby nie przeoczyć wielkiego wydarzenia. Prosił, żeby poczekała, aż wróci ze szkoły. Żeby nie rodziła dzidziusia, kiedy jego nie będzie w domu. Uśmiechnęła się. Trevor zawsze z nimi będzie. Operacja zakończyła się pełnym sukcesem. Lekarze rokowali całkowity powrót do zdrowia.

- Zaraz. Chcę się tylko najpierw upewnić, że dobrze się czujesz.

- Ależ tak. Jestem tylko trochę zmęczona. - Poprawiła się na łóżku. - A swoją drogą, kto tam jest?

- Trevor, twój ojciec i Rita. Cindy przyniosła pizzę, a John był w szpitalu służbowo, więc też zajrzał.

- Coś podobnego. Istne tłumy. - Sydney ziewnęła.

- Arthur też był? - Ellisowi trudno było się przyzwycząić do

tego, że ma ojca, ale Arthur był wytrwały. Thomas i on zostali dziadkami Trevora, a chłopiec kochał ich obu. Sydney uznała, że to dobrze i dla Ellisa, i Trevora, że Arthur nie zamierzał niczego utrzymać w tajemnicy. Zresztą w tym mieście i tak nie udało się ukryć operacji ani roli, jaką w niej odegrał Arthur. Nawet gdyby się bardzo starali. Zwłaszcza że Sophie, gdy już przeboleła nowinę, opowiadała każdemu, kto tylko chciał słuchać, jakim to bohaterem jest jej mąż.

- Tak, jest tutaj. - Ellis był wyraźnie zdegustowany.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Niech zostanie, kochany, jest mi go żal.

- Żal? - zdziwił się Ellis.

- Tak. Pomyśl, ile stracił. - Obrzuciła wzrokiem salę.

Ścisnął lekko jej dłoń.

- Stracił to wszystko, prawda?

- Tak. - Poczowała, że powieki zaczynają jej ciążyć i zastanawiała się, kiedy pielęgniarka przyniesie Julię.

- To ty mnie uczyłeś, że nie możemy zmienić przeszłości, tylko przyszłość.

- Chcesz powiedzieć, że mam zastosować w praktyce swoje teorie?

- Chcę ci powiedzieć, że kocham cię, Ellis. Pomogłeś mi rozliczyć się z przeszłością, sprawiłeś, że uwierzyłam w siebie, dałeś mi dziecko. Uczyniłeś mnie najszczęśliwszą kobietą na świecie. Czego jeszcze można chcieć?